



Historia pierwszej miłości
Współczesne *Love Story*

Alessandro
D'Avenia

BIAŁA
JAK MLEKO
CZERWONA
JAK KREW

znak litera
nova

„Ale miłość to coś innego. Miłość nie daje spokoju. Miłość jest bezsenna. Miłość obdarza siłą. Miłość jest szybka. Miłość jest jutrem. Miłość to tsunami. Miłość jest czerwona jak krew”.

Leo jest młody, odważny, trochę bezczelny. I co ważne: świeżo zakochany, tą pierwszą, romantyczną, czerwoną jak krew miłością. Czerwień to zresztą jego ulubiony kolor, w przeciwieństwie do bieli, która kojarzy mu się ze smutkiem, pustką, samotnością. Leo postrzega świat poprzez kolory, także emocje i ludzi utożsamia z konkretnymi barwami.

Czerwień to huragan, marzenia, pasja i... Beatrice – śliczna ognistoruda dziewczyna, w której Leo potajemnie się kocha. Przyjaźń natomiast jest błękitna. Jak niebo, jak woda i... jak Silvia, najbliższa, najlepiej znana, rozumiejąca wszystko bez słów. Barwy się przenikają, łączą, powodują lekki zawrót głowy... A Leo robi wszystko, żeby zrozumieć, czym jest prawdziwa miłość.



foto © Marika D'Avenia

Alessandro D'Avenia

– odkrycie włoskiej literatury.

Jego powieść *Biała jak mleko, czerwona jak krew* błyskawicznie stała się bestsellerem

(ponad 170 tysięcy sprzedanych egzemplarzy), a czytelnicy obwołali ją współczesnym *Love Story*.

Cena detal. 31,90 zł

ISBN 978-83-240-1653-2



9 788324 016532

www.znak.com.pl

książki z dobrej strony



ksiazki.wp.pl



ALESSANDRO D'AVENIA

Biała jak mleko czerwona jak krew

tłumaczenie
Alina Pawłowska

znak *litera*
nova

Kraków 2011

„Pewien królewicz podczas śniadania zranił się w palec przy krojeniu twarogu. Kropla krwi spadła na ser. Królewicz powiedział do swojej matki:

- Chciałbym, żeby moja żona była biała jak mleko i czerwona jak krew.

- Synku, kto jest biały, nie jest czerwony, a kto jest czerwony, nie jest biały. Ale szukaj takiej żony, może znajdziesz”.

Italo Calvino, *Baśnie włoskie: Miłość trzech granatów*

Każda rzecz jest kolorem. Każde uczucie jest kolorem. Cisza to biel. Biel jest kolorem, którego nie znoszę - nie ma granic. Białe plamy na mapie, białe noce, biały wiersz, wywiesić białą flagę, dostać białej gorączki, mieć białe skronie... Właściwie biel nie jest w ogóle kolorem. Jest niczym. Podobnie jak cisza, czyli nic bez słów i bez muzyki. W ciszy - w bieli. Nie potrafię przebywać w ciszy ani w samotności, co dla mnie znaczy to samo. Odczuwam wtedy ból powyżej żołądka, albo może w żołądku - sam nie wiem - który mija dopiero wtedy, gdy wsiadam na swój zdezelowany skuter praktycznie bez hamulców (kiedy w końcu oddam go do naprawy?) i jeżdżę bez celu. Patrzę w oczy mijanym dziewczynom, żeby nie czuć się samotnym. Jeżeli któraś na mnie spojrzy, istnieję.

Co się ze mną dzieje? Tracę kontrolę. Nie umiem być sam. Potrzebuję... Sam nie wiem czego. Co za przekleństwo! Ratuje mnie ipod. No tak, bo kiedy wychodzisz z domu ze świadomością, że czeka cię dzień w szkole o smaku zakurzonego asfaltu, a potem tunel nudy z lekcjami do odrobienia,

rodzicami i psem, którego trzeba wyprowadzić, i wiesz, że będzie zawsze tak samo aż do ostatniego tchnienia, tylko dobra muzyka może cię uratować. Wkładasz słuchawki do uszu i wchodzisz w inny wymiar. Wchodzisz w emocje o właściwym kolorze. Kiedy chcę się zakochać, słucham melodyjnego rocka, kiedy muszę się doładować - słucham czystego twardego metalu, kiedy potrzebuję się napompować - sięgam po rap i inne ostre kawałki naszpikowane przekleństwami. W ten sposób rozwiewa się biel, nie czuję się sam, muzyka dotrzymuje mi towarzystwa i dodaje koloru moim dniom.

To nie znaczy, że zwykle się nudzę. Mam tysiące planów i marzeń, setki projektów, które czekają na realizację. Ale nie realizuję żadnego z nich, bo zanim zacznę, stwierdzam, że nie obchodzą nikogo oprócz mnie. Wtedy mówię sobie: Leo, po jaką cholere miałbyś to robić? Zostaw to, ciesz się tym, co masz.

Życie jest jedno. A kiedy zaczyna się rozbielać, najlepiej podkolorowuje je komputer. Zawsze znajduję kogoś, z kim mogę poczatować. Mój nick to Pirat, jak Johnny Depp. Potrafię słuchać innych, dobrze się wtedy czuję. Tak samo jak kiedy wsiadam na swój stary skuter z zepsutymi hamulcami i jeżdżę bez celu. Czasem mam cel - jadę do Nika i gramy razem ze dwa kawałki, on na basie, ja na gitarze elektrycznej. Kiedyś będziemy sławni, założymy własną kapelę, nazwiemy ją Załoga. Niko twierdzi, że powinienem też śpiewać, bo mam dobry głos, ale ja się wstydzę. Na gitarze śpiewają palce, a palce nigdy się nie rumieniają. Nikt nie wygwizduje gitarzystów, a wokalistów, i owszem...

Gdy Niko nie ma czasu, spotykam się z innymi kolegami na przystanku. Na przystanku autobusowym przed szkołą, na

którym każdy zakochany chłopak zwierza się światu ze swojej miłości. Zawsze można tam kogoś spotkać, często także dziewczyny. Czasem nawet Beatrice. Ja na przystanek przed szkołą chodzę właśnie z jej powodu.

Dziwna rzecz - rano każdy marzy o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od szkoły, a po południu można tam spotkać wszystkich. Tyle tylko, że po południu w szkole nie ma wampirów, to znaczy nauczycieli krwiopijców, bo ci po lekcjach wracają do domu, zamykają się w swoich sarkofagach i ostrzą sobie zęby na następne ofiary. Między nimi a prawdziwymi wampirami jest tylko jedna różnica: nauczyciele na łowy wychodzą w ciągu dnia.

Kiedy przed szkołą jest Beatrice, świat się zmienia. Zielone oczy na pół twarzy. Rude włosy, które rozpuszczone wywołują te same emocje co wybuch świtu po nocy. Niewiele słów, ale każde na swoim miejscu. Gdyby była filmem, byłaby gatunkiem, jakiego jeszcze nie wymyślono. Gdyby była zapachem, byłaby piaskiem o poranku, gdy plaża jest sama z morzem. Kolor? Beatrice to czerwień. Tak jak czerwona jest miłość. Burza. Huragan, który unosi cię w powietrze. Trzęsienie ziemi, od którego dezintegruje się ciało. Tak się czuję za każdym razem, gdy ją widzę. Ona tego jeszcze nie wie, ale wkrótce jej to powiem.

Tak, wkrótce jej powiem, że jest stworzona dla mnie, a ja dla niej. Właśnie tak, to jasne jak słońce. Kiedy się o tym dowie, życie osiągnie doskonałość, jak w filmie. Muszę tylko wybrać odpowiednią chwilę. I odpowiednią fryzurę. Uważam bowiem, że wszystko zależy przede wszystkim od włosów. Obciąłbym je, gdyby Beatrice mnie o to poprosiła.

Chociaż może nie. Bo co by było, gdybym stracił z tego powodu siły, tak jak to się przydarzyło temu facetowi z Biblii? Nie, Pirat nie może obcinać włosów bez ważnej przyczyny. Lew bez grzywy nie jest lwem. Nie przypadkiem mam na imię Leo.

Widziałem kiedyś film dokumentalny o lwach, pokazano w nim samca z ogromną grzywą, jak wychodził z zarośli, a w tle ciepły głos komentował to ujęcie: „Król dżungli zawsze nosi swoją koronę”.

Moje włosy dają mi poczucie swobody, a jednocześnie majestatu. To bardzo wygodne - móc nosić lwią fryzurę. Nie trzeba się czesać i można sobie wyobrazić, że włosy rosną w górę wolne jak myśli powstające w głowie, które co jakiś czas eksplodują i rozpraszają się z ekscytującym szumem niczym bąbelki gazu w świeżo otwartej coca-coli. W ten sposób moje myśli docierają do innych. Włosy potwierdzają to, co mówię.

Ludzie rozumieją mnie dzięki moim włosom. To znaczy koledzy ze szkoły, ci z mojej załogi, Piraci: Plama, Tyczka, Czub. Ojciec już dawno dał za wygraną. Mama wciąż te włosy krytykuje. Babcia za każdym razem, kiedy mnie widzi, jest o krok od zawału, ale kiedy ktoś ma prawie dziewięćdziesiąt lat, można się tego spodziewać.

Dlaczego jest im tak trudno zrozumieć filozofię mojego uczesania? Najpierw mówią ci: bądź autentyczny, wyraż siebie, bądź sobą! Potem, kiedy starasz się pokazać takim, jaki naprawdę jesteś, słyszysz: nie masz własnej osobowości, robisz wszystko, żeby upodobnić się do innych. Widać nic nie rozumieją, myślą, że albo jesteś sobą, albo jesteś taki jak wszyscy inni. Zresztą im i tak niczym nie dogodzisz. Prawda jest taka, że po prostu mi zazdroszcza; przede wszystkim łyśi. Jeżeli kiedyś wyłysię, zabiję się.

W każdym razie jeśli Beatrice powie, że nie podoba jej się moja fryzura, obetnę włosy, ale najpierw muszę to dobrze przemyśleć. Przecież mógłby to być mój atut. Poza tym jeżeli nie zgadzamy się w takich drobiazgach, to czy możemy być razem? Albo Beatrice pokocha mnie takiego, jaki jestem, z moimi włosami, albo nic z tego nie będzie. W miłości trzeba pozostać sobą i przyjąć drugiego człowieka takiego, jaki jest - tak zawsze mówią w telewizji. Beatrice, przecież ty to rozumiesz, prawda? U ciebie wszystko mi się podoba, więc już na starcie masz przewagę.

Dziewczyny najczęściej mają przewagę i wygrywają. Te ładne mają świat u swoich stóp, mogą wybierać, kogo chcą, robić, co chcą, ubierać się, w co chcą - nieważne, i tak wszyscy je podziwiają. To się nazywa szczęście!

Tymczasem mnie zdarzają się dni, kiedy najchętniej nie wychodziłbym z domu. Czuję się taki brzydki, że najchętniej zabarykadowałbym się w swoim pokoju i nie patrzył w lustro. Jestem wtedy biały, bez koloru; mam białą twarz. Co za tortura! Ale są też dni, kiedy mam w sobie czerwień. Wtedy nie obawiam się żadnej konkurencji. Wkładam modną koszulkę,

fajne dzinsy i czuję się jak młody bóg. Zac Efron mógłby być najwyżej moim asystentem. Chodzę sobie po ulicach i bez problemu zaczepiłbym każdą spotkaną dziewczynę: „Hej, ślicznotko, umów się ze mną na wieczór! To dla ciebie wielka okazja. Wszyscy, którzy cię ze mną zobaczą, będą zachodzić w głowę, jak ci się udało poderwać takiego świetnego faceta. Koleżanki posiwieją z zazdrości!”.

Jestem jak młody bóg. Mam ciekawe życie. Nie zatrzymuję się ani na chwilę. Jasne, że gdyby nie szkoła, byłbym bardziej wypoczęty, przystojniejszy i może nawet sławny.

Moja szkoła nosi imię postaci z *Myszki Miki* - Horacego. Ma mury ze złuszczonego tynkiem, brudne klasy, tablice, które zamiast czarne są szare, i postrzępione mapy geograficzne z wypłowiałymi kolorami państw i kontynentów. Ściany w klasach są pomalowane na dwa kolory: biały i brązowy, przypominają lody kakaowo-śmietankowe, ale poza tym szkoła nie kojarzy się z niczym przyjemnym. Wyjątek stanowi jedynie dzwonek obwieszczający koniec lekcji, który zdaje się wołać: „Zmarnowałeś jeszcze jeden dzień w tych kakaowych murach. Uciekaj stąd!”.

Szkoła bywa czasem przydatna. Kiedy ogarnia mnie zniechęcenie i topię się w białych myślach, kiedy zastanawiam się, dokąd to wszystko prowadzi, jaki ma sens i czy kiedyś się w tym odnajdę, szkoła pomaga, bo jest jak plac zabaw pełen kolegów, którzy są w podobnej sytuacji jak ja. Jestem z nimi, gadamy o wszystkim i już nie snuję rozważań, które i tak donikąd nie prowadzą. Białe myśli niczego nie rozjaśniają; białe myśli należy wyeliminować.

W McDonalddie, w którym pachnie jak w McDonalddie, objadam się frytkami, podczas gdy Niko siorbie słómką coca-cólę z maksikubka.

- Nie myśl za duzo, bo ci się zrobi biało.

Niko często mi to powtarza, a Niko ma zawsze rację. Nie przypadkiem jest moim najlepszym przyjacielem. Jest dla mnie jak Will Turner dla Jacka Sparrowa. Przynajmniej raz w miesiącu ratujemy sobie nawzajem życie, bo po to właśnie ma się przyjaciół. Ja przyjaciół sobie wybieram. W przyjaźni to właśnie jest najważniejsze - że przyjaciół sobie wybierasz i że jest ci z nimi dobrze, bo wybierasz sobie, kogo chcesz. Inaczej jest z kolegami z klasy. Na ich wybór nie masz wpływu i z niektórymi naprawdę trudno wytrzymać.

Niko chodzi do klasy B, ja do D, ale gramy w tej samej szkolnej drużynie piłkarskiej. Piraci. Dwa niepowtarzalne okazy. W klasie może ci się przytrafić na przykład taka Elettra. Zawsze nerwowa; zresztą już samo jej imię niczego dobrego nie wróży.

Niektórzy ludzie karzą swoje dzieci imieniem. Ja mam na imię Leo i to mi pasuje. Miałem szczęście, moje imię kojarzy się z człowiekiem silnym i prawym; z królem dżungli obdarzonym imponującą grzywą, który już samym rykiem wzbudza szacunek. A przynajmniej - jak w moim wypadku - bardzo się stara...

Każdy ma w imieniu zapisany swój los. Niestety. Weźmy na przykład taką Elettrę - cóż to za imię! Słyszac je, czujesz, jakby przechodził cię prąd. Dlatego Elettra jest nerwowa. Albo taki Giacomo, ksywka Śmierdziel. Nie da się z nim wytrzymać. Także jemu imię przyniosło pecha. Takie samo

nosił Leopardi, który miał garb, nie miał przyjaciół i do tego jeszcze był poetą. Nikt nie rozmawia z Giacomem, bo śmierdzi, ale nikogo nie stać na to, żeby mu to powiedzieć. Ja, od kiedy zakochałem się w Beatrice, codziennie biorę prysznic i raz w miesiącu się golę. Zresztą to sprawa Giacoma, że się nie myje. Chyba tylko matka byłaby w stanie mu zwrócić uwagę, ale nie robi tego. No dobra, ale co ja mogę na to poradzić? Przecież całego świata nie zbawię! Od tego jest Spiderman.

Głośne beknięcie Nika przywołuje mnie do rzeczywistości. Śmiejemy się, w końcu mówię:

- Masz rację, nie ma sensu za dużo myśleć, od tego robi się biało.

Niko klepie mnie po plecach:

- Jutro masz być w formie. Musimy pograżyć te niedołęgi.

Twarz mi się rozjaśnia: czym byłaby szkoła bez turnieju piłkarskiego?

„Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, nie wiem, dlaczego sprawiło mi to przyjemność, i nie wiem, dlaczego znowu to zrobię” - moja filozofia życiowa streszcza się w tych natchnionych słowach Barta Simpsona, mojego jedynego nauczyciela i przewodnika życiowego. Dam przykład. Dzisiaj nauczycielka historii i filozofii jest na zwolnieniu lekarskim. Świetnie! Przyślą nam kogoś na zastępstwo. Kolejną ofiarę losu.

„Nie wolno ci tak mówić o ludziach!”

Te słowa powtarza do znudzenia moja matka, ale mnie nie przekona. Jak trzeba, to trzeba! Młodzi nauczyciele, którzy tracą życie na zastępowaniu etatowych nauczycieli w liceum, są z definicji kosmicznymi ofermami i ofiarami losu.

Po pierwsze dlatego, że zastępują tych, którzy, jak wiadomo, są nieudacznikami, z czego wynika, że ich zastępcy są nieudacznikami do kwadratu.

Po drugie, jak inaczej nazwać kogoś, kto dobrowolnie zgadza się uczyć, i to za innych - czy to nie jest ofiara losu? Nieudacznik i pechowiec, który w dodatku zaraża swoim pechem innych. Oferma do szczęścia.

Spodziewaliśmy się dziewczyny świeżo po studiach, brzydkiej jak śmierć, w jakiejś zapiętej po szyję fioletowej sukieneczynie; przygotowaliśmy sobie już nawet kuleczki papieru posklejanego śliną, żeby je wydmuchać z morderczą precyzją w jej kierunku przez rurki z rozkręconych długopisów, gdy tylko pojawi się w progu klasy.

Tymczasem przyszedł facet, młody chłopak. W koszuli i marynarce. Schludniutki. Oczy za czarne jak na mój gust. Oprawki okularów też czarne na zbyt długim nosie. Teczka pełna książek. I zaraz zaczął powtarzać, że kocha to, czego uczy. Tylko tego nam brakowało - nauczyciela z powołania! Tacy są najgorsi! Nie pamiętam, jak się przedstawił. Rozmawiałem wtedy z Silvia.

Z Silvia można rozmawiać o wszystkim. Bardzo ją lubię. I często ją przytulam. Robię to tylko dlatego, że sprawia jej to przyjemność - zresztą mnie też. Ale Silvia nie jest w moim typie. To znaczy jest w porządku, można z nią o wszystkim pogadać, potrafi służyć i daje dobre rady, ale brakuje jej tego czegoś - magii, czaru... Brakuje jej tego, co ma Beatrice. Może rudych włosów. Beatrice jednym spojrzeniem wprowadza mnie w trans. Beatrice jest czerwienią. Silvia jest błękitem jak wszyscy prawdziwi przyjaciele. A młody nauczyciel, który zastępuje historyczkę, jest tylko małą czarną plamką na beznadziejnie białym dniu.

Jak pech, to pech.

Ma czarne włosy i czarne oczy. Nosi czarną marynarkę. Krótko mówiąc, wygląda jak Darth Vader z *Gwiezdnych wojen*. Brakuje mu tylko śmiertelności, którym mógłby godzić w swoich uczniów i kolegów z pracy. Nie wie, co ma z nami robić, bo nikt mu tego nie powiedział, a telefon komórkowy profesor Argenterii jest wyłączony. Argenterii nie potrafi się posługiwać komórką. Dostała ją od swoich dzieci - nowy model, można nim nawet robić zdjęcia, tyle tylko, że Argenterii nie wie, który guziczek nacisnąć. Telefonu potrzebuje z powodu choroby męża. Mąż profesor Argenterii ma raka. Mnóstwo ludzi choruje na raka; jeżeli nowotwór zaatakuje wątrobę, szanse są niewielkie. Mąż Argenterii ma właśnie raka wątroby. Na to już trzeba prawdziwego pecha.

Argenterii nigdy nam o tym nie mówiła, dowiedzieliśmy się od profesor Nicolosi, tej od wychowania fizycznego. Jej mąż jest lekarzem, a mąż Argenterii poddaje się chemioterapii w jego szpitalu. Cholerne go pecha ma ta Argenterii! To fakt, że jest okropną nudziarą i ma obsesję na punkcie tego

faceta, który twierdził, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, co mnie osobiście wydaje się oczywiste... Ale i tak jest mi jej strasznie żal, kiedy widzę, jak sprawdza w swojej komórce, czy dzwonił mąż.

Tymczasem nauczyciel, który ma ją zastępować, usiłuje prowadzić lekcję, ale - jak zwykle w takich wypadkach - bez powodzenia, bo nikt go nie słucha. Wielu za to wykorzystuje sytuację, żeby się powygłupiać i podowcipkować za jego plecami na temat kolejnego safanduły i nieudacznika. W pewnym momencie podnoszę do góry rękę i pytam jak najpoważniej:

- Dlaczego wybrał pan taki zawód...? - A półgłosem dodaję: - I skończył jak ostatnia ofiara losu?

Wszyscy się śmieją, ale nauczyciel nie traci rezonu.

- Dzięki mojemu dziadkowi.

No nie, ten facet jest naprawdę tragiczny!

- Kiedy miałem dziesięć lat, opowiedział mi jedną z baśni z *Tysiąca i jednej nocy*.

Cisza. Nauczyciel przerywa ją po chwili:

- Proponuję jednak wrócić do renesansu karolińskiego.

Cała klasa patrzy na mnie. Mają rację, ja zacząłem i ja muszę brnąć w to dalej. Do mnie teraz należy główne miejsce na scenie.

- Panie profesorze, chętnie posłuchamy, jak to było z tą baśnią z *Tysiąca i jednej nocy*.

Słychać czyjs śmiech, potem zapada cisza. Cisza jak w westernie. Wytrzymuję spojrzenie nauczyciela skierowane prosto w moją twarz.

- Nie przypuszczałem, że może was zainteresować historia życia takiego pechowca jak ja.

Cisza. Czuję, że przegrywam ten pojedynek. Nie wiem, co powiedzieć. W końcu decyduję się:

- Ma pan rację, nie interesuje nas.

To akurat nie jest prawda. Chciałbym się dowiedzieć, jak można marzyć o tak beznadziejnym życiu, a potem jeszcze realizować to marzenie. I w dodatku wyglądać na zadowolonego.

Koledzy patrzą na mnie bez sympatii. Nawet Silvia mnie nie popiera:

- Prosimy opowiedzieć, panie profesorze, chętnie posłuchamy.

Opuszczony przez wszystkich, łącznie z Silvia, topię się w bieli, podczas gdy nauczyciel z oczami zapaleńca zaczyna opowiadać:

- Mohammed el-Maghrebi mieszkał w Kairze w niewielkim domu z ogrodem, gdzie rosło drzewo figowe i stała studnia. Był biedny. Pewnej nocy przyśnił mu się ociekający wodą człowiek, który rzekł do niego, wyjąwszy wcześniej z ust złotą monetę: „Twoje szczęście jest w Persji, w Isfahanie, idź je odnaleźć”. Następnego dnia Mohammed podjął długą podróż i pokonawszy mnóstwo niebezpieczeństw, dotarł do Isfahanu. Tam zaskoczyła go noc, położył się więc spać na dziedzińcu meczetu. Tej nocy do domu w pobliżu meczetu wtargnęli złodzieje, którzy jednak spłoszeni krzykami ludzi uciekli, zanim przybyli strażnicy. Przeszukano meczet i znaleziono w nim cudzoziemca z Kairu. Na niego oczywiście padło podejrzenie o kradzież. Wymierzono mu tak silną chłostę bambusowymi kijami, że był bliski śmierci. Kiedy odzyskał przytomność, kapitan strażników kazał go przyprowadzić i zapytał: „Kim jesteś, skąd i po co przybywasz?”. Mohammed powiedział mu prawdę: „Przyśnił mi się człowiek ociekający wodą,

który kazał mi się udać do Isfahanu, gdyż tutaj miało znajdować się moje szczęście. Widzę jednak, że tym szczęściem miała być chłosta, którą mi wymierzyłeś". Słyszając te słowa, kapitan roześmiał się, po czym rzekł: „Głupcze, ty wierzysz w sny? Trzy razy śnił mi się biedny dom z ogrodem w Kairze, w ogrodzie figowiec, za figowcem źródło, a pod źródłem ogromny skarb. Ale ja nie dałem wiary temu kłamstwu i na krok nie ruszyłem się z Isfahanu. Wracaj do swojej ojczyzny! Żebyś cię tu więcej nie spotkał!". Mohammed wrócił do domu i spod źródła w ogrodzie wykopał skarb.

Opowiedział tę historię jak aktor, modulując głos i zawieszając go we właściwych momentach. W klasie panowała cisza, co w połączeniu z wyrazem koncentracji na twarzach zwróconych w jego kierunku nie zapowiadało niczego dobrego. Brakowało nam tylko belfra idealisty. Kiedy skończył, zaśmiałem się ironicznie:

- To wszystko?

Nauczyciel wstał bez słowa, po czym oparł się o brzeg katedry.

- Tak, to wszystko. Tamtego dnia dowiedziałem się od dziadka, że różnimy się od zwierząt, których zachowanie powodowane jest naturalnymi popędami. My jesteśmy wolni. To największy dar, jaki otrzymaliśmy. Dzięki wolności możemy zmienić swój los. Wolność to także prawo do marzeń, a marzenia są limfą naszego życia, chociaż ich ceną bywają dalekie i trudne wędrówki czy nawet chłosta. „Nie wyrzekaj się swoich marzeń! Nawet wtedy, gdy inni śmieją się z ciebie za plecami. Wyrzekłbyś się samego siebie". Do tej pory pamiętam oczy dziadka, gdy wypowiadał te słowa.

Nikt się nie odezwał. Zdawali się zauroczeni. Nie mogłem ścierpieć, że ten facet znalazł się w centrum uwagi, która na lekcjach prowadzonych przez młodych nauczycieli na zastępstwie zwykle należała się mnie.

- Nie widzę związku. Co to ma wspólnego z lekcjami historii i filozofii?

Patrzy na mnie z uwagą.

- Historia to kocioł, w którym mieszają się czyny i dzieła ludzi mających odwagę śnić o wielkich przedsięwzięciach i swoje sny realizować. Filozofia zaś jest ciszą, w której te sny się rodzą. Niestety, czasami okazują się one koszmarem, szczególnie dla tych, którzy muszą ponosić ich konsekwencje. Historia wraz z filozofią, sztuką, literaturą czy muzyką pokazują wartość człowieka. Aleksander Wielki, Oktawian August, Dante, Michał Anioł - wszyscy oni wykorzystali daną im wolność i zmieniając swoje losy, zmienili losy ludzkości. Być może także w tej klasie jest przyszły Dante czy Michał Anioł... Niewykluczone, że to ty nim jesteś.

Nauczyciel rozpała się, gdy mówi o ludziach, którzy ze zwykłych zjadaczy chleba stali się wielcy dzięki swoim marzeniom, dzięki wolności. Patrzę na niego i w głowie mam zamęt. I nie rozumiem, jak to się dzieje, że tak spokojnie słuchamy tych bzdur.

- Tylko wtedy, gdy człowiek wierzy w coś, co zdaje się go przerastać - czyli marzy - ludzkość czyni postępy, które pomagają jej nie tracić wiary w siebie.

Zgrabne stwierdzenie. Typowe dla początkującego belfra i naiwnego idealisty. Zobaczymy, co będzie mówił za rok, ile wtedy zostanie z jego marzeń. Jasne, że marzenia są piękne, ale co z tego?

- Panie profesorze, dla mnie to wszystko puste gadki.

Prowokowałem go, bo byłem ciekawy, czy rzeczywiście wierzy w to, co mówi, czy też może zbudował sobie te wzniosłe teorie, żeby usprawiedliwić swoje niepowodzenia życiowe. Tak czy inaczej, nazwałem go Naiwniakiem.

W odpowiedzi na moją prowokację spojrział na mnie uważnie i po chwili milczenia zapytał:

- Czego się boisz?

Dzwonek ocalił mnie przed gwałtownym pograżeniem się w białych i głuchych myślach.

Niczego się nie boję. Jestem w trzeciej licealnej. Uczę się w liceum humanistycznym, bo tak chcieli rodzice. Ja sam nie wiedziałem, co wybrać. Matka skończyła liceum humanistyczne, tak samo ojciec. Babcia jest uosobieniem edukacji humanistycznej. W naszej rodzinie tylko pies tego uniknął.

„Otworzy ci umysł, rozszerzy horyzonty, ukierunkuje poglądy...”

I kompletnie zatruje życie.

Właśnie. Istnienie tego typu szkoły nie ma najmniejszego sensu. Ja przynajmniej tego sensu nie widzę i żaden nauczyciel mi go dotąd nie pokazał. Pierwszy dzień w pierwszej licealnej: przedstawiamy się kolegom, zwiedzamy budynek szkolny, poznajemy nauczycieli. Coś jak wycieczka po zoo, gdzie nauczyciele reprezentują gatunki chronione, co do których masz nadzieję, że wkrótce całkowicie wymrą.

Na tym skończyło się serdeczne przyjęcie nowych uczniów. W następnych dniach czekały nas jeszcze testy, które miały pokazać poziom wykształcenia każdego z nas, po czym... rozpoczęło się piekło, a nas poddano procesowi kruszenia i mielenia

na proszek. Klasówki, sprawdziany, odpytywania - kucie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. W gimnazjum odbieranie lekcji zabierało mi w najgorszym razie pół godziny. Potem grałem w nogę w każdym możliwym miejscu, łącznie z korytarzem na klatce schodowej i parkingiem pod domem. Kiedy nie dało się inaczej, grałem w piłkę na playstation.

W liceum nastąpiła diametralna zmiana. Kto chciał przejść do następnej klasy, musiał kuć. Uczyłem się bez przekonania, nie widziałem w tym sensu. I nikt z naszych nauczycieli nie zdołał mnie przekonać, że taki sens istnieje. A jeżeli nie potrafią tego ci, którzy poświęcili życie nauczaniu, czy można mieć pretensje do mnie?

Odwiedziłem blog naszego Naiwniaka. Tak, facet, który będzie nas w zastępstwie uczyć historii i filozofii, prowadzi blog i byłem ciekawy, co też może na nim wypisywać. Dla mnie belfrzy nie mają realnego życia poza szkołą; poza szkołą po prostu nie istnieją. Chciałem zobaczyć, co ma do powiedzenia ktoś, kto nie może mieć zupełnie nic do powiedzenia. Pisał na blogu o filmie, który niedawno zobaczył po raz kolejny, o *Stowarzyszeniu Umarłych Poetów*. Wyznał, że ten film uzmysłowił mu, po co znalazł się na tej ziemi. Wyraził to słowami mało konkretnymi, które jednak zrobiły na mnie wrażenie: „Odnajdywać piękno wszędzie tam, gdzie ono jest, i obdarowywać nim ludzi. Po to jestem na świecie”.

Trzeba przyznać, że Naiwniak potrafi się wystąpić. Wystarczyły dwa krótkie zdania, żeby zrozumieć, że facet znalazł sens swojego życia. To prawda, że przeżył już na tym świecie ze trzydzieści lat, miał więc na to dość czasu, ale niewiele osób potrafiłoby to tak jasno wyrazić. Kiedy był mniej więcej

w moim wieku, wiedział już, czego chce. Wyznaczył sobie cel, a potem go osiągnął.

Ja mam szesnaście lat i o niczym specjalnie nie marzę, nie mam wielkich snów. Mam tylko małe, zwykłe sny nocne, których rano już nie pamiętam. Dziewczyna z mojej klasy, którą nazywamy Erika-przez-i, uważa, że to, o czym śnimy, jest związane z reinkarnacją, to znaczy zależy od tego, kim byliśmy w poprzednim życiu. Jak z tym piłkarzem, który utrzymuje, że w poprzednim życiu był dziką kaczką i to mu ułatwiło karierę sportową. Erika-przez-i jest przekonana, że była jaśminem i dlatego teraz uwielbia perfumy.

Nie mam nic przeciwko perfumom Eriki-przez-i, ale nie wierzę w reinkarnację. Gdybym jednak miał wybierać, na pewno wolałbym być zwierzęciem niż rośliną.

Na przykład lwem albo choćby tygrysem czy skorpionem. Reinkarnacja to na pewno ważny temat, ale nie będę się nad nim teraz zastanawiać, jest zbyt skomplikowany. Jedno jest pewne - nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był lwem, za to na pewno została mi lwia grzywa i czasem wydaje mi się, że czuję w sobie lwią siłę. Może więc rzeczywiście w poprzednim życiu byłem lwem i dlatego mam na imię Leo. „Leo” po łacinie znaczy „lew”, a *leo rugiens* - „lew ryczący”.

Tak czy inaczej, jestem uczniem trzeciej klasy liceum humanistycznego, co znaczy, że udało mi się przeżyć dwa lata bez większej katastrofy. W pierwszej klasie miałem dwie poprawki: z greki i matematyki, w drugiej już tylko z greki. Greka jest dla ucznia jak otręby - trudna do przełknięcia i wydalana natychmiast po sprawdzianie, bez przenikania do organizmu.

Winę za moje problemy ponosi nauczycielka greki, profesor Massaroni - najbardziej pedantyczna i bezlitosna belferka w szkole. W cokolwiek by się ubrała, zawsze wygląda, jakby miała na sobie psie futro. W wersji zimowej, jesiennej i wiosennej... nawet latem ma się podobne skojarzenie. Może w poprzednim życiu była psem? Bawię się czasem wymyślaniami, kim mogli być moi znajomi w poprzednim życiu, to pomaga zrozumieć ich charakter. Na przykład Beatrice musiała być gwiazdą. Gwiazdy emitują oślepiające światło, widać je z odległości milionów lat świetlnych, są skoncentrowaną materią, rozżarzoną i świetlistą. I taka właśnie jest Beatrice. Widzę ją już z daleka, jej rude włosy zdają się świecić. Ciekawe, czy uda mi się ją kiedyś pocałować. *A propos!* Wkrótce są jej urodziny. Może mnie zaprosi? Pójdę dzisiaj po południu na przystanek przed szkołą, przynajmniej będę mógł ją zobaczyć. Beatrice jest jak czerwone wino - odurzająca. Jestem w niej zakochany.

W dni, kiedy po południu wypada mecz turnieju piłkarskiego, nie ma czasu na nic innego. Trzeba się przygotować psychicznie, w spokoju nastawić na silne emocje. Każda czynność ma swoje znaczenie i musi być wykonana dokładnie i bez pośpiechu. Najbardziej lubię naciąganie getrów, starannie, tak żeby przylegały ściśle do łydek; wyobrażam sobie wtedy, że to nagołenniki zbroi średniowiecznego rycerza.

Dzisiaj gramy z drużyną czwartej B. Większość tej klasy to dzieci dobrze ustawionych rodziców. Damy im nauczkę. Piraci kontra Pięknisie. Wynik meczu jest przesądzony, ale liczba ofiar nie. Postaramy się zaliczyć ich jak najwięcej. Jest jesienne, wciąż jeszcze ciepłe popołudnie, w słońcu błyszczą nasze czerwone koszulki z czarnym rysunkiem trupiej czaszki i napisem: „Piraci”. Sztuczna trawa boiska wprawia w drzenie wszystkie włókna ciała. Czekamy w pełnej gotowości bojowej, jesteśmy w komplecie: Niko, Czub, Tyczka i Plama, który bardziej niż bramkarza przypomina drzwi antywłamaniowe. Mamy właściwe nastawienie. I na tym właśnie polega różnica

między nami a czwartą B. Nasi przeciwnicy mają pryszczki i wcale nie wyglądają na piękniśków, raczej na fajtlapy.

Nie zdążyli nawet zdać sobie w pełni sprawy, z kim walczą, a już strzeliliśmy im dwa gole. Jeden był mojego autorstwa, drugiego wbił Niko. Dwaj piraci walczący razem na polu karnym. Nawet z zamkniętymi oczami każdy z nas zawsze wie, gdzie jest drugi, ramię przy ramieniu, jak dwaj bracia. Podczas gdy skaczę z radości po precyzyjnym i szczególnie wyrafinowanym strzale pod nieprzewidywalnym kątem, spostrzegam, że meczowi przygląda się Silvia z koleżankami: Eriką-przez-i, Eli, Fra, Barbie i Elettrą. Rozmawiają. Jak zawsze. Piłka nożna kompletnie dziewczyn nie interesuje. Tylko Silvia oklaskuje moją bramkę. Przesyłam jej ręką całusa, jak to robią wielcy piłkarze, gdy dziękują kibicom. Przyjdzie taki dzień, kiedy Beatrice prześle mi taki sam pocałunek. Zadedukuję jej najpiękniejszego gola i przebiegnę blisko publiczności, by wszyscy mogli zobaczyć koszulkę z napisem „*I belong to Beatrice*”.

Zmarł mąż naszej Argenterii. Ona już do nas nie wróci, postanowiła przejść na wcześniejszą emeryturę. Jest załamana. Ma wprawdzie dwoje dzieci, ale zdaje się, że to mąż był treścią jej życia. Bo na pewno już od dawna nie była nią historia ani filozofia. Naiwniak zostanie z nami. A nie mówiłem, że młodzi nauczyciele przynoszą pecha? I żerują na nieszczęściu innych ludzi.

Tak czy inaczej, musimy iść na pogrzeb męża Argenterii, a ja zupełnie nie wiem, jak się w takich sytuacjach należy zachować. Zaczynając od tego, że nie wiem, jak się ubrać. Silvia, jedyna osoba, do której mam zaufanie w tych sprawach, powiedziała, że powinienem włożyć coś ciemnego, na przykład granatowy sweter i koszulę, do tego mogą być nawet dżinsy. To dobrze, bo nie mam innych spodni. W kościele jest mnóstwo ludzi ze szkoły. Siadam w jednej z ostatnich ławek, bo nie wiem nawet, kiedy należy usiąść, a kiedy wstać podczas ceremonii pogrzebowej. A co będzie, jeżeli znajdę się blisko profesor Argenterii? Co się mówi w takich okazjach? „Moje

kondolencje"? To brzmi bezdusznie. Lepiej pozostać niezauważonym, wmieszać się w tłum, w końcu jestem tu nikim.

Pogrzeb prowadzi ksiądz, który uczy w naszej szkole religii. Jest nieduży, można powiedzieć: kieszonkowy, i ma tysiące łagodnych, wciąż zmieniających pozycję zmarszczek, przez co w szkole nazywają go Gandalf, jak czarownika z *Władcy Pierścieni*.

W pierwszej ławce siedzi profesor Argenteri, ubrana na czarno, ale na pewno biała w środku. Wyciera łzy chusteczką. Przy niej siedzą jej dzieci - facet koło czterdziestki i młoda niebrzydka kobieta. Zawsze się zastanawiam, czy dzieci belfrów mogą być normalnymi ludźmi. Mają pewnie w domu szkołę od rana do wieczora. Straszne...

Widok płaczącej Argenteri sprawia mi przykrość. W pewnej chwili niespodziewanie nasze spojrzenia się spotykają. Patrzy na mnie, jakby na coś czekała. Uśmiecham się do niej. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Ona spuszcza wzrok, potem wychodzi z kościoła za trumną. Jestem prawdziwym idiotą. Jedyne, na co mnie stać w obecności kobiety, która właśnie straciła męża, to uśmiech. Czuję się okropnie. Może powinien był coś do niej powiedzieć... W niektórych sytuacjach naprawdę nie wiem, jak się zachować. Ale czy to moja wina?

Po powrocie do domu nie chciało mi się nic robić. Wolałem być sam, ale ogarnęły mnie białe myśli i nie mogłem tego znieść. Włączyłem muzykę i zacząłem czatować z Nikiem na temat pogrzebu.

Ciekawe gdzie teraz jest mąż Argenteri.

Przeszedł reinkarnację?

Zaczął się zamieniać w proch?

Cierpi?

Mam nadzieję, że nie; już dość się nacierpiał. Niko też nie wie, co o tym myśleć, ale uważa, że coś po śmierci musi być. To nie znaczy, że sam chciałby się zamienić w taką, dajmy na to, muchę. Dlaczego właśnie w muchę? Niko tłumaczy mi, że w domu zawsze mu mówią, że jest jak uprzykrzona mucha.

A propos! Chociaż właściwie nie *a propos*, z pogrzebem to ma niewiele wspólnego... Nie mogę zapomnieć o urodzinach Beatrice. Najlepiej, jak od razu wyślę jej SMS-a: „Cześć, Beatrice, jestem Leo, ten z trzeciej D, z wariackimi włosami. Niedługo Twoje urodziny. Co planujesz? Na razie. Leo §:-)”. Nie odpowiada. Czuję się okropnie. Znów zrobiłem z siebie idiotę. Co sobie o mnie pomyśli Beatrice? Uzna mnie za ostatniego niedojdę, który próbuje poderwać dziewczynę na SMS-a. Jej milczenie przenika mi do serca i wypełnia je bielą, jak malarz, który pokrywa ściany równą warstwą farby, zabielając przy tym litery wypisanego na nich imienia „Beatrice”. Kleszcze bólu, strachu i samotności wychodzą z milczącego telefonu i ściskają mi żołądek.

Najpierw pogrzeb, potem brak odpowiedzi od Beatrice. Zamyka się biała brama, na niej widać napis: „Zakaz wjazdu i parkowania”. Nie wolno ci wejść ani zatrzymywać się w pobliżu. Masz odejść. I najlepiej - przestać o niej myśleć. Ale jak to zrobić?

Dzwonię do Silvii. Chyba ze dwie godziny rozmawiamy przez telefon. Ona rozumie, że potrzebuję czyjejś obecności; wiem, bo mi to mówi. Zawsze zgaduje, o co mi chodzi, nawet

wtedy, gdy mówię o czymś zupełnie innym. Silvia w poprzednim życiu była na pewno aniołem. Łapie wszystko w lot, a to na pewno jest cecha aniołów, w przeciwnym razie po co byłyby im potrzebne skrzydła? Tak przynajmniej twierdzi Anna, albo inaczej Siostrzyczka - jak nazywamy w klasie koleżankę, która ostentacyjnie obnosi się ze swoją religijnością. „Każdy ma przy sobie Anioła Stróża. Wystarczy zwrócić się do niego ze swoimi problemami, a on zaraz znajdzie ich przyczyny”. W to akurat nie wierzę, ale na pewno Silvia jest czymś w rodzaju anioła stróża. Po rozmowie z nią od razu poczułem się lepiej. Biała brama się otwarła. Tej nocy spałem spokojnie, ze świadomością, że jest ktoś, z kim mogę zawsze porozmawiać. Mam nadzieję, że Silvii nigdy mi nie zabraknie, nawet wtedy, gdy już będziemy całkiem dorośli. Ale Kocham Beatrice.

Przed zaśnięciem spojrzałem jeszcze na ekranik telefonu komórkowego. Wiadomość! To na pewno odpowiedź od Beatrice, jestem uratowany! „Spij spokojnie, jestem. S.” Ile bym dał za to, żeby zamiast „S” zobaczyć „B”...

Dajcie mi skuter, choćby nawet zdezelowany, a podniosę kulę ziemską. Tak się czuję, gdy przejeżdżam pod szkołą i widzę Beatrice z koleżankami. Lepiej czuć się nie można. Nie mam odwagi się zatrzymać, bo mogłaby powiedzieć przy wszystkich, że nie życzy sobie dostawać ode mnie idiotycznych SMS-ów. Przejeżdżam więc tylko obok z rozwianymi wiatrem włosami, które nie zmieściły się w kasku, i posyłam spojrzenie ostre jak strzała Kupidyna, które tylko ona zauważa. To wystarcza, żebym poczuł w sobie niezwykłą moc. Bez niej skończyłbym pewnie na oglądaniu pornosów i masturbacji. Ale potem byłbym jeszcze bardziej przygnębiony, tak bardzo, że musiałbym zadzwonić do Silvii, choć nie mógłbym przecież wyjawić jej prawdziwej przyczyny mojego przygnębienia, rozmawialibyśmy więc o całkiem innych sprawach. Czy jest na świecie ktoś, z kim mógłbym porozmawiać o wszystkim bez wyjątku?

Szczęście, że moja gwiazda o ognistorudych promieniach zwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie. Wie, że to ja

jestem autorem SMS-a, i spojrzeniem potwierdziła, że mam jeszcze po co żyć. Jestem uratowany!

Frunę więc na swoim skuterze po ulicach wypełnionych tysiącami samochodów, których nawet nie zauważam. Całe powietrze świata głaszcze mnie po twarzy, połykam je, jak połyka się wolność. Śpiewam głośno: „Jesteś pierwszą myślą, jaka budzi mnie o poranku”, a kiedy naprawdę się budzę, jest już ciemno.

Podróżowałem na latającym dywanie, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Dla zakochanych czas nie istnieje. Istnieje za to dla mojej matki, która bynajmniej nie jest zakochana w Beatrice, w związku z czym traumatycznie odczuła czas, jaki upłynął od chwili, kiedy po raz ostatni dałem jej znać o sobie, i okazała mi to z najwyższą irytacją. Ale co ja poradzę? To miłość. W tych okresach życia, które są zabarwione czerwienią, nie patrzy się na zegarek. „Chciałabym wiedzieć, co ty masz w tej głowie?!” Dorośli nie pamiętają, jak to jest być zakochanym. Czy warto im to tłumaczyć? Jaki sens ma opisywanie czerwonego koloru ślepcom? Matka nic nie rozumie, a na domiar złego chciałaby, żebym codziennie wyprowadzał Terminatora na spacer.

Terminator to nasz jamnik w wieku emerytalnym. Jego życie polega na jedzeniu, wycieraniu kątów długaśnym brzuchem i siusianiu całymi litrami. Wyprowadzam go tylko wtedy, gdy nie chce mi się odrabiać lekcji. Może sobie wtedy siusiać do woli, podczas gdy ja oglądam wystawy sklepowe i ładne dziewczyny. Zastanawiam się, po co ludzie kupują psy. Może z dobroci serca - żeby dać pracę kobietom, które przyjeżdżają do nas z Filipin w poszukiwaniu zarobku. W parku jest pełno psów i Filipinek dbających o to, żeby psy się porządnie

wysiusiały. Kto nie może sobie pozwolić na płacenie Filipinkom, wykorzystuje własne dzieci. W każdym razie psy pełnią funkcję statystów. Terminator potrafi tylko susiać, nic więcej. Co tu dużo mówić - ma cholernie pieskie życie.

Nie mogę zasnąć. Jestem zakochany, a w takim stanie bezsenność to najmniejsze zło. Nawet najciemniejsza noc jest czerwona. W głowie tłoczą się tysiące myśli i serce nie może się uspokoić. Co dziwne, wszystko wydaje się wspaniałe. Żyjesz sobie zwykłym życiem, w nudzie i szarej monotonii codziennych spraw. Potem pewnego dnia się zakochujesz i nagle to samo życie staje się piękne i szalenie ciekawe. Wiesz, że po tym samym świecie chodzi twoja ukochana, więc czy możesz przejmować się słabą oceną z klasówki, przedziurawioną oponą w skuterze, psem, którego trzeba wiecznie wyprowadzać na spacer, czy deszczem, gdy nie masz parasola? Nic nie ma znaczenia, wszystko minie, pozostanie tylko miłość. Ognistoruda gwiazda będzie błyszczeć zawsze. Jest Beatrice i jest moja do niej miłość, której nikt mi nie odbierze, bo tkwi głęboko w sercu, tam, gdzie nikt nie ma dostępu. Nie potrafię opisać tego uczucia, ale mam nadzieję, że nigdy nie minie.

Ukołyszany tą nadzieją zasnąłem. Wystarczy, że jest Beatrice; dzięki niej moje życie każdego dnia jest nowe. To miłość czyni życie nowym. Muszę zapamiętać wszystkie te moje odkrywcze myśli. Zapominam mnóstwo ważnych rzeczy, choć przecież wiem, że mogą mi się przydać w przyszłości. Zupełnie jak matka i inni dorośli. A stąd bierze się co najmniej połowa nieszczęść na tym świecie. „W moich czasach nie było takich problemów”. No właśnie: w twoich czasach!

Dobrze byłoby zapisywać to, co odkrywam, żeby nie popełniać wciąż tych samych błędów. Mam fatalną pamięć. To wina rodziców - mam słabe DNA. Ale jednego nie zapomniałem: jutro gramy w rozgrywkach!

I jest jeszcze coś, o czym na pewno nie zapomnę: Beatrice nie odpowiedziała na mój SMS. Beznadziejna sprawa. Owińcie mnie, jak mumię, białymi bandażami...

Gandalf jest człowiekiem stworzonym z wiatru. Patrząc na niego, ma się wrażenie, że może w każdej chwili odfrunąć jak balonik; trudno zrozumieć, jak udaje mu się utrzymać w ryzach hordę prymitywnych licealistów. Do tego jeszcze zawsze się uśmiecha. Swoimi uśmiechami obsiał kamienne posadzki całej szkoły. Idzie korytarzem i się uśmiecha, wchodzi do budynku szkolnego i robi to samo, w odróżnieniu od innych nauczycieli. Wydaje się czasem, że ten uśmiech tak naprawdę nie jest jego.

Wchodzi do klasy z uśmiechem i bez słowa. Potem zapisuje jakieś zdanie na tablicy; wszyscy czekają na tę chwilę. Dzisiaj napisał: „Tam skarb twój, gdzie serce twoje”.

I jak zawsze zaczęła się zabawa.

- Jovanotti!

- N i e .

- Max Pezzali?

- N i e .

- Elisa?

- Nie, wcześniej...

- Lucio Battisti?

- N i e .

- Wiem! - krzyczę z głębi klasy, wyciągając w górę ramiona w geście świadczącym o pewności zwycięstwa: - Sknerus McKwacz!

Klasa wybucha śmiechem.

Gandalf też się uśmiecha, ale milczy. Patrzy na nas dłuższą chwilę, a potem mówi:

- Jezus Chrystus.

- My to zawsze damy się nabrać - mówię. - Przecież wiadomo, że ksiądz bez Chrystusa nie może się obejść.

- A myślisz, że gdybym mógł się bez Niego obejść, nosiłbym takie ubranie?

Gandalf się uśmiecha.

- Ale co znaczy to zdanie?

Znowu się uśmiecha.

- A jak myślicie?

- Coś jak kiedy Gollum mówi: „Mój skarb!”. Nie myśli o niczym innym, bo jego serce jest przy skarbie - wyjaśnia Siostrzyczka. Zwykle się nie odzywa, ale jak już coś powie, ma to sens.

- Nie wiem, kim jest ten Gollum, ale wierzę ci na słowo.

Gandalf nie wie, kim jest Gollum. To nieprawdopodobne, ale tak właśnie jest.

- Zauważcie, że kiedy wydaje się nam, że nie myślimy o niczym, w rzeczywistości najczęściej myślimy o tym, co jest bliskie naszemu sercu. Miłość jest jak siła grawitacji, niewidzialna i wszechobecna, ta, którą znamy z fizyki. Nasze serce

i oczy, nasze słowa, wszystko nieuchronnie koncentruje się na jednym punkcie, na tym, co kochamy. Ulega sile grawitacji jak jabłko Newtona.

- A jeżeli niczego nie kochamy?

- To niemożliwe. Czy można wyobrazić sobie Ziemię albo kosmos bez siły przyciągania? Panowałby chaos. Myli się ten, kto sądzi, że niczego nie kocha. Jego myśli też przyciąga ta siła, tyle tylko, że ów człowiek pewnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Problem polega nie na tym, czy kochamy, ale co kochamy. Może to być piękno, inteligencja, pieniądze, Bóg...

- Jak można kochać Boga, jeżeli nie da się go dotknąć?

- Boga można dotknąć.

- J a k ?

- W Eucharystii.

- Tak się tylko mówi... to tylko taki umowny znak.

- Myślicie, że poświęciłbym życie dla czegoś, co jest jedynie umownym znakiem? A ty, Leo, co kochasz? O czym myślisz, kiedy nie myślisz o niczym?

Milczę, bo nie mogę przecież powiedzieć prawdy na głos. Silvia wpatruje się we mnie, jakby czekała na poprawną odpowiedź albo chciała mi ją podpowiedzieć. Ja znam odpowiedź i najchętniej wykrzyczałbym ją całemu światu: to Beatrice jest moją siłą grawitacji, moim ciężarem, moją krwią, moją czerwienią.

- Ja myślę o czerwieni.

Ktoś się zaśmiał, udając, że złapał dowcip, którego wcale nie powiedziałem.

Gandalf zrozumiał, że nie żartuję.

- Jaki odcień ma ta czerwień?

- Jak ognistorude włosy.

Koledzy patrzą na mnie, jakby podejrzewali mnie o wypalenie skręta przed wejściem do klasy. Tylko Silvia nie wygląda na zdziwioną i spojrzeniem daje mi znać, że jest po mojej stronie.

Gandalf patrzy mi w twarz, więcej - patrzy mi głęboko w oczy. I oczywiście się uśmiecha.

- Ze mną jest tak samo.
- A jaka jest księżka czerwień?
- To czerwień krwi.

Teraz z kolei spoglądamy na Gandalfa jak na kogoś, kto zaciągnął się trawką.

On tymczasem podchodzi do tablicy i bez słowa pisze: „Miły mój, śnieżnobiały, i rumiany...”.

I znów zaczyna się gra.

Tak właśnie wyglądają lekcje z Gandalfem - to jedna wielka improwizacja, ale on zawsze ma w zanadru gotowe zdanie pasujące do kontekstu...

Nikt nie zna tego zdania. Kiedy Gandalf mówi, że to cytat z Biblii, nie wierzymy. Dostajemy więc zadanie domowe: przeczytać Pieśń nad Pieśniami.

Ale zadań domowych z religii i tak nikt nie odrabia.

W szkole robi się tylko to, za co można dostać ocenę.

Nie ma nic przyjemniejszego niż popołudnie spędzone z Nikiem według następującego programu:

Lekki obiad w McDonalddie i ostra jazda na skuterach.

Relaksujący pojedynek na playstation w pokoju Nika - dwie godziny GTA. Kroimy piłą elektryczną co najmniej piętnastu policjantów. Przy takich grach poziom adrenaliny wzrasta tak bardzo, że potem trzeba koniecznie rozładować napięcie. Najlepiej grając w piłkę, i wtedy przeciwnicy nie mają najmniejszych szans.

Następuje przygotowanie do meczu polegające na zażyciu środka dopingującego przygotowanego w warunkach domowych. Tym środkiem jest koktail bananowy, którego przepis matka Nika trzyma w najgłębszej tajemnicy. Matka Nika jest naszym fanatycznym kibicem i kiedy tylko może, podaje nam doping bananowy.

Ostatnim punktem programu jest sam mecz. Dziś gramy przeciwko drużynie Fantacalcio z maturalnej klasy. Nie będzie łatwo. Wygraliśmy z nimi w zeszłym roku, ale właśnie dlatego są niebezpieczni, pałają żądzą zemsty. Widać to po oczach

Wandala, kapitana drużyny. Nie spuszcza ze mnie wzroku, chce odgadnąć, co ich czeka.

Dzisiaj nikt nam nie kibicuje. Pewnie dlatego, że na jutro zapowiedziano klasówkę z biologii. Ja przezornie podjąłem decyzję już parę dni temu - postanowiłem kompletnie zignorować ten sprawdzian.

Rozgrzewamy Plamę strzałami przy samej trawie. Czub wygląda, jakby nie był w najlepszej formie. Ciężar meczu spadnie więc na nas, na Nika i na mnie, ale na szczęście jesteśmy nabuzowani koktailem bananowym i adrenaliną wytworzoną przez GTA. Trawa na boisku już czeka na pieszczotę naszych adidasów.

Wynik jest zablokowany przez całą pierwszą połowę na poziomie zero do zera. Wandal przyczepił się do Nika i nie opuszcza go na krok, nie daje mu odetchnąć. Trzeba coś z tym zrobić, ale nie wiem co. Widzę, że Niko też ma tego dość i kiedy Wandal rozpoczyna szczególnie bezczelny pressing, podgryzając mu prawie łydki niczym mastif neapolitański, i nie pozwala na oddanie strzału, adrenalina wyprodukowana przez GTA bierze górę i Niko fauluje przeciwnika, który chwilę wcześniej odebrał mu piłkę. Wandal pada na trawę z okrzykiem bólu. Jeżeli nie złamał sobie nogi, to będzie cud. Ściska w rękach stopę, twarz ma wykrzywioną jak Gollum. Wszyscy ich obstąpili. Nie zdążyłem podejść, kiedy na nosie Nika wylądował cios, od którego mój przyjaciel zgiął się wpół i złapał za twarz zalaną krwią. Nie myśląc wiele, podbiegłem do chłopaka, który uderzył Nika.

- Co robisz, kretynie!?

To, co zobaczyłem w jego oczach, to nie była zwykła złość, tylko diabelski błysk, po którym nastąpiło uderzenie

o impecie gwałtownie uwolnionej sprężyny, tak silne, że zanim upadłem na tyłek, pofrunąłem ze dwa metry do tyłu, a potem przez dłuższą chwilę nie mogłem złapać oddechu.

- Coś ty powiedział?!

Czułem w nozdrzach jego ciężki oddech. Nie miałem odwagi zareagować, zmasakrowałby mnie chyba na miejscu. Na szczęście w tej samej chwili zainterweniował sędzia i wyrzucił z boiska zarówno Nika, jak i rozwścieczonego napastnika.

Bez Nika mecz stracił rytm. Wandal w cudowny sposób powrócił do pełnej formy i strzelił gola nie do obrony.

Jeden do zera dla drużyny Fantacalcio.

Kiedy po meczu wróciłem do szatni, Nika już tam nie było.

Przy wyjściu czekał za to na mnie Wandal z jemu podobnymi prymitywami. To się mogło dla mnie źle skończyć.

- Dzisiaj twojemu koledze się udało, ale następnym razem nie zejdziesz żywy z boiska. Pośpiesz się, na pewno będziesz musiał go pocieszyć, ty mięczaku!

Wspaniały pirat wraz z całą swoją załogą został zwyciężony i upokorzony przez horde rozsierdzonych prymitywów. Nie pozostało mi nic innego, jak odejść w milczeniu.

Niko pojawił się w szkole z ciemnym sińcem pod okiem. Chłopak, który go uderzył, został zawieszony w rozgrywkach.

- Zapłaci mi za to! Zobaczysz, co mu zrobię! Zobaczysz!

Niko jest naprawdę wściekły.

- Daj spokój, Niko. On już jest wyłączony z gry. Zresztą twój atak na Wandala też nie był zbyt delikatny.

Niko piorunuje mnie spojrzeniem zwężonych oczu.

- Ty mu jeszcze przyznajesz rację?! Zrobił się z ciebie prawdziwy mięczak. Facet bez jaj.

- Gdybyś wczoraj w porę się uspokoił, nie przegralibyśmy meczu...

- Aaa! Więc to moja wina. Wiesz co, Leo? Idź do diabła!

Odwraca się do mnie plecami, nie zostawiając mi czasu na ripostę. Doskonały początek dnia!

Naiwniak wszedł do klasy, trzymając w ręce książkę, niewielką, najwyżej sto stron.

- Ta książka może zmienić życie - oznajmił.

Nigdy bym nie pomyślał, że książki mogą zmienić cokolwiek, a już na pewno nie życie. To znaczy - i owszem, zmieniają człowiekowi życie, bo najczęściej trzeba je czytać wtedy, gdy chciałoby się robić coś zupełnie innego. Cóż, Naiwniak jest tylko naiwniakiem i nie może się obyć bez marzeń. Ciekawe, co wymyśli, żeby powiązać tę broszurkę z wykładanym przez siebie przedmiotem.

Załatwił to jednym zdaniem - stwierdził, że w celu zrozumienia każdej epoki historycznej należy poznać sposób myślenia ludzi, którzy w niej żyli, po czym zaczął czytać. Okazało się, że przyniósł książkę napisaną przez Dantego Alighieri, ale nie *Boską komedię*, bo to okropna cegła, tylko cieniutką książeczkę opisującą historię jego miłości.

Nie do wiary! Dante był zakochany tak samo jak ja! Napisał książkę dla Beatrice i zatytułował ją *Nowe życie*, to znaczy, że dokonał tego samego odkrycia co ja, mianowicie że miłość czyni życie nowym. A gdybym to ja miał być następcą Dantego? Może Naiwniak miał rację...? Tak czy inaczej, *Nowe życie* opowiada o spotkaniu poety z Beatrice i o tym, jak to spotkanie zmieniło jego życie. To nieprawdopodobne: facet ze średniowiecza doświadczył tego samego co ja! Może rzeczywiście jestem jego następnym wcieleniem?

Szkoda, że profesor Rocca ma całkiem inne zdanie na ten temat. Określa mój styl jako niechlujny i mało klarowny i rzadko daje mi stopnie wyższe niż pięć z dwoma minusami w skali dziesięciostopniowej, co jest może nawet jeszcze gorsze niż równe cztery. Z tego chyba należy wysnuć wniosek, że nie jestem jednak następnym wcieleniem Dantego. Chociaż, prawdę mówiąc, Dantego też ciężko się dzisiaj czyta, więc może niejasny

styl moich wypracowań wróży mi wielką przyszłość... Tak czy inaczej, nawet jeżeli nie jestem Dantem, Beatrice pozostaje Beatrice i nie mogę przestać o niej myśleć, i chciałbym wszystkim o niej mówić, bo jak napisał Dante: „Chcę wam mówić o mojej pani, / nie dlatego, bym wierzył, iż dosyć wystawić ją zdołam, / ale by, o niej rozprawiając, dać upust moim myślom”.

Dante miał rację. Muszę przeczytać całą książkę, przepisać sobie może któryś z wierszy i zadedykuję go Beatrice. A może wyślę jej SMS-a z jakimś sławnym cytatem. Na takiego SMS-a z pewnością mi odpowie i nie zrobię z siebie idioty. Zrozumię, że traktuję ją poważnie, jak Dante swoją Beatrice. Nie mogę się poddać. Lew, który się poddaje, nie jest lwem. Pirat, który się wycofuje, nie jest piratem. Ona zrozumię, także dlatego, że uczyła się o poezji Dantego w zeszłym roku, a jeżeli już nie pamięta, zapyta mnie... Beatrice jest w czwartej klasie i świetnie się uczy. Wysłałam jej wiadomość: „Incipit *Vita nova*..! Fajnie wyglądają te łacińskie słowa, tak jakoś elegancko. T9 pewnie nie zareaguje na łacinę, ale Beatrice zrozumię.

Jedno mnie wkurza. Moi koledzy zdają się zmieniać zdanie na temat Naiwniaka, nie myślą już o nim jako o safandule i nieżyciowym idealistcie przynoszącym pecha. I jeżeli mam być szczery, ja też - niestety - zaczynam go widzieć inaczej i nie mogę tego ścierpieć... Muszę coś zrobić, żeby przywrócić wszystkiemu właściwy wymiar, może odkryć jego słabe punkty, po czym zaatakować, jak przystało na pirata...

T9 to jeden z największych wynalazków XXI wieku. Dzięki niemu oszczędza się mnóstwo czasu przy wysyłaniu SMS-ów, a poza tym można się pośmiać, bo system, starając się odgadnąć intencje nadawcy, podpowiada czasem słowa, co daje zabawny efekt. Kiedy na przykład chcę napisać „*sorry*”, wyświetla się zbitka liter, która robi wrażenie, jakby nagle rozbołały mnie zęby albo jakbym się czegoś bardzo wystraszył. I coś w tym jest, bo rzeczywiście kiedy mam kogoś za coś przeprosić, jestem zawsze lekko wystraszony.

T9 bardzo mi się przydaje. Ciekawe, czy Dante miał do dyspozycji coś w tym rodzaju, gdy układał swoje rymy. Niektórzy ludzie potrafią robić niesamowite rzeczy. Cóż, mają specjalne predyspozycje. Ja na razie nie potrafię robić nic szczególnego, ale nie tracę nadziei. Nauczycielka angielskiego mówi, że mam potencjalne możliwości, ale się nie przykładam. No właśnie - mam potencjalne możliwości, mógłbym robić wszystko, ale na razie nie zdecydowałem, czemu się poświęcę. Mógłbym zostać Dantem, Michałem Aniołem, Einsteinem,

Eminemem albo Jovanottim, jeszcze nie wiem. Muszę to przemyśleć.

Według tego, co mówi Naiwniak, powinienem odkryć swoje wielkie marzenie i zamienić je w konkretny projekt. Chciałbym wiedzieć, jak się odkrywa marzenia. Chętnie bym go o to zapytał, ale tym samym przyznałbym mu rację, poza tym nie przekonuje mnie twierdzenie, że w wieku szesnastu lat można już mieć marzenia na całe życie. Tak czy inaczej, częścią składową mojego marzenia będzie na pewno Beatrice.

Beatrice nie odpowiedziała na mojego SMS-a. Jest mi przykro, sądziłem, że przynajmniej Dante zrobi na niej wrażenie. Ściska mnie w żołądku, a serce zapełnia biel. Mam wrażenie, jakby Beatrice wymazała mnie z powierzchni ziemi za pomocą korektora, jakbym nie był dla niej niczym więcej niż błędem ortograficznym. „U” zamiast „ó”? Mała litera zamiast wielkiej? - maźnięcie korektorem i już mnie nie ma, zniknąłem jak każdy inny błąd. Kartka papieru pozostaje biała i czysta i nikt nie widzi bólu kryjącego się pod cienką warstwą białej substancji.

Poezja to rymowane oszustwo. Wypchaj się, Dante!

Beatrice ma ognistorude włosy. Beatrice ma zielone oczy. Beatrice. Po lekcjach zatrzymuje się czasem z przyjaciółmi pod szkołą. Beatrice nie ma chłopaka. W zeszłym roku byłem na jej urodzinach. Czułem się jak we śnie. Cały czas starałem się stać w cieniu, by móc na nią patrzeć i zapamiętać każdy jej gest i wyraz twarzy. Mój mózg działał jak kamera i dzięki temu mogłem później, kiedy tylko miałem na to ochotę, oglądać najpiękniejszy film, jaki kiedykolwiek nakręcono na ziemi.

Gdzie znalazłem odwagę, by poprosić ją o numer telefonu? Prawdę mówiąc, wcale jej nie znalazłem. Numer dostałem po wakacjach od Silvii. Silvia przyjaźni się z Beatrice, ale nie przypuszczam, żeby powiedziała jej o numerze. Może dlatego Beatrice nie odpowiada na moje SMS-y? Nie wie, że to ja jestem ich nadawcą. Ona w mojej komórce nazywa się „Ognista”. Ognista jak gwiazda; czerwona jak zachodzące słońce, jak rubin, jak czereśnia. Tak czy inaczej, mogłaby odpowiedzieć, choćby z ciekawości.

Ale, ale! Nie mogę zapominać, że w poprzednim życiu byłem lwem! Nie wolno mi tak łatwo rezygnować. Powinienem

zaszyć się w buszu, w odpowiedniej chwili wyskoczyć z zarośli i zapędzić ofiarę w miejsce, z którego nie mogłaby uciec. Tak właśnie zrobię z Beatrice. Postawię ją w sytuacji, w której nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko wybrać właśnie mnie.

Jesteśmy stworzeni dla siebie. Ja to wiem, ona jeszcze nie. Nie wie jeszcze, że mnie kocha.

Podzieliłem się dzisiaj moimi problemami z Terminatorem. Tak, bo przekonałem się wielokrotnie, że o ważnych sprawach nie warto rozmawiać z dorosłymi. Najczęściej nawet nie słuchają albo kwitują: „Nie myśl o tym, zobaczysz, że to wkrótce minie bez śladu”. Nie rozumieją, że jeżeli zwracam się do nich z jakimś problemem, robię to dlatego, że problem nie mija. Od dorosłych można się też spodziewać serii stwierdzeń rozpoczynających się od słowa „kiedyś”: „Kiedyś to zrozumiesz” albo „Kiedyś będziesz miał własne dzieci i wtedy...”, albo „Kiedyś, jak już będziesz pracował...”.

Dlaczego mam czekać, aż wszystko spadnie na mnie razem: dorosłość, dzieci, praca? Mogę nie wytrzymać tego uderzenia, porazi mnie jak piorun z jasnego nieba! Czy nie lepiej zacząć stopniowo rozeznawać się we wszystkim, nie czekać na ten straszny dzień nagłego objawienia? Chcę zrozumieć już dzisiaj, a nie „kiedyś”. Dzisiaj. Teraz. Jeżeli „kiedyś” zastanie mnie nieprzygotowanym, grozi mi szok o nieprzewidywalnych konsekwencjach, a wszystko tylko dlatego, że wcześniej nie znalazł się

nikt, kto byłby skłonny choć trochę mnie oświecić. Byli tylko ci, co przepowiadali nadejście tego dnia, jakby miała w nim nastąpić zagłada i zniszczenie...

Na belfrów nie ma co liczyć. Kiedy próbujesz porozmawiać z nimi poważnie, zbywają cię jakimś „nie teraz”, które oznacza po prostu „nigdy”. Poza tym tak się jakoś dziwnie składa, że o rzeczach przykrych: o słabym stopniu, klasówce, uwadze w dzienniku itp., powiadają cię od razu, ale pochwała z trudem przechodzi im przez gardło. Robią to oczywiście dla twojego dobra, byś - jak mówią - nie spoczął na laurach. Osobiście uważam, że laury nie są szczególnie wygodnym miejscem na wypoczynek... Tak czy owak, od nauczycieli więcej się nie dowiesz.

Rodzice? Jeszcze gorzej. Mam wrażenie, jakby nigdy nie byli w moim wieku. Poza tym ojciec po powrocie z pracy jest zawsze zmęczony, sił wystarcza mu najwyżej na obejrzenie meczu w telewizji. Z matką wstydę się rozmawiać, w końcu nie jestem już dzieckiem i nie mogę zwierzać się ze wszystkiego mamusi. Wyłączywszy rodziców i nauczycieli, kto mi zostaje? Niko od meczu z drużyną Fantacalcio nie rozmawia ze mną... Mam więc tylko Terminatora, który przynajmniej cierpliwie mnie słucha, wie, że potem może liczyć na ciasteczko o smaku smażonego kota.

- Wiesz, od kiedy Naiwniak wyszedł z tą gadką o marzeniach, nie mogę przestać o tym myśleć; to coś jakby śwędzenie, tylko głębok. Tobie trudno to zrozumieć, bo jakie też możesz mieć marzenia, jakie plany na przyszłość? Ty możesz sobie tylko żyć tym twoim psim życiem: jeść, spać, siusiać i na koniec zdechnąć jak pies. Ze mną jest inaczej. Ja chciałbym mieć wielkie projekty, jakieś wielkie marzenie. Jeszcze nie wiem jakie, ale lubię czasem o tym marzeniu pomarzyć. Leżę sobie

w łóżku i myślę o moich pragnieniach, wybieram te, które zasługują na miano marzenia. Chciałbym pozostawić po sobie jakiś ślad, a chyba tylko dzięki marzeniom, tym naprawdę wielkim, można to osiągnąć.

Terminator szarpie smycz. Nawet on nie potrafi się skoncentrować. Pewnie coś mu zapachniało.

- Nie przerywaj, słuchaj! Chciałbym mieć jakieś wielkie marzenie. Naprawdę. Ale jak je odkryć? Tobie jest łatwo, nie męczy cię myśl o przyszłości. Ja nie jestem psem. Naiwniakowi wystarczył film i dziadek z jego bajeczkami. Może powinienem chodzić częściej do kina? Dziadka nie mam, a z babcią nie można pogadać, bo niedosłyszysy i trzeba do niej krzyczeć, a poza tym nie lubię jej zapachu, zapachu starości, kręci mnie od niego w nosie. A może powinienem więcej czytać? Naiwniak twierdzi, że marzenia czekają na odkrycie w tym, co porusza nas do głębi, co kochamy - jakieś miejsce, fragment książki, film, obraz... Ofiarują nam je często twórcy piękna. Tak mówi Naiwniak. Nie do końca wiem, co chce przez to powiedzieć, ale brzmi przekonująco. Zacznę szukać. Może poproszę kogoś o radę, pamiętając jednak o tym, żeby nikomu się nie dać zbajerować, bo przecież jestem konkretnym facetem, który nie buja w obłokach. Może to i prawda, że życie bez marzeń jest jak ogród bez kwiatów, ale uważam, że życie z marzeniami nierealnymi to ogród ze sztucznymi kwiatami... Co o tym myślisz, Terminator?

W odpowiedzi Terminator obsusiał słup. Długość tego aktu była proporcjonalna do długości moich wynurzeń.

- Dzięki, Terminator. Ty jeden mnie rozumiesz.

Myślę, że Beatrice jest chora. Panuje grypa, ale ja nigdy jakoś nie mogę zachorować. Nie widziałem jej od dwóch dni. Bez ognistego blasku jej włosów dni wydają się puste. Są białe jak dni bez słońca.

Po szkole podwoziłem Silvię skuterem do domu. Zawsze mnie prosi, żebym jechał wolniej. Cóż, kobiety... W drodze długo rozmawialiśmy. Zapytałem, czy ma jakieś wielkie marzenie, z rodzaju tych, o których mówił Naiwniak. Powiedziałem jej o marzeniu Nika. On już dzisiaj dokładnie wie, czego chce. Będzie robił to samo co ojciec. Ojciec Nika jest dentystą i zarabia kupę pieniędzy. Niko chce studiować stomatologię, a potem będzie pracować w gabinecie ojca. Twierdzi, że to jest właśnie jego marzenie, ale moim zdaniem nie można tego tak nazwać. Niko ma już wszystko dokładnie zaplanowane, a marzenie - o ile dobrze zrozumiałem - musi zawierać część tajemnicy, coś, co trzeba dopiero odkryć. Tymczasem Niko już wszystko wie.

Ja nie odkryłem jeszcze swojego wielkiego marzenia i to jest piękne. Świadomość, że czeka mnie coś nieznanego, jest niesamowicie ekscytująca. Silvia swoje marzenie już ma. Chce zostać malarką. Silvia bardzo dobrze maluje, to jej ulubione zajęcie. Najczęściej kopiuje sławne dzieła. Kiedyś nawet podarowała mi jeden ze swoich obrazów, jest na nim kobieta chro- niąca się przed słońcem pod białą parasolką. Ten obraz jest niesamowity - kolory użyte do namalowania sukienki i twa- rzy kobiety są tak lekkie, że mieszają się z białym światłem, przed którym postać się osłania. To jedyny wypadek, w któ- rym biel zupełnie mi nie przeszkadza, Silvia oszukała ją w tym swoim malunku. Bardzo go lubię. Uniknąwszy co najmniej piętnastu śmiertelnych wypadków z winy niesprawnych ha- mulców mojego skutera, dojechaliśmy do domu Silvii, która jeszcze nie skończyła mówić o swoim marzeniu:

- Niestety, rodzice są temu przeciwni. Mówią, że na ma- larstwie nie da się budować przyszłości, może ono być jedy- nie moim hobby. To bardzo trudna droga, tylko nieliczni od- noszą sukces, inni żyją w biedzie.

Myślę, że głównym zajęciem rodziców jest przypominanie dzieciom o lękach, których dzieci wcale nie mają. To rodzice się boją. Ja natomiast jestem szczęśliwy, że Silvia ma takie właśnie marzenie. Kiedy o nim mówi, ożywia się, a oczy błyszczą jej podobnie jak Naiwniakowi, gdy prowadzi z nami lekcje. Być może tak samo błyszcząły oczy Aleksandra Wielkiego, Michała Anioła i Dantego. Moim zdaniem marzenie Silvii jest jak naj- bardziej właściwe. Proszę ją, żeby zwróciła uwagę, czy błysz- czą mi oczy, gdy o czymś mówię. Może w ten sposób odkryję wreszcie moje wielkie marzenie. Silvia się zgadza.

- Na pewno dam ci natychmiast znać.

Proszę ją też, żeby namalowała dla mnie jeszcze jeden obraz. I na to się zgadza. Sprawiałem jej przyjemność tą prośbą, mam wrażenie, jakby promieniowało z niej błękitne ciepło. Sprawiało to jej marzenie. Ja swojego jeszcze nie znam, ale czuję, że wkrótce je odkryję. Skąd to wiem? Dzięki worom pod oczami. Tak, mam pod oczami wory, które mi służą do przechowywania marzeń. Kiedy już znajdę moje marzenie, opróżnię worki i oczy zaczną mi błyszczeć, a spojrzenie stanie się lekkie.

Przyśpieszam, wpatrzony w niebieski horyzont, i wydaje mi się, że frunę, bez hamulców i bez marzeń.

Beatrice wciąż jeszcze nie przychodzi do szkoły.

Nie ma jej też po południu na przystanku.

Moje dni są puste.

Są białe, tak samo jak dni Dantego, kiedy już nie spotykał Beatrice.

Nie mam nic do napisania, bo gdy nie ma miłości, słowa się kończą.

Strony pozostają białe, życiu zabrakło atramentu.

Nareszcie porozmawiałem z Naiwniakiem.

- Co zrobić, żeby odkryć swoje wielkie marzenie? Tylko proszę, profesorze, potraktować mnie poważnie.

- Trzeba go szukać.

- J a k ?

- To dobre pytanie.

- To znaczy?

- Czytaj, obserwuj, studiuj... I wszystko to rób z zaangażowaniem, z pasją i dociekliwością. Stawiaj sobie pytania wobec każdej rzeczy, która cię poruszy lub zainteresuje. Za każdym razem zastanów się, dlaczego to akurat wywarło na tobie takie wrażenie. W ten sposób możesz odkryć swoje marzenie. Ważne jest poruszenie serca, nie kalkulacja rozumu.

Tyle usłyszałem od Naiwniaka. Skąd on bierze wszystkie te słowa, nie mam pojęcia. A więc według niego muszę szukać wśród tego, co jest bliskie memu sercu. Problem w tym, że takie poszukiwania wymagają czasu i wysiłku, a to nie bardzo mi się uśmiecha...

Postanowiłem jednak zastosować metodę Naiwniaka, zaczynając od rzeczy znanych. Zrobiłem w myślach przegląd wszystkiego, co jest bliskie memu sercu. Jest to na pewno muzyka i skuter, a także Niko, Beatrice, Silvia oraz marzenie, którego jeszcze nie znam. Bliscy memu sercu są także mama i ojciec, kiedy się nie czepiają. Jest mi bliskie... Chyba już nic więcej. Zdaje się, że to niewiele, przydałoby się coś jeszcze. Muszę się przyłożyć i poszukać czegoś więcej, a potem postawić sobie właściwe pytania i na nie odpowiedzieć.

Na jedno już sobie odpowiedziałem: po czym poznaję, że Silvia jest bliska memu sercu? Cóż, lubię ją i chcę, żeby udało jej się urzeczywistnić swoje marzenie. Poza tym kiedy z nią jestem, ogarnia mnie głęboki spokój, który czuję fizycznie aż w żołądku, jak wtedy gdy w dzieciństwie mama brała mnie za rękę w zatłoczonym supermarkecie. A Niko? Jest mi z nim dobrze, nie muszę się przed nim z niczego tłumaczyć, nie czuję się osadzany. No właśnie! Trzeba coś z tym zrobić, nie możemy wiecznie się na siebie bocyć. Wkrótce mamy następny mecz i jeżeli się przedtem nie dogadamy, Piraci zatoną.

Potem zastanowiłem się nad muzyką i doszedłem do wniosku, że daje mi poczucie wolności. Podobnie jak skuter bez hamulców. Mam już w rękę kilka elementów układanki, wiem, że ważne są dla mnie relacje z ludźmi oraz wolność. To będą składniki mojego wielkiego marzenia. Tyle wiem, ale to wciąż niewiele.

Dlaczego Beatrice jest bliska memu sercu? To pytanie jest trudniejsze, nie znalazłem jeszcze na nie odpowiedzi. Jest w Beatrice jakaś tajemnica, coś, czego nie potrafię zrozumieć. Tajemnica szkarłatna jak słońce, które wschodząc, czyni noc

przed świtem ciemniejszą niż w rzeczywistości. Ona należy do moich marzeń, i tyle - oto dlaczego nie ma wytłumaczenia. Te myśli nie dają mi dzisiaj spać. Obejrzałem jakiś horror w telewizji. Po tym też nie da się spać. Mam przed sobą podwójnie białą noc.

W pierwszej i drugiej klasie liceum zadawano nam czasem ćwiczenie polegające na tym, by znaleźć nie tylko włoskie odpowiedniki słów z greckich tekstów, ale i wszystkie wyrazy, które od nich pochodzą. Zapamiętałem sobie z tych czasów między innymi dwa terminy.

Leukos - biały. Od niego pochodzi włoskie słowo *Juce*", czyli światło.

Haima - krew. Stąd włoskie „*ematoma*”, czyli krwiak.

Jeżeli połączyć te dwa mało przyjemne słowa w jedno, otrzyma się nowe słowo, nie tyle nieprzyjemne, ile wręcz przerażające: „*leukemia*”, czyli białaczka. Tak nazywa się choroba nowotworowa, która atakuje krew. Ta nazwa pochodzi z języka greckiego, jak wiele innych nazw chorób, i znaczy tyle co „biała krew”.

Wiedziałem, że po bieli nie można się spodziewać niczego dobrego. Jak krew może być biała? Przecież krew jest czerwona!

A łzy są słone.

Silvia powiedziała mi to, zalana łzami:

- Beatrice ma białaczkę.

I jej łzy stały się moimi.

Oto dlaczego nie przychodziła do szkoły. Oto dlaczego zniknęła. Jak mąż profesor Argenterii. Beatrice ma raka krwi. Białaczkę. Ale może będzie się mogła z niej wyleczyć? Bez Beatrice jestem skończony, moja krew też stanie się biała.

Ta cała gadka o marzeniach to jedna wielka bujda. Wiedziałem. Zawsze o tym wiedziałem. Przychodzi cierpienie i nic już nie ma sensu. Można budować coś przez całe życie, a potem niespodziewanie ktoś lub coś to niszczy. Po co więc to wszystko? Beatrice była częścią mojego wielkiego marzenia, była jego tajemnicą, kluczem, który miał otworzyć bramę. A teraz pojawiła się ta choroba i chce mi ją zabrać. Jeżeli Beatrice zniknie, zniknie moje marzenie, a noc pozostanie w swej najciemniejszej ciemności, bo nigdy nie przerwie jej świt.

Po co, do jasnej cholery, istnieje to choróbsko, które rozbiła krew?! Naiwniaku, jesteś obrzydliwym kłamcą, z tych najgorszych - z tych, którzy sami wierzą w swoje zmyślenia! Jutro przedziurawię opony tego twojego zardzewiałego roweru. Jestem głodny. Wysłałam SMS-a do Nika: „Muszę się z tobą zobaczyć”.

Nie ma nic smutniejszego w całej galaktyce niż McDonald po południu. Do towarzystwa masz jego typowy smrodek i krzykliwych smarkaczy z gimnazjum. Ale co mnie to obchodzi, niczego więcej nie potrzebuję. Nigdy z Nikiem nie rozmawiałem o Beatrice. Beatrice była moją tajemnicą, wyspą na przejrzystych wodach Morza Karaibskiego, gdzie zawsze mogłem się schronić. Z Nikiem rozmawiamy o laskach, o ślicznotkach... Beatrice nie jest laską i chociaż jest śliczna, na pewno nie należy do kategorii dziewcząt, u których szacuje się wymiary i ocenia poszczególne części ciała. Beatrice się nie szacuje. Dzisiaj też nie będę z nim rozmawiać o Beatrice, cały gniew i ból zatrzymam w sobie. Niko usiadł przy stoliku i zapytał z naburmuszoną miną:

- O co chodzi?

- Przestańmy się wygłupiać. Nie wypada, żeby piraci dąsali się jak dziewczyny.

Niko tylko na to czekał. Uśmiechnął się i wydawało się, jakby odtajały mu oczy. Dał mi kuksańca w bok.

- Straszni z nas kretyni.

- Mów za siebie.

Śmiejemy się. Potem, siorbiąc coca-colę, rozmawiamy. Zaczynamy dokładnie w miejscu, w którym przerwaliśmy rozmowę ostatnim razem. Tak jak to potrafią tylko prawdziwi przyjaciele.

- Musimy sobie razem pograć. Już dawno nie zaszaleliśmy.

- Właśnie. A poza tym trzeba się przygotować do następnego meczu.

- Z kim gramy?

- Z tymi mięczakami z trzeciej A.

- Z tymi, co się nazwali X-Men?

- T a k .

- To bułka z masłem.

- Niko...

Patrzy na mnie.

- Boisz się śmierci?

- Co ty tu, do cholery, wyjeżdżasz ze śmiercią, kiedy pijemy sobie spokojnie colę w McDonalddie! Całkiem ci odbiło, Leo. Według mnie to przez te włosy. Powinieneś je obciąć, bo tlen nie dociera ci do mózgu.

Wybucham śmiechem, ale w środku czuję się zamrożony jak lód.

- Co ja ci zawsze powtarzam?

Naśladuję jego metaliczny głos:

- Nie myśl za dużo, bo ci się zrobi biało.

- No właśnie. Chodź, pójdziemy na miasto, poderwiemy jakieś laski.

- Nie, muszę wracać do domu... muszę się uczyć na jutro...

Niko kwituje to śmiechem.

Ja też udaję śmiech.

- No to cześć, do jutra.

- Do jutra. Zmiażdżymy ich!

Nie jest łatwo być słabym.

O tym, że Beatrice jest w szpitalu, dowiedziałem się od Silvii. Tylko ona ma prawo mówić mi takie rzeczy. W szpitalu Beatrice poddano transfuzji; trzeba zaatakować jej białą krew krwią czerwoną i mieć nadzieję, że zacznie się tworzyć nowa, czysta i czerwona. Taki zmasowany atak na białą krew może ją uratować. Przetaczana krew musi należeć do tej samej grupy co krew Beatrice. Ja nie wiem, jaką ona ma grupę krwi, ale wiem, że moja krew jest najczerwieńsza z czerwonych i oddałbym ją całą, byle tylko na powrót rozpałała ogień jej włosów.

Frunę na skuterze. Nikomu nie powiedziałem, dokąd jadę. Wszystko wydaje mi się białe: ulice, niebo, twarze mijanych ludzi, mury szpitala. Wchodzę do budynku, gdzie osacza mnie zapach środków dezynfekcyjnych, który kojarzy mi się niemiło z gabinetem dentystycznym. Szukam sali, w której leży Beatrice. Nie pytam nikogo, bo mam w sercu kompas, który nieomylnie pokazuje moją północ - to znaczy Beatrice. Rzeczywiście, szybko ją znajduję. Patrę na nią z korytarza; śpi. Moja śpiąca królewna. Przy łóżku siedzi jakaś kobieta

o rudych włosach, to pewnie matka. Ona też ma zamknięte oczy. Nie odważam się wejść. Po prostu się boję, nie wiem, co mówi się w takich sytuacjach. Silvia na pewno by wiedziała, ale przecież nie mogę do niej ciągle wydzwaniać.

Potem przypominam sobie o swoim wielkim marzeniu i o tym, że Beatrice jest jego częścią. Idę więc do recepcji i mówię, że chciałbym oddać moją czerwoną krew, żeby można nią zastąpić białą krew Beatrice. Pielęgniarka patrzy na mnie zdziwiona.

- Słuchaj, tutaj nikt nie ma czasu na żarty.

- Ja nie żartuję.

Chyba zrozumiała, że mówię poważnie, ale i tak spogląda na mnie bez sympatii, kiedy pyta:

- Ile masz lat?

Odpowiadam z równie nieprzyjemnym wyrazem twarzy:

- Szesnaście.

I dowiaduję się, że niezbędne jest pozwolenie od rodziców, bo jestem nieletni. A to dopiero! Trzeba pytać o pozwolenie, żeby oddać krew dla chorego człowieka! Człowiek chce skonstruować sobie nareszcie swoje wielkie marzenie albo je ocalić, i w tym celu musi starać się o pozwolenie. Co za cholerny świat! Najpierw namawiają cię, żebyś marzył, a potem, jak już zaczniesz, przeszkadzają ci w tym na wszystkie sposoby. To z zawiści! Zawiść każe im wymagać od nieletnich pozwolenia na marzenia. Wróciłem do domu. Czułem się, jakbym unosił się na powierzchni oceanu białej wody, bez brzegu i bez portów. Niczego nie udało mi się zrobić. Nie zamieniłem ani słowa z Beatrice, nie oddałem dla niej krwi... Postanowiłem zadzwonić do Silvii, w przeciwnym razie ten dzień źle się dla mnie skończy.

- Jak leci? - pytam.
 - Tak sobie. A tobie?
 - Źle. Nie pozwolili mi oddać krwi dla Beatrice.
 - Jak to?
 - Nieletni muszą mieć pozwolenie od rodziców.
 - Nie dziwi mnie to. Zawsze istnieje jakieś ryzyko.
 - W miłości wszystko jest możliwe. Wszelkie zezwolenia są zbędne!
 - Tak... - odpowiada Silvia krótko, po czym milczy.
 - Co się stało? Jesteś dzisiaj jakaś dziwna.
- Silvia mechanicznie powtarza moje przedostatnie zdanie, jakby dalej już mnie nie słuchała:
- W miłości wszystko jest możliwe...

Nie potrafię się na niczym skupić. Moje wielkie marzenie, które jeszcze się nie narodziło, już rozsypuje się jak zamek z piasku podmywany przez morskie fale. Moje wielkie marzenie, którego jeszcze nie odkryłem, już rozbieliło się zupełnie, bo Beatrice jest chora na raka. Naiwniak twierdzi, że jeżeli chcę odkryć swoje wielkie marzenie, muszę sformułować właściwe pytania. Dobrze! Zacznijmy więc od tej cholernej białaczki. Dlaczego stanęła między mną a Beatrice? Dlaczego zatruwa krew właśnie jej, dziewczynie, która dopiero rozpoczyna życie? Pytania bez odpowiedzi. Tak po prostu jest, i koniec. A jeżeli tak jest, nie ma sensu marzyć, albo raczej - lepiej tego nie robić, bo później ból jest jeszcze większy. Można sobie najwyżej pozwolić na marzenia takie, jakie ma Niko, takie, które można kupić. Wychodzę. Kupię sobie nowe buty, nowy model dreamsów. Marzenia będę nosić na nogach i będę po nich z przyjemnością deptać.

Ja nie bujam w chmurach, chodzę po ziemi, a po marzeniach deptczę. Naiwniak twierdzi, że włoskie słowo „*desideri*”, czyli

„pragnienia”, związane jest z gwiazdami, bo składają się na nie dwa łacińskie wyrazy: „*de*”, co znaczy „od”, oraz „*sidera*”, czyli właśnie „gwiazdy”. Jedno wielkie oszustwo! Gwiazdy możesz zobaczyć nie wtedy, gdy czegoś pragniesz, ale najwyżej, gdy uderzysz się w głowę.

- Gdzie ty się podziewasz, do jasnej cholery?

Głos Nika grzmiący w słuchawce telefonu budzi mnie z letargu. W jednej chwili uświadamiam sobie, że jest piąta po południu i że za pół godziny gramy z drużyną X-Menów.

- Musiałem posprzątać pokój, inaczej matka nie pozwoliłaby mi wyjść.

Niko nie uwierzył w to ani przez chwilę.

- Rusz się, musimy zdobyć pierwsze miejsce w tej kolejce.

Rozłącza się.

Po raz pierwszy w życiu zapomniałem o meczu.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, dopadła mnie chyba jakaś choroba. Dotykam czoła, żeby sprawdzić, czy mam gorączkę, ale nie - jest zimne.

Przed meczem jak zawsze skanduję z resztą piratów jeden z naszych okrzyków bojowych:

- Niech was połkną wieloryby!

A potem bez trudu upokarzamy X-Menów wynikiem siedem do dwóch.

Trzy gole są moje, ale coś w środku przeszkadza mi się z nich cieszyć.

Przed oczami mam białego wieloryba. Jest olbrzymi. Boję się okropnie, że rzeczywiście mnie połknie.

Naiwniak wystąpił z kolejną lekcją poza programem. Te są najlepsze.

Na początek czyta nam zawsze fragment jakiejś książki, która zrobiła na nim szczególne wrażenie i którą analizuje na własny użytek, dla czystej przyjemności. Kiedy czyta, błyszcza mu oczy, jak komuś, kto chce się podzielić radością z pierwszą napotkaną osobą. Podobnie jak mnie, gdy powtarzam na głos imię Beatrice, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, albo wtedy gdy mam ochotę oznajmić całemu światu, że dostałem dobry stopień z klasówki, co jednak zdarza się dość rzadko.

Tym razem przeczytał nam opowiadanie Stefana Zweiga o oblężeniu i splądrowaniu trzech starożytnych miast.

- Rzym, Aleksandria i Bizancjum. Trzy miasta pełne dzieł sztuki, skarbów kultury, pięknych przedmiotów. Miasta z bogatymi bibliotekami, gdzie przechowywano literaturę i wiedzę zbieraną przez wieki, z budynkami wypełnionymi księgami zapisanymi marzeniami wybitnych ludzi, które mogły stać się fundamentem marzeń konstruowanych przez następne

pokolenia. Pod te właśnie budynki najeźdźcy - Wandalowie, Arabowie, Turcy - podłożyli ogień i płomienie strawiły marzenia. Barbarzyńcy jednym ognistym gestem potrafili zniszczyć setki dzieł traktujących o największych tajemnicach życia. Spalili ducha i jego skrzydła. Zatrzymali jego lot trwający przez wieki, uwolniony z okowów historii. Zapisane zwoje i kodeksy paliły się tak samo jak książki we wspaniałej powieści Bradbury'ego, którą powinniście przeczytać...

Nigdy nie słyszałem o żadnym Bradburym, ale muszę przyznać, że to, o czym mówił Naiwniak, zaciekało mnie, chociaż nie wszystko było jasne.

Pod koniec wykładu Naiwniak zadał tylko jedno pytanie: „Dlaczego?”. Nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć, polecił nam więc przemyśleć to w domu i napisać na ten temat krótką rozprawkę. Naiwniak zwariował, jeżeli myśli, że jesteśmy w stanie coś takiego napisać. My musimy się skupić na rozwiązywaniu konkretnych problemów o natychmiastowych skutkach: od kogo odpisać tłumaczenie z greki, jak poderwać ładną dziewczynę, jak naciągnąć rodziców na doładowanie komórki, po tym jak w dwa dni skończyły się pieniądze z poprzedniego ładowania wydane na dziesiątki SMS-ów zawierających najwyżej sześć słów... i inne takie. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do zadań, jakie stawia przed nami Naiwniak. Nie mamy do tego głowy.

I gdzie niby mielibyśmy znaleźć odpowiedź na to jego pytanie? Przecież nie przez Google'a! Jeżeli wystukam: „Rzym, Aleksandria, Bizancjum, pożar, marzenia, książki”, nic nie wyjdzie, bo nie ma w internecie tekstu, w którym występują wszystkie te słowa. Jak więc napisać o tym, co je łączy? Gdzie szukać odpowiedzi? To zadanie jest po prostu niewykonalne.

Nie ma skąd skopiować odpowiedzi na pytanie Naiwniaka, trzeba wymyślić ją samemu. Nie wiem, czy napiszę tę rozprawkę, to naprawdę trudna sprawa, choć jednocześnie kuszące wyzwanie. Coś w rodzaju gry albo pojedynku. Może jednak spróbuję. Nie cierpię Naiwniaka, bo wzbudza we mnie ciekawość i udaje mu się przez to skłonić mnie do pracy.

Ignorancja jest jednak najwygodniejszym stanem, jaki znam. Kojarzy mi się z tapczanem przed telewizorem.

Powiedziałem matce, że zamierzam oddać krew dla Beatrice, ale ona w ogóle nic nie rozumie. Najpierw myślała, że chcę jej opowiedzieć jakąś historię o wampirach, które są ostatnio w modzie, potem, jak już wytłumaczyłem jej, o co mi chodzi, powiedziała, że pomyślimy o tym później. I jeszcze - że to bardzo ładnie z mojej strony, ale na pewno inni już to zrobili.

Na moje nalegania usłyszałem: „Porozmawiaj o tym z ojcem”.

To magiczne zdanie, używane od początku świata przez matki, które chcą się pozbyć problemu. Z tym że ja naprawdę zastosuję się do tej rady. Tymczasem zadzwoniłem do Nika i zaraz potem wyszedłem z domu. Miałem napisać rozprawkę dla Naiwniaka, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Może później, z pomocą muzyki. Czasem w muzyce znajduję odpowiedzi na pytania, jakie sobie zadaję, prawie ich nie szukając. A jeżeli nie znajduję odpowiedzi, to przynajmniej są w nich te same emocje, których doświadczam, i już nie czuję się sam. Ktoś przede mną przeżywał to samo. Smutek, samotność, gniew - mówią o tym prawie wszystkie moje ulubione

piosenki i słuchając ich, mam wrażenie, jakbym stawiał czoło potworom, których nawet nie potrafię nazwać.

Kiedy jednak muzyka wybrzmiewa, potwory zostają. Co prawda, jest mi potem łatwiej je rozpoznać, ale żaden cud mnie od nich nie uwalnia. Zniknęłyby może, gdybym się upił, Niko mówi, że to działa. Ale Beatrice jest chora i zanim się upiję, chciałbym oddać dla niej krew, nie mogę ryzykować, że zaszkodzę jej alkoholem. Ona jest taka czysta. Muszę pomówić z ojcem.

Natychmiast.

Ojciec nie wrócił na kolację. Kiedy wreszcie przyszedł, zrobiło się tak późno, że nie miałem odwagi o nic go prosić. To nie była odpowiednia chwila. Nie potraktowałby mnie poważnie, a nie chciałem stracić ostatniej szansy. Postanowiłem spróbować napisać rozprawkę dla Naiwniaka. Nigdy dotąd nie traściłem czasu na trudne zadania domowe. Kiedy pojawiały się problemy, kładłem się spokojnie spać, a następnego dnia odpisywałem od kogoś. Nie rozumiem, dlaczego teraz tak się przejmuję, mam wrażenie, jakby tym razem w grę wchodziło coś więcej, co każe mi podjąć wyzwanie. Jakbym rezygnując, miał zdradzić Naiwniaka albo nawet samego siebie.

Siedzę przed komputerem. Wystukuję tytuł: „Dlaczego zdobywcy Rzymu, Aleksandrii i Bizancjum podkładali ogień pod biblioteki? Co powodowało Wandalami, Arabami i Turkami? Co łączyło tych, którzy tak bardzo się od siebie różnili?”. Nic mi nie przychodzi do głowy. Panuje w niej ta sama biel co na ekranie komputera i we krwi Beatrice. Dzwonię do Silvii, ale nie odpowiada. Silvia zawsze zostawia komórkę włączoną,

żebym mógł do niej zadzwonić, gdybym jej potrzebował. Silvia jest moim aniołem stróżem. Tylko że w nocy śpi i czasem nie czuje wibracji aparatu. Muszę poradzić sobie sam.

Jest późno. Za oknem panuje ciemność, a mój mózg opanovała biel. Próbuję wczuć się w jednego z najeźdźców i zadaję sobie pytanie, co chcę osiągnąć podkładaniem ognia pod biblioteki. Chodzę po pokrytych kurzem ulicach Rzymu, Aleksandrii i Bizancjum, o którym zresztą dowiedziałem się, że z czasem został przemianowany na Konstantynopol, a jeszcze później na Stambuł. W chaosie, wśród ludzkich krzyków podpalam księgi. Niszczyć zapisane marzenia, obracam je w popiół, zamieniam w biały dym.

Oto odpowiedź na pytanie: „Dlaczego?” - żeby zamienić marzenia w popiół! Spalić je i tym sposobem definitywnie pokonać wrogów, którzy nie będą mieli skąd czerpać sił, by się podnieść i zacząć wszystko od nowa. Niech zapomną o pięknie swoich miast, niech zapomną, co przodkowie opowiadali o wolności i miłości, niech przestaną marzyć. Jeżeli odbierzesz ludziom marzenia, uczynisz z nich niewolników. A ja, zdobywca i łupieżca tych miast, potrzebuję niewolników, którymi mógłbym rządzić w spokoju i bez przeszkód. Niech więc nie zostanie słowo na słowie, tylko biały popiół zamiast odwiecznych marzeń. To najokrutniejsza grabież. Kto nie ma własnych marzeń, zabiera je innym, żeby i oni ich nie mieli. Zawisać pali serce i ten ogień pochłania wszystko.

Kiedy skończyłem pisać, za oknem było tak samo ciemno jak wtedy, gdy zaczynałem, chociaż z tej ciemności zabrałem słowa, które teraz pokrywały ekran komputera. Pisząc, dużo zrozumiałem. Nie pamiętam, żeby zdarzyło mi się to

kiedykolwiek wcześniej. Co nie znaczy, że mam zamiar spędzać w ten sposób każdy wieczór... I, co było do przewidzenia, skończył się czarny tusz w drukarce. Będę musiał użyć kolorowego.

Czerwonego.

Naiwniak chodzi między ławkami i pyta o zadanie domowe. Wygląda na to, że wszyscy je odrobili. Kilku ochotników czyta na głos swoje teksty. Wydaje się, jakby w klasie zapano-
wał ogień i kurz sprzed wieków. Są dumni z tego, co napisali, przynajmniej ci, którzy mają odwagę głośno przeczytać swoje prace. Mnie oczywiście nie ma między nimi, głośne czytanie jest dla mnie tym samym co śpiewanie. Rozlega się dzwonek. Podchodzimy do katedry, żeby oddać rozprawki, ale Naiwniak ich nie chce. Nie do wiary! Woli, żeby każdy zachował dla siebie znaną odpowiedź.

Naiwniak to wariat. Zadaje pracę domową, a potem jej nie sprawdza i nie ocenia. Cóż to za nauczyciel, który nie stawia stopni? Trzeba jednak przyznać, że udało mu się skłonić wszystkich w klasie do odrobienia pracy domowej. Nawet mnie, późną nocą. Może więc nie trzeba stopni, żeby się uczyć? Podczas gdy wychodzimy na przerwę, Naiwniak siedzi za katedrą. Uśmiecha się i błyszczy mu oczy. On chyba po prostu ma do nas zaufanie, wierzy, że jesteśmy zdolni do

wielkich czynów. Może nie jest taką straszną ofiarą życiową, jak mi się wydawało...

Nie pozwolę, by barbarzyńcy ograbili mnie z marzeń, obrócili je w popiół. Nikomu na to nie pozwolę, choćby dlatego, że trudno byłoby mi potem odnaleźć siły, by rozpocząć wszystko od nowa, a przecież Beatrice potrzebuje mnie silnego. Nie chcę zapomnieć tego, co ostatnio odkryłem i co zrozumiałem dzisiejszej nocy, to nazbyt ważne. Nie mam zaufania do mojej pamięci, powinienem więc chyba zapisywać sobie wszystko. Mógłbym może nawet zostać pisarzem - byłby to doskonały sposób na luki w pamięci.

Postanawiam porozmawiać o tym z Silvia, ona na pewno nie będzie sobie ze mnie żartować. Silvia, jakby słysząc moje myśli, podchodzi do mnie, bierze pod ramię i kładzie mi głowę na ramieniu.

- Dlaczego dzwoniłeś wczoraj? Zobaczyłam rano twój numer.

- Chciałem cię o coś zapytać w związku z rozprawką z historii.

Silvia podnosi głowę i patrzy na mnie smutno.

- J a s n e . Po coś by innego...?

Puszcza moje ramię i odchodzi.

Patrzę, jak się oddala, i czuję, że czegoś tu nie rozumiem. Tak samo jak kiedy ojciec pod tym, co do mnie mówi, stara się przemycić zupełnie inną treść. Właśnie! Dziś wieczorem muszę koniecznie porozmawiać z ojcem...

Uwielbiam pojedynki z Nikiem. To próby odwagi, podczas których poziom adrenaliny podnosi się tak wysoko, że krew dosłownie galopuje w żyłach. Pojedynek, który należy do moich ulubionych, polega na ostrej jeździe na skuterach i jeszcze ostrzejszym hamowaniu. Wygrywa ten, kto zatrzymuje się w mniejszej odległości od samochodu stojącego przed nami, nie dotykając go oczywiście. W ten sposób załatwiłem raz na zawsze hamulce w moim skuterze. W tym pojedynku Niko zwykle przegrywa, bo pod koniec nie starcza mu odwagi, ja natomiast hamuję zawsze chwilę po tym, jak odzywa się we mnie instynkt samozachowawczy. To kwestia sekundy, ale ta sekunda rozstrzyga o wygranej. Tajemnica wygranego pojedynku polega na tej sekundzie zwłoki.

Kiedy zobaczyliśmy daleko przed sobą czarne porsche carrera stojące na skrzyżowaniu na czerwonym świetle, spojrzeliśmy na siebie bez słowa i zaraz ruszyliśmy z maksymalną prędkością. Jeden obok drugiego. Czujemy opór powietrza, ale nic nas teraz nie zatrzyma. Drobinę pokruszonego asfaltu

chrzęszczą pod kołami. Błyszczący czarny zad porsche zbliża się błyskawicznie. Jedziemy ramie przy ramieniu.

Rzucam spojrzenie na Nika, ostatnie przed wielkim finałem. Nie mogę przegrać tego pojedynku. Jeszcze tylko dziesięć metrów dzieli nas od zderzaka samochodu. Niko zaczyna hamować, ja odczekuję chwileczkę, tyle, ile trzeba, żeby powiedzieć: „jeden!”. W tym czasie myślę o tym, że jeżeli nie zahamuję, mogę przypłacić to życiem i jeszcze przez sekundę nie hamuję, a ta sekunda zdaje się trwać wieki. Krew tętni mi w uszach, gdy wreszcie przednie koło skutera muska zderzak porsche, delikatnie jak matka ustami swoje nowo narodzone dziecko. Odwracam się do Nika, rozwiane pędem powietrza włosy zakrywają mi oczy, gwałtowne wyładowanie adrenaliny sprawia, że widzę jak przez mgłę. Uśmiecham się jak bohater filmu po wygranym pojedynku. Niko musi mi zafundować lody. Nie ma pojedynku bez lodów.

- Jak ty to robisz? Mnie zaciskają się ręce na hamulcach, chociaż wcale tego nie chcę. To silniejsze ode mnie.

Liżę swoje lody truskawkowo-śmietankowe.

- Strach jest biały, odwaga czerwona. Kiedy zaczynasz widzieć biel, musisz się skoncentrować na czerwieni i liczyć do jednego.

Niko patrzy na mnie, jak patrzy się na wariatów, którzy myślą, że to, co mówią, jest rozsądne.

- J u t r o mamy mecz. Jeżeli chcemy wrócić na pierwsze miejsce, musimy wygrać, a drużyna Wandalą powinna zremisować.

- Pokażemy Wandalowi, kto jest najlepszy.

Niko klepie mnie mocno w ramię, przez co zanurzam nos w lodach truskawkowych.

- Takiego cię lubię!

Ucieka, a ja gonię go, podobny do clowna, z białą twarzą i czerwonym nosem.

Wchodzę z ojcem do szpitala, w którym leży Beatrice. Pobierają mi krew i sprawdzają, jaką mam grupę. Oczywiście taką samą jak Beatrice. Wiedziałem, że mamy taką samą krew. Są rzeczy, które po prostu się wie. Moje życie jest związane krwią z życiem Beatrice. Pytają, czy zażywam narkotyki. Odpowiadam, że nie, przede wszystkim dlatego, że stoi przy mnie ojciec, który natychmiast spełniłby groźbę, którą zawsze mnie straszy: „Zostanie z ciebie tylko kurz na twoim cieniu!”. Trzeba przyznać, że to robi wrażenie.

Potem jednak, kiedy zostaję sam z pielęgniarką, wyznaję, że miesiąc wcześniej zaciągnąłem się trawką. Tylko raz. Byliśmy w grupie i nie mogłem wyjść na mięczaka. Poza tym chciałem spróbować, jak to jest. Pielęgniarka uspokaja mnie – jeden raz nie ma znaczenia, ale gdybym zażywał stale, nie mógłbym oddać krwi. Byłaby bezwartościowa.

Tym sposobem raz na zawsze skończyłem z narkotykami. Moja krew musi być czysta jak łza, na wypadek gdyby Beatrice jeszcze jej kiedyś potrzebowała. Musi być doskonale czysta i czerwona jak moja do niej miłość.

Pobrano mi jej całkiem sporo. Krew jest o wiele ciemniejsza, niż myślałem. Jest szkarłatna i gęsta jak moja miłość do Beatrice. W pierwszej chwili na widok krwi wypływającej z mojego ramienia zakręciło mi się w głowie i bałem się, że zemdleję, ale wytrzymałem. Krew, podobnie jak miłość, wywołuje zawrót głowy, ale jednocześnie daje siłę do pokonania własnych ograniczeń. Czułem się, jakby dzielił mnie krok od oddania życia za Beatrice, byłem osłabiony i błady. Taki wampir na opak, bo ja, żeby żyć, nie wyssałem krwi z nikogo, tylko pozwoliłem wysać ją z siebie.

Ojciec zabrał mnie do baru na śniadanie.

- Jesteś biały jak pianka na twoim cappuccino. Kupię ci jeszcze jeden rogalik. Z czym chcesz?

- Co za pytanie! Z czekoladą!

Ojciec przyniósł rogalik kapiący nutellą. Usiadł przede mną i się uśmiechnął. Robi to tylko rano, bo wieczorem po pracy jest zbyt zmęczony.

- Boli? - pyta, wskazując na ramię, z którego pobrano mi krew.

- Trochę piecze, ale to nie szkodzi.

- Opowiedz coś o tej dziewczynie. Ma na imię Angelica, prawda?

Zawsze mówiłem, że w mojej rodzinie wszyscy mają problemy z pamięcią.

- Beatrice, tato, ma na imię Beatrice, jak u Dantego.

- Ona jest dla ciebie kimś ważnym?

Nie chcę mówić z nim o Beatrice, więc kieruję rozmowę na inne tory:

- A dla ciebie kto jest kimś ważnym?

- Twoja mama.

- Kiedy to zrozumiałeś?

- Kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy, podczas rejsu, który zafundowali mi rodzice w nagrodę za zdanie matury. Sposób, w jaki się poruszała, w jaki odchyłała do tyłu głowę, gdy się śmiała, gest, jakim poprawiała włosy opadające na oczy...

Ojciec sprawia wrażenie, jakby zapomniał, gdzie się znajduje, ma spojrzenie zagubione gdzieś w przeszłości, zdaje się patrzeć na początek jakiegoś romantycznego filmu, jednego z tych, których ja osobiście nie znoszę.

- I co było potem?

- Podszedłem do niej i zapytałem: „Pani też płynie tym statkiem?”, i dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że to pytanie nie miało sensu, że było po prostu idiotyczne.

- I co ona na to?

- Uśmiechnęła się i odpowiedziała, rozglądając się dokoła: „Wygląda na to, że tak”. I roześmiała się.

- A co było potem?

- Potem rozmawialiśmy, rozmawialiśmy przez cały czas.

- W twoich czasach tylko się rozmawiało...

- Chłopcze, trochę szacunku dla ojca.

- To o czym tak rozmawialiście?

- O gwiazdach.

- O gwiazdach? I ona cię słuchała?

- Tak. Ja wtedy bardzo się interesowałem gwiazdami, pierwszy teleskop kupiłem jeszcze w liceum i potrafiłem rozpoznawać konstelacje. Opowiadałem jej o gwiazdach, które ze statku nocą na pełnym morzu były doskonale widoczne

nawet bez teleskopu. A ona, w odróżnieniu od innych dziewcząt, słuchała i zadawała pytania.

Przerwał i zamyślił się, jakby właśnie skończyła się pierwsza część jego romantycznego filmu. Ponagliam go:

- I co było potem?

Ojciec nabiera oddechu i odpowiada, pocierając sobie przy tym policzek, może po to, by przykryć twarz dłonią:

- Potem podarowałem jej gwiazdę.

- Co zrobiłeś?

- Podarowałem jej gwiazdę, najjaśniejszą na niebie bez księżycy. Syriusza - jedyną gwiazdę widoczną z każdego miejsca na ziemi, w bezksiężycowe noce świecąca tak mocno, że tworzy cień. Obiecaliśmy sobie wtedy, że spojrzymy na nią każdej nocy, gdziekolwiek się znajdziemy, i w ten sposób połączymy się myślami.

Roześmiałem się i poklepałem go po plecach. To ci dopiero! Ojczulek podarował mamie Syriusza...

- Co za romantyzm! I co ona na to?

- Uśmiechnęła się.

- A ty?

- Ja pomyślałem, że dałbym wszystko, żeby ta dziewczyna stała się częścią mojego życia, a nie tylko rejsu statkiem.

Ojciec zamilkł. Nie wydaje się, żeby chciał coś jeszcze dodać do tego, co powiedział. Wygląda, jakby za chwilę miał się zarumienić, wyciera więc sobie usta z okruszków ciastka, by ukryć zmieszanie, a potem spogląda na mnie i mówi:

- Jestem z ciebie dumny, Leo. Myślę o tym, co zrobiłeś dzisiaj rano.

Mam wrażenie, jakbym dopiero teraz zaczął wyraźnie słyszeć.

- Udowodniłeś, że stajesz się dorosły, zrobiłeś coś ważnego, chociaż nikt ci tego nie podpowiedział ani nie podjął za ciebie decyzji. To był twój własny wybór.

Milczę przez chwilę, a potem wykorzystuję sytuację:

- Mogę więc wybrać sobie następnego rogalik?

Ojciec kiwa głową, udając zrezygnowanie, i zaraz potem uśmiecha się do mnie:

- Jesteś taki sam jak twój ojciec.

Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni spędziłem z ojcem tak dużo czasu. „Jestem z ciebie dumny” - to hasło dzisiejszego dnia. Poza tym - totalny wypoczynek. Muszę odzyskać siły. Jestem bardzo zmęczony, ale i bardzo szczęśliwy.

Nie widziałem Beatrice. Nie leży już w szpitalu, wróciła do domu. Skończyła pierwszy cykl chemioterapii. To coś w rodzaju antybiotyku przeciw nowotworowi, jestem pewny, że jej pomoże. Beatrice jest silna, a poza tym jest zbyt młoda i piękna, by przegrać. Chciałbym ją odwiedzić, ale Silvia mówi, że Beatrice nie chce nikogo widzieć. Jest wycieńczona kuracją, nie ma siły z nikim rozmawiać. Ale ja tak bardzo chciałbym ją zobaczyć! Pocieszam się, że teraz w Beatrice płynie moja krew, więc to trochę tak, jakbym był stale przy niej, najbliżej, jak tylko można. Jakbyśmy byli wewnątrznie połączeni. Mam nadzieję, że moja krew ją uzdrowi.

Czuje się szczęśliwy i zmęczony. To miłość.

- Co z tobą?! Ruszaj się! Jesteś dzisiaj do niczego...

Czuję się strasznie zmęczony. Źle zrobiłem, że zdecydowałem się grać po oddaniu krwi. Pielęgniarka mówiła, że przez jakiś czas powinienem unikać wysiłku, ale przecież nie mogłem zawieść chłopaków. Teraz brakuje mi oddechu, remisujemy dwa do dwóch z tymi gówniarzami z pierwszej, którzy zresztą świetnie grają. Zepsułem mnóstwo sytuacji, które mogły zakończyć się golem, gorzej niż Iaquina w swoim najgorszym okresie.

- Jesteś błydy jak kostucha.

Kostucha to dziewczyna z piątej klasy, zadeklarowana superemo. Jednolita czarna plama i kawałki białej, prawie przezroczystej skóry. Zbiera mi się na wymioty i brakuje powietrza. Przystaję na skraju boiska, kręci mi się w głowie...

Łapię się za nią obiema rękami i przykucam na trawie w nadziei, że dzięki temu krew dopłynie do mózgu. Swędzi mnie skóra i ogarnia zimno.

- Nie dam rady, Niko.

Niko patrzy na mnie z odrazą.

Mecz kończy się remisem.

W szatni Plama, Sztanga i Czub napadają na mnie z pretensjami:

- Drużyna Wandala przegrała. Mogliśmy ich wyprzedzić, a teraz jesteśmy za nimi o jeden punkt. A wszystko dlatego, że zrobił się z ciebie mięczak, nie wytrzymujesz nawet jednego meczu.

- Dziś rano oddałem krew...

- Właśnie dzisiaj musiałeś to zrobić? Właśnie dzisiaj, kiedy graliśmy w rozgrywkach?

Nawet nie odpowiadam.

Wychodzę z szatni i pozwalam, żeby wiatr osuszył mi łzy złości. Na tym świecie zawsze płaci się za dobre uczynki... Ludzie nie wiedzą, co to miłość. Myślą tylko o piłce. Nikt nawet nie zapytał, dlaczego oddałem krew...

Beatrice wróciła do szkoły. Jest szczuplejsza i bledsza. Obcięła włosy, które stały się bardziej matowe, straciły swój ognisty blask. Jej oczy mają zawsze ten sam zielony kolor, ale są zapadnięte. Chciałbym podejść do niej i powiedzieć, że jestem przy niej, że oddałem dla niej krew i jestem bardzo szczęśliwy, bo mogę ją znowu zobaczyć. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że lepiej będzie, jak dam sobie spokój. Uśmiecham się więc tylko, gdy przechodzę obok niej na przerwie. Ona patrzy na mnie przez chwilę, jakby starała się sobie przypomnieć, kim jestem, po czym odpowiada uśmiechem. Jej uśmiech nie jest jak kiedyś - czerwony, ale rozbielony. Ale ona i tak pozostanie najważniejszym elementem mojego wielkiego marzenia. Moje marzenie jest ognście czerwone, muszę więc za barwić biel jej uśmiechu szkarłatem krwi, która wypłynęła z mojego ramienia. Nie mam wątpliwości, że w jej uśmiechu jest sens moich poszukiwań.

Nie pozwolę, żebyś odeszła. Nie pozwolę, żeby zabrał cię biały rak. Chciałbym zachorować zamiast ciebie, jesteś o wiele

potrzebniejsza ode mnie na tej ziemi. Pragnę, żebyś to wiedziała. Dlatego napiszę do ciebie list - w ten sposób dowiesz się, że jestem i że możesz zwrócić się do mnie po pomoc w każdej chwili, jeżeli tylko tego potrzebujesz. Napiszę ten list dzisiaj, jak tylko wrócę do domu. To będzie najpiękniejszy i najczerwieńszy tekst ze wszystkich, jakie dotąd napisałem. Będzie doskonały.

To niesamowite, jak marzenia popychają człowieka do działania, ożywiają jak transfuzja. Czuję się, jakby przetoczono mi krew jakiegoś supermena.

Nigdy jeszcze nie napisałem żadnego listu, nie mogę też ściągnąć go z internetu. W internecie są same stare rzeczy, nie może być listu Lea do Beatrice, bo muszę go dopiero napisać. Podobają mi się ta idea - napiszę coś, czego nikt jeszcze przede mną nie napisał. Kładę przed sobą kartkę papieru i biorę do ręki długopis. Czuję się podekscytowany.

I zaraz pojawia się pierwszy problem: kartka nie ma linijek. Zaczynam więc pisać na komputerze, ale zaraz przerywam, bo ekran jest jak lód, biały i zimny. Wracam więc do kartki i zapisuję pierwsze zdania. Przerywam na chwilę i widzę, że litery tworzą krzywe linie, zdają się pchać na siebie, żeby razem spaść do jakiegoś głębokiego dołu. Okropnie to wygląda, a wszystko z winy tej kompletnej, niczym niezakłóconej bieli. Nie mogę przecież wysłać listu, który wygląda jak napisany przez analfabetę. Co więc zrobić?

Wpadam na pomysł. Zadrukowuję stronę czarnymi grubymi kreskami jak na pizamie ojca. Podkładam ją pod białą kartkę, kreski są ukrytym drogowskazem. I o to właśnie chodzi! - żeby pokonać biel, która wykrzywia moje litery, potrzebuję mocnych

i wyraźnych, choćby nawet ukrytych linii. Teraz pozostaje mi już tylko wypełnić je zdaniami. Czyli to, co najtrudniejsze.

Droga Beatrice,

widziałem Cię wczoraj w szkole. Uśmiechnąłem się do Ciebie, odpowiedziałaś mi uśmiechem. Może tego nie pamiętasz... To właśnie ja. Ten z włosami jak wariat, Leo. Piszę do Ciebie, bo pragnę być przy Tobie w tej chwili. Nie bardzo wiem, co się mówi w pewnych okolicznościach. Czy powinienem udawać, że nic nie wiem o Twojej chorobie, czy powinienem przemilczeć, że oddałem krew dla Ciebie, czy mam ukrywać, że mi się podobasz...? Chyba jednak nie potrafię udawać. I w ten sposób wszystkiego się o mnie dowiedziałaś: wiem o Twojej chorobie, oddałem w szpitalu krew dla Ciebie, bardzo mi się podobasz. Teraz już mogę pisać swobodnie, bo skończyłem z rzeczami najważniejszymi, z tymi, które należy powiedzieć koniecznie, w przeciwnym razie trzeba udawać, a gdy człowiek udaje, źle się czuje. Chcę być z Tobą szczerzy, bo Ty jesteś częścią mojego marzenia. Według tego, co mówi nasz nauczyciel historii i filozofii, czyli Naiwniak. To ten, który zastępuje profesor Argenterii. Jego nazwisko brzmi oczywiście inaczej, ale opowiada nam zawsze o marzeniach, więc tak go nazwalismy. Ja wciąż jeszcze szukam swojego wielkiego marzenia. Problem w tym, że należy postawić sobie właściwe pytania na temat rzeczy lub osób bliskich sercu i uważnie słuchać odpowiedzi. A czy Ty masz jakieś marzenie? Zastanawiałaś się nad tym kiedyś?

Ściskam Cię serdecznie i z nadzieją wypatruję Twoich wiadomości,

Leo z trzeciej D

Nie mam adresu Beatrice. Nie mam nawet koperty... Może to i lepiej, nie wiem nawet, jak napisać adres, gdzie nalepić znaczki i tak dalej, a wstydzę się pytać mamy. Wychodzę z domu. Kupuję kopertę, wkładam do niej list i drukowanymi literami piszę: Dla Beatrice. Postanowiłem, że wrzucę ją bezpośrednio do skrzynki Beatrice, a o adres zapytam Silwię.

Mój skuter to latający dywan unoszony szczęściem, leci prosto do celu. Nie mogę przecież powierzyć włoskiej poczcie listu decydującego o moim życiu. Frunę więc w stronę błękitu, jakbym niósł komuś wiadomość o milionowym spadku. Serce bije mi w rytm obrotów kół skutera. Śmieję się, śpiewam i nic nie słyszę. Nawet klaksonu z prawej strony, który powinien był mi przypomnieć o zepsutych hamulcach. A nie jest to pojedynek z Nikiem, nie mam nawet czasu, żeby się bać, żeby policzyć do jednego, żeby zahamować...

Potem biel.

Obudziłem się w białej pościeli szpitalnego łóżka. W mózgu też miałem biało. Niczego nie pamiętałem. Miałem wrażenie, jakby moja głowa była odłączona od reszty ciała. Pomyślałem, że zostałem porwany, a potem uśpiony i zamieniony w supermena. Zastanawiałem się, jakie posiadam teraz moce - lata-
nia, teleportacji, czytania w myślach...? Spróbowałem z tele-
portacją, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że nie mogę się ruszyć
nawet o centymetr, bo szyję mam owiniętą wysokim sztyw-
nym kołnierzem, który unieruchamia mi głowę i ramiona.
Po raz pierwszy zrozumiałem, jak czuje się Terminator, gdy
ciągnę go na smyczy.

Otwieram oczy, przy mnie siedzi matka. Ma zaczerwie-
nione powieki.

- Co się stało?

Odpowiada, że potracił mnie samochód. Tak przynaj-
mniej mówili świadkowie wypadku. Ja nic nie pamiętam.
Mam złamane żebro i muszę co najmniej dziesięć dni leżeć
nieruchomo w łóżku. Jakby tego było mało, złamałem też

rękę w przegubie, prawą, już mi ją zagipsowali, a więc nie ma mowy o odrabianiu lekcji. Komu zawdzięczam tę przyjemność? Mama mówi, że kierowca samochodu się nie zatrzymał, uciekł, ale jeden ze świadków zapamiętał numer rejestracyjny, już tata się tym zajmie. Teraz najważniejsze, żebym szybko wyzdrowiał, ale tak czy inaczej, tej zimy nie mam co marzyć o snowboardzie. Kiedy wyjdę ze szpitala, będzie już prawie Boże Narodzenie.

Ogarnia mnie złość rzadkiej mocy. Złość tak silna, że mam ochotę wyładować ją na Bogu ducha winnej mamie. Teraz sobie przypominam! Jechałem z listem do Beatrice! Krótco przedtem wyszedłem z domu Silvii z adresem zapisanym na kopercie. Potem ciemność. Ciekawe, gdzie się podział ten list, miałem go w kieszeni. Teraz jestem w piżamie, mam sztywny kołnierz na szyi i gips na ręce. A gdzie list?

Cholera jasna! Znowu chciałem zrobić coś dobrego i znowu wyszedłem na tym jak najgorzej. Jak pech, to pech. Ale dlaczego właśnie mnie to wszystko spotyka? Co ja komu zrobiłem?

No dobra, odkocham się, do diabła z tym wszystkim. Nie jestem żadnym supermenem, tylko superpechowcem!

Spałem chyba ze sto lat, sądząc po tym, jak boli mnie głowa, gdy otwieram wreszcie oczy i światło atakuje mi źrenice. Kiedy tylko odzyskuję ostrość wzroku i przypominam sobie, gdzie jestem i dlaczego, napotykam spojrzeniem dwoje oczu błękitnych jak niebo o poranku, gdy jego kolor nie osiągnął jeszcze pełnej intensywności. To oczy Silvii. Silvia jest Błękitną Wróżką, a ja Pinokiem. Przy niej czuję się normalnie, nawet w mojej gipsowej zbroi. Uśmiecham się i mrużę oczy. Silvia podchodzi szybko do okna i zasłania je, bo rozumie, że przeszkadza mi światło.

- Chce ci się pić? - pyta, zanim jeszcze sygnał o pragnieniu z moich suchych ust dociera do mózgu, a stamtąd z powrotem do wysuszonych warg, by mogły poprosić o coś do picia.

Nalewa do szklanki sok ananasowy, który kupiła specjalnie dla mnie. Mój ulubiony. Nie zdążyłem jeszcze wyrazić pragnienia, a Silvia już je zaspokoiła. Gdyby nie to, że jest dla mnie tylko przyjaciółką, mógłbym ją pokochać...

Ale miłość to coś innego. Miłość nie daje spokoju. Miłość jest bezsenna. Miłość obdarza siłą. Miłość jest szybka. Miłość jest jutrem. Miłość to tsunami.

Miłość jest czerwona jak krew.

Niko odwiedził mnie w szpitalu. Z początku unikał mojego wzroku.

- Przepraszam, Leo, za to, co ci powiedziałem na meczu. A gdybyś tak umarł...? Zostawiłbyś mnie samego z tą zgrają niedojdów... To byłby koniec z Piratami, z naszymi pojedynkami, z muzyką... Nie rób już więcej takich głupich żartów.

Uśmiecham się. Jestem szczęśliwy, bo Niko jest dalej moim przyjacielem. Od meczu prawie wcale z sobą nie rozmawialiśmy. Żadnego z nas nie było stać na pierwszy krok. A teraz on go zrobił.

- Jak długo będą cię w tym trzymać?

- Mniej więcej miesiąc. Na szczęście mam złamanie bez przemieszczenia.

- W porządku. Ominie cię tylko jeden mecz. Miejmy nadzieję, że poradzimy sobie bez ciebie.

- Weźcie do gry Patyka. Ma wprawdzie słabe nogi, ale potrafi się zachować na boisku. Zrobicie trochę dodatkowych treningów. Zresztą następny mecz nie będzie trudny.

- Ale bez ciebie, piracie, to żadna przyjemność.

Uśmiecham się.

- Zobaczysz, że szybko wyzdrowieję i razem odbierzemy puchar. Nikt nie zatrzyma Piratów! Poza tym mamy jeszcze niewyrównane rachunki z Wandalem.

Niko staje na baczność jak do odśpiewania hymnu państwowego. I rzeczywiście, z ręką na piersiach zaczyna głośno śpiewać, a ja zaraz do niego dołączam. Na widok pielęgniarki, która wchodzi do pokoju, żeby sprawdzić, co się dzieje, obaj wybuchamy śmiechem.

- Jeżeli się zaraz nie uspokoicie, zrobię wam narkozę! Ty nawet w gipsie musisz szaleć?

Niko nagle zmienia wyraz twarzy i pyta poważnym głosem:

- Czy wyjdzie pani za mnie za męża?

Rozbroił tym pielęgniarkę, ona też wybuchła śmiechem. Niko odwraca się do mnie i wzdychając błogo, mówi:

- Powiedziała, że tak...

Odwiedzili mnie też inni koledzy z klasy, czym sprawili mi dużą przyjemność. Miło jest być w centrum zainteresowania. Szkoda tylko, że aby tego doświadczyć, trzeba znaleźć się w tak fatalnym stanie. Czasem człowiek ma ochotę zrobić coś sensacyjnego po to tylko, żeby zaistnieć, zostać zauważonym, być na ustach wszystkich. Zwłaszcza w chwilach gdy czuje się sam i chce, żeby cały świat wiedział o jego samotności. Wyobraża sobie wtedy, jak by to było, gdyby na przykład wyskoczył z okna i pokazał wszystkim, czym grozi pozostawienie kogoś samemu sobie. Tak czy inaczej, poprzez cierpienie i nieszczęście najłatwiej zapewnić sobie zainteresowanie i sympatię innych.

Przynieśli moje ulubione komiksy, a do tego Silvia namalowała dla mnie obraz, właściwie obrazek. Jest na nim morze i łódka płynąca w kierunku niebieskiego horyzontu, gdzie łączą się niebo i woda. Odnosi się wrażenie, jakby obraz został namalowany przez kogoś, kto siedzi w tej łódce. Powiesiłem go przed łóżkiem, towarzyszy mi, gdy zostaję sam

w szpitalnym pokoju. Jest tu miejsce dla dwóch chorych, ale na razie leżę sam. Jedno szczęście. Strasznie bym się wstydził, gdybym musiał w czyjejś obecności siusiać do kaczki, którą na dodatek najczęściej przytrzymuje pielęgniarka. Przez chwilę zazdroszczę Terminatorowi, który nie robi sobie problemów z siusianiem na oczach innych psów i Filipinek. Psy nie potrafią się nawet rumienić.

Niko przyniósł mi płytę, słucham jej codziennie, kiedy wyzdrowieję, spróbujemy zagrać z niej jakiś kawałek. Każdy mi coś przynosi. Miło być w centrum zainteresowania, nawet za cenę paru złamanych kości.

Dobrze jest czuć się kochanym.

Od paru dni mam towarzystwo w pokoju. Leży ze mną otyły facet. Bardzo otyły, wręcz ogromny. Prawdziwy słoń. Złamał sobie dwa żebra i nie może się ruszać, w związku z czym naturalne potrzeby musi załatwiać w łóżku. Nie mogę ścierpieć jego zapachu. Patrzy przez cały czas w sufit albo w telewizor, który zresztą wisi pod samym sufitem. Tak w ogóle facet jest sympatyczny. Czasem rozmawiamy. Niewesoło z nim, a jednak jest zawsze pogodny, tylko czasem się wkurza, kiedy ból nie pozwala mu spać. Opiekuje się nim żona, często też odwiedzają go syn i córka.

Kiedy jest się chorym, dobrze mieć przy sobie rodzinę. Jak żyć, gdy nie ma się nikogo - żony, dzieci ani w ogóle nikogo? Dzięki Słoniowi zrozumiałem, co znaczy rodzina. Jasne, że ja też mam rodzinę, ale teraz dopiero zobaczyłem to, czego dotąd nie widziałem. Tak to już jest na tym świecie, że nie zauważa się tego, co ma się najbliżej. I dlatego u rodziców widzi się tylko to, że się czepiają i wszystkiego zabraniają.

Za sprawą Słonia, jego żony i dzieci postanowiłem, że w przyszłości będę miał rodzinę zżyłą jak oni. Wtedy, nawet jeżeli będę chory, pozostanę pogodny. Jeżeli masz kogoś, kto cię kocha także wtedy, gdy jest z tobą niewesoło, kogoś, kto znosi twój niemiły zapach, to znak, że dobrze zainwestowałeś w życiu. Tylko ten, kto lubi twój zapach, kocha cię naprawdę i może ci dać siłę i pogodę ducha. Nie ma lepszego sposobu na cierpienia, które spotykają nas w życiu.

Muszę to sobie dobrze zapamiętać. Koniecznie! To będzie elementem mojego wielkiego marzenia, kiedy już je odkryję. Wraz z Beatrice. Już teraz uwielbiam jej zapach. To zapach marzeń, zapach miłości, zapach życia.

Odwiedził mnie Naiwniak. Nie mogę w to uwierzyć! Belfer, i to w dodatku taki na zastępstwie, który odwiedza ucznia w szpitalu! Czułem się jak król albo ktoś w tym rodzaju. Naiwniak siedział przy moim łóżku i opowiadał o szkole. Przerobiony materiał, sprawdziany, najbliższy program... Wkrótce Boże Narodzenie. Szkołę udekorowano srebrnymi girlandami, nasz woźny, który nosi brodę tak długą i gęstą, że można na niej wieszać bombki i łańcuchy, postawił na korytarzu rachityczną choinkę. Wyobraziłem sobie to wszystko i zrobiło mi się przykro, że muszę leżeć w szpitalu właśnie teraz, w tych rzadkich dniach, gdy w szkole jest przyjemnie.

Naiwniak powiedział, że i on w moim wieku złamał rękę przy grze w piłkę nożną. Pokazał mi bliznę, jaka mu została po operacji. Ja na szczęście uniknąłem operacji, a kiedy skłádali mi kości, byłem nieprzytomny. Dzięki temu zaoszczędziłem sobie sporo bólu. Który jednak nie omieszkał dać o sobie znać po przebudzeniu.

Muszę przyznać, że miło się z Naiwniakiem rozmawia, to znaczy tak jak z każdym innym. Jest po prostu normalny.

Opowiedział mi nawet dowcip, który wprawdzie był średnio zabawny, ale śmiałem się, żeby nie sprawić mu przykrości. Zapytał, na jakim jestem etapie z odkrywaniem mojego wielkiego marzenia, a ja powiedziałem, do jakich doszedłem wniosków. Ale powiedziałem mu też, że wszystko wzięto w łeb po tym moim wypadku i że w ogóle nie jestem pewien, czy będę dalej szukać, bo za każdym razem, gdy zabieram się do tego na poważnie, dzieje się coś złego - najpierw Beatrice, teraz ja... Słyszając to, Naiwniak uśmiechnął się i stwierdził, że to nieodłączna część prawdziwych marzeń.

- Prawdziwe marzenia buduje się na trudnościach i przeszkodach. W przeciwnym razie trudno je zmienić w realne projekty; na zawsze pozostaną marzeniami. Pamiętasz chłostę z baśni mojego dziadka? To właśnie dzięki niej widać różnicę między marzeniem a konkretnym projektem. Marzenia nie czekają na nas gotowe, trzeba je dopiero skonstruować, przy czym na koniec może się okazać, że są całkiem inne, niż sobie to wyobrażaliśmy.

Czyżby Naiwniak sugerował, że mam szczęście, bo wyładowałem w szpitalu z połamanymi kośćmi? Wcale tak nie uważam i od razu mu to powiedziałem.

- Nie miałem wątpliwości.

Śmiejemy się razem, ale zaraz zaczyna mi tłumaczyć, że znalazłem się w szpitalnym łóżku, bo robiłem coś ważnego. Wioząc list do Beatrice, starałem się urzeczywistnić swoje marzenie. A jeżeli realizacja jakiegoś marzenia zderza się z tyloma przeciwnościami, to znaczy, że jest ono warte zachodu. Przy tych słowach błyszczały mu oczy. Pod koniec wizyty, żegnając się, z rozpędu nazwałem go Naiwniakiem. Skwitował to

śmiechem i dodał, że już dawno wiedział o swoim przezwisku. Przygryzłem wargi ze wstydu, Naiwniak wszystko akceptuje, nawet złośliwe przezwisko. A są tacy, którzy twierdzą, że kto chce mieć autorytet, musi być surowy.

Odwiedziny nauczyciela wprawiły mnie w dobry humor. Zaprzagnąłem wyjść z tego szpitala, zjeść kolację z matką i ojcem, wyprowadzić Terminatora na spacer, pograć na gitarze z Nikiem, odrobić lekcje z Silvią, pocałować Beatrice... Jednocześnie jednak muszę się przyznać, że Naiwniak znowu mnie wkurzył, bo... trudno mi to wyznać, ale przyszło mi do głowy, że właściwie chciałbym być taki jak ta ofiara losu i nieudacznik, jak ten niewydarzony nauczyciel historii i filozofii na zastępstwie.

Matka znalazła list pobrudzony krwią i kurzem z ulicy. Był w kieszeni dżinsów. Dżinsy wyrzuciła, bo całe się podarły, ale przedtem sprawdziła, czy nie zostało coś w kieszeniach. I zostało: dwa euro, sprężynka, podobizna Barta, gumy do żucia i list. Na liście jest moja krew, zakrzepła i sucha. Już po raz drugi oddaję krew dla Beatrice i czuję się z tego powodu szczęśliwy zupełnie tak samo jak za pierwszym razem. Przeczytałem list ponownie. Całkiem nieźle napisany, chociaż niektórych liter nie da się odczytać, bo są pobrudzone krwią. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby dostarczyć go Beatrice. Choćbym nawet miał już dzisiaj wstać z tego łóżka!

Odwiedził mnie także Gandalf. Naprawdę się tego nie spodziewałem. Uczy w dziesiątkach klas, ma setki uczniów, do tego jeszcze parafię, a za sobą kupę lat życia, które przygniatą jego kruche, jakby przezroczyste ciało, przywodzące na myśl Ducha Świętego, tego, w którego tak wierzy... A jednak przyszedł mnie odwiedzić. Na pewno nie sprawiło mi to przykrości, wręcz przeciwnie - ucieszyło i mile zaskoczyło. Zapytał, jak doszło do wypadku. Wszystko mu opowiedziałem; także o liście. Czułem się przy tym bardzo swobodnie. Przemilczałem tylko, że chodzi o Beatrice. Usłyszałem, że jestem dzieckiem Bożym, w którym Bóg sobie upodobał, na co poprosiłem, żeby nie mówił mi o Bogu, bo gdyby Bóg istniał, nie dopuściłby do choroby Beatrice.

- Jak ten Bóg wszechmogący i wszech-wszystko mógł mi to zrobić? Dlaczego każe mi tak cierpieć i każe cierpieć innym, którzy podobnie jak ja nie zrobili nic złego? Pięknie sobie upodobał! Wcale tego Boga nie rozumiem, cóż to za Bóg, jeżeli pozwala na tyle zła?

Gandalf odrzekł, że mam rację. Jak to - mam rację? Ja go prowokuję, a on przyznaje mi rację? Powinien chyba jako ksiądz bronić swoich pozycji? On tymczasem stwierdził, że także Jezus, Syn Boży, poczuł się opuszczony przez ojca i wykrzyczał mu to w godzinie śmierci.

- Bóg potraktował w ten sposób swojego syna i tak samo traktuje nas, w których sobie upodobał.

Cóż to za rozumowanie? Zabrakło mi jednak argumentów, by pokazać, że jest błędne... Zresztą z czym tu polemizować, jeżeli - jak twierdzi Gandalf - wszystko to zostało napisane w Ewangeliach.

- Zakładając, że to nieprawda, chyba przyznasz mi rację, że nietrudno byłoby wymyślić Boga silnego. Na pewno łatwiej niż Boga, który okazuje słabość i czuje się opuszczony przez ojca w chwili śmierci.

Na widok krwi na liście leżącym na nocnym stoliku Gandalf powiedział, że kojarzy mu się z krzyżem, który też jest czymś w rodzaju listu do ludzi podpisanego krwią zbawienia. Postarałem się zmienić temat rozmowy, w przeciwnym razie Gandalf wyjechałby z godzinnym kazaniem, a to już byłaby lekka przesada. Muszę przyznać, że podrzucił mi temat do myślenia, szczególnie spodobał mi się ten motyw krwi, bo dotyczy bezpośrednio mnie i Beatrice. Jest to może jedyne prawdziwe stwierdzenie w całym tym wykładzie o Chrystusie: miłość wymaga ofiary krwi. Bo miłość jest czerwona jak krew.

- Leo, nie istnieje żadne przekonujące usprawiedliwienie cierpienia, ale od kiedy Chrystus umarł za nas na krzyżu, cierpienie zyskało sens. Jest w nim sens...

Na pożegnanie uściskałem Gandalfa serdecznie, tak jak tylko pozwalała na to mój pancierz. Kiedy zniknął, zobaczyłem,

że na liście do Beatrice leży drewniany krzyż. Na jego poprzecznym ramieniu z tyłu było wyryte zdanie: „Nie ma większej miłości od tej, gdy kto życie oddaje za przyjaciół swoich”. Nieźle brzmi, muszę to sobie zapamiętać. Schowałem krzyż, nie chcę, żeby wszyscy widzieli go na moim stoliku, a poza tym słyszałem, że przynosi pecha. Oddam go Gandalfowi w szkole.

Mam już dość tego leżenia w łóżku. Serdecznie dość. Dni ciągną się bez końca, nawet minuty zdają się trwać wiecznie. Nie mogę znaleźć żadnej wygodnej pozycji, poza tym ręka pod gipsem swędzi mnie chwilami tak mocno, że najchętniej bym ją sobie odciął. Muszę się postarać o tym nie myśleć. Pomaga w tym włączona bez przerwy telewizja. Kiedy koncentruję się na własnym ciele, czuję ból, a gdy skupiam się na myśleniu, ból jest jeszcze większy. Dlaczego ból postanowił zostać moim najbliższym towarzyszem?

Jak twierdzi Naiwniak, jest konieczny, by marzenia mogły stać się rzeczywistością, znoszę go więc, choć chętnie obyłbym się bez niego. Musi przecież istnieć jakiś łatwiejszy sposób na zrealizowanie pragnień, bez tak ogromnego wysiłku... Męczy mnie nawet oglądanie telewizji. Ciekawe dlaczego, nie ruszam się przecież z łóżka. Ale tak właśnie jest - telewizja mnie męczy, ciągle to samo, oglądając ją, czuję się jak pod narkozą. Połowa programów traktuje o sekretach różnych

ludzi, a druga połowa o tym, co robią ludzie, gdy ich tajemnice stają się publiczną własnością. Ja też mam pewną tajemnicę, ale na pewno nie opowiem o niej w telewizji.

Moją tajemnicą jest Beatrice.

Przyszła Silvia i przyniosła mi książkę, zbiór opowiadań.

- Szybciej minie ci czas.

Silvia jest jak szum morza, który jest, choć go nie słyszysz, a jeżeli skoncentrujesz na nim uwagę i wsłuchasz się w niego, uspokoi cię i ukołysz. Gdybym ją kochał, ożeniłbym się z nią od razu, ale miłość to nie łagodny szum morza, tylko sztorm. Zapytałem ją o Beatrice. Powiedziała, że jest znowu w szpitalu, zaczęła drugi cykl chemioterapii.

- Leży tutaj, w tym samym szpitalu co ty.

Nie mogę w to uwierzyć! Śpimy pod jednym dachem, a ja nic o tym nie wiedziałem. Ta wiadomość wprawiła mnie w stan podekscytowania. Nie ciągnę tego tematu z Silvią, bo chcę w samotności smakować wspaniałą wiadomość. Później ją przemyślę i zdecyduję, co zrobić. Nie, lepiej będzie, jak zdecyduję od razu.

- Czy mogłabyś zanieść jej mój list? - proszę Silwię.

Odpowiada, że to nie jest dobry moment, i spuszcza wzrok. Posmutniała. Może ma rację, Beatrice dużo śpi podczas

chemioterapii, jest osłabiona, poza tym często wymiotuje. Silvia nie chce jej teraz zawracać głowy, myślę, że rzeczywiście ma rację, to nie jest odpowiednia chwila.

Rozmawiamy o szkole. Erika-przez-i chodzi z Luką. Stali się nierozłączni. Najdziwniejsze jest to, że Erika-przez-i, która zawsze dobrze się uczyła, już dwa razy w krótkim czasie dała się złapać kompletnie nieprzygotowana do lekcji. Luca nigdy nie przejmował się nauką, teraz całe popołudnia spędzają razem, obcałowują się i włączają po mieście. Erika-przez-i mówi, że odkryła, jak mało znaczy szkoła i nauka. Miłość wszystko przewartościowała w jej życiu, bo nic innego nie daje tyle szczęścia. Zgadzam się z nią w zupełności i mówię Silvii z przekonaniem, że rzeczywiście, kto się zakocha, ma szczęście. Silvia przyznaje mi rację, ale uważa, że nie powinno się z tego powodu rezygnować z własnej osobowości. Czy Erika-przez-i, która zawsze dobrze się uczyła, rzeczywiście musiała rzucić książki w kąty tylko dlatego, że jest zakochana? To tak, jakby wyrzekła się swojej tożsamości, jakby zgadzała się na to, że nie jest już Eriką-przez-i, i nie obchodziło ją, kim się stała w zamian.

Silvia zawsze znajduje jakieś subtelności w sytuacjach, które mnie wydają się jasne i proste. Tym razem też udało jej się zachwiać moją pewność. Pytam, czy była kiedyś zakochana. Kiwa potakująco głową, ze wzrokiem wbitym w palce własnej ręki.

- W kim?
- Tajemnica. Może kiedyś ci powiem...
- Okej, szanuję twoją *privacy*, ale pamiętaj, że mnie możesz wszystko powiedzieć, możesz na mnie zawsze liczyć.

Silvia uśmiecha się bez przekonania i zaraz potem zaczyna opowiadać o profesor Nicolosi, tej od wychowania fizycznego. Ma około pięćdziesiątki i w młodości była może niebrzydka, ale od tego czasu minęło wiele lat. Robi wszystko, żeby młodo wyglądać, i jest przy tym po prostu śmieszna, ale nikt nie ma odwagi jej tego powiedzieć. Zupełnie inaczej jest z profesor Carnevale, nauczycielką biologii. Ma mniej więcej tyle samo lat co wuefistka i nadal bardzo dobrze wygląda. Jest po prostu piękną pięćdziesięcioletnią kobietą, podczas gdy Nicolosi ubiera się jak dwudziestka i jest żałosna. Silvia mówi, że Nicolosi przyszła do szkoły w mini tak krótkiej, że chłopcy dosłownie oszaleli na ten widok.

- A mnie to ominęło!

Silvia patrzy na mnie ostro.

- Świnia.

- Nie świnia, tylko lew.

Faktem jest, że chłopcy obfotografowali ją komórkami.

- A ty nie lubisz, kiedy ludzie na ciebie patrzą?

Silvia waha się przez chwilę, po czym odpowiada:

- Lubię, bardzo... Ale nie chciałabym nikogo do tego zmuszać, choć kobieta wie, jak to zrobić. Wolę poczekać na tego, który zapagnie odkrywać mnie powoli, krok po kroku, tak jak to się robi z marzeniami.

To następna rzecz, nad którą muszę się zastanowić. Marzenia są jak gwiazdy, odkrywamy, że błyszczą, dopiero wtedy, gdy gasną sztuczne światła, choć przecież gwiazdy błyszczą zawsze. Tylko że nikt nie zwraca na nie uwagi, zbyt jesteśmy zaabsorbowani sztucznym światłem. Silvia zmusza mnie do

myślenia, robi to specjalnie. Wkrótce zasypiam, nie jestem przyzwyczajony do długich rozmyślań. Trochę mi żal, że tyle tracę, nie chodząc do szkoły, chociaż na chwilę przed pogrążeniem się w sen dochodzę do wniosku, że nie tracę niczego, co byłoby niezbędne do życia...

To już dawno odkryłem - szkoła nie jest do niczego przydatna. Jeżeli zostanę ministrem oświaty, pierwszą rzeczą, którą zrobię, będzie zamknięcie szkół.

Zaraz po przebudzeniu przypominam sobie, że w szpitalu, w którym leżę, jest też Beatrice, i smakuję tę myśl jak mentosa. Zapominam o bólu, nudzie i telewizji. Kiedy najpiękniejsza dziewczyna, jaką znasz, jest blisko, wszystko zmienia się na lepsze, a to, co nie miało sensu, nagle staje się pełne znaczenia. Muszę coś zrobić, żeby móc ją przynajmniej zobaczyć. Pozwalają mi już wstawać z łóżka, rękę mam uwiązaną bandażem u szyi, a szyja wciąż jest usztywniona kołnierzem, ale mogę się ruszać, zdjęcia rentgenowskie pokazują, że kości zrastają się, jak powinny.

Podjęmuję więc decyzję i wstaję z łóżka. W tym stanie, i do tego jeszcze ubrany w piżamę, nie wyglądam najlepiej, ale trudno. W szpitalu natychmiast się przyzwyczajasz do widoku ludzi w piżamach. To nieprawdopodobne, jak szybko zaczyna wydawać ci się normalne, że pokazujesz się obcym ludziom w łóżkowym stroju, ale w szpitalu tak właśnie jest. Może dlatego, że wobec choroby i cierpienia wszyscy jesteśmy do siebie podobni, równie żałośni, wszyscy tacy sami, a piżama staje

się rodzajem uniformu. Zresztą ja mam bardzo elegancką piżamę, pożyczoną od ojca. Przyniosła mi ją mama, bo w moich nie mieściło się zagipsowane ramię. Lubię ją, bo pachnie tatą, i czuję się w niej trochę jak w domu.

Tak wystrojony wchodzę na oddział kobiecy. Nie mam odwagi zapytać nikogo z personelu o Beatrice, chodzę więc po korytarzu oddziału onkologii, jakbym wybrał się na spacer po szpitalu. Pierwsza część słowa „onkologia” też na pewno pochodzi z języka greckiego, podobnie jak jego drugi człon: „logia”. Poszukam w słowniku, jak tylko wrócę do domu. Za czym, jak za czym, ale za greką wcale nie tęsknię. Dyskretnie zaglądam do sal. Podobnie jak na moim oddziale tutaj też leżą prawie wyłącznie starsi ludzie. Słoń ma siedemdziesiąt pięć lat, ja jestem dla wszystkich czymś w rodzaju maskotki... Młodzi trafiają tu przypadkiem, kiedy mają pecha, starzy - po prostu dlatego, że są starzy.

Widzę głowę z przerzedzonymi rudymi włosami leżącą na białej poduszce, jakby była różą na śniegu albo Słońcem na Drodze Mlecznej - to głowa Beatrice. Beatrice, która śpi. Zdecydowałem się wejść. Na drugim łóżku leży staruszka z twarzą tak pełną zmarszczek, jakby ktoś je na niej wyrzeźbił. Uśmiecha się do mnie, przywodząc przy tym na myśl zgniecioną folię aluminiową.

- Jest bardzo słaba.

Odpowiadam jej uśmiechem. Zbliżam się do łóżka Beatrice, czuję się sztywno i biało niczym mumia. Przeraza mnie to, co widzę. Jest podłączona cienką rurką do kroplówki, przy igle wbitej w przegub ręki widać czerwoną kroplę krwi. W żyłach Beatrice krąży także moja krew. Najczerwieńsze na

świecie ciała mojej krwi pożerają białe ciała krwi Beatrice i zabarwiają ją szkarłatem. Czuję w sobie jej ból i pragnę, by ją opuścił na dobre i stał się moim bólem. Przecież ja i tak muszę jeszcze przez jakiś czas poleżeć w tym szpitalu.

Beatrice śpi. Pamiętałem ją inną. Wygląda bezbronię, jest blada, ciemne cienie otaczają jej oczy i to na pewno nie jest makijaż. Śpi. Ramiona okryte cienkim materiałem niebieskiej piżamy leżą bezwładnie wzdłuż ciała. Dłonie ma szczupłe i delikatne. Nigdy jej nie widziałem z tak bliska. Kojarzy mi się z dobrą wróżką. Jest sama i śpi. Patrzę na nią przez co najmniej pół godziny, a ona śpi. Nic do siebie nie mówimy, ale to niepotrzebne. Wpatruję się w jej twarz, żeby zapamiętać każdy najmniejszy rys. Ma malutki dołek w prawym policzku, dzięki któremu wygląda, jakby się uśmiechała także wtedy, gdy śpi. Nie słyszę jej oddechu. Jest cichutka, ale jak zawsze świetlista niczym gwiazda nocą. Wreszcie wchodzi pielęgniarka, żeby sprawdzić kroplówkę, i prosi, żebym wyszedł. Podnoszę się niezgrabnie, jestem pewnie śmieszny w tej swojej eleganckiej piżamie.

- Znasz ją, przystojniaku? - pyta pielęgniarka.

Jest gruba i od śmiechu z własnego żartu trzęsie się jak galaretkę golonki w puszcze. Milczę przez chwilę, potem odpowiadam z szerokim uśmiechem:

- Tak, to moja dziewczyna. Złamałem sobie rękę specjalnie, żeby być przy niej.

Pielęgniarka Golonka powstrzymuje się od czegoś więcej niż śmiech, ale nie potrafię tego czegoś określić. Przed wyjściem głaszczę leciutko policzek Beatrice. Nie budzę jej, chcę tylko, żeby po przebudzeniu znalazła na twarzy moją pieczęć.

Wyzdrowiej szybko, Beatrice. Mam marzenie i muszę cię do niego zabrać.

Nie zostawiłem listu Beatrice, zapomniałem o tym z winy pielęgniarki Golonki. Zresztą może to nie był odpowiedni moment. Otworzyłem kopertę, żeby przeczytać list jeszcze raz, tak jakbym przeczytał go na głos Beatrice. W kopercie był krzyż, który upadł teraz na podłogę w miejscu, do którego trudno mi sięgnąć. Zawsze tak się dzieje z rzeczami, które są w danej chwili najpotrzebniejsze. Udało mi się go wreszcie podnieść i zirytowany złapałem go mocno zdrową ręką. Spojrzałem na Jezusa. Zdawał się spać jak Beatrice, miał ten sam co ona wyraz twarzy. Pomyślałem, że On na pewno wie, co ona przeżywa, bo sam przez to przeszedł.

Dlaczego pozwalasz, zakładając, że istniejesz, na cierpienie dobrych ludzi? Zresztą po co pytam, i tak nie odpowiesz. Nie wiem, czy istniejesz, ale jeżeli tak jest i jeżeli możesz czynić cuda, zrób jeden dla mnie! Spraw, żeby Beatrice wyzdrowiała! Jeżeli to zrobisz, zacznę Ci wierzyć. Co Ty na to?

Przez cały dzień siedziałem na łóżku i obserwowałem pod mikroskopem pamięci uspioną twarz Beatrice. Zanurzyłem się w dołku w jej prawym policzku i zostałem tam długo, ułożony jak niemowlę w kołysce. Czułem się, jak kiedy w dzieciństwie kolorowałem kredkami te okropne książeczki z białoczarnymi konturami. Z tego miejsca lepiej widziałem świat, mogłem pozostać w ciszy i dotykać ciemności, nie obawiając się ich. Miałem wrażenie, jakby moje zeszywniałe zmysły rozprostowały się po długim śnie. Minęło dużo czasu, ale nawet tego nie zauważyłem; nie byłem zmęczony jak wtedy, gdy godzinami oglądałem telewizję. Wręcz przeciwnie, byłem gotów natychmiast rozpocząć wszystko od nowa.

Zapadł wieczór, za oknem panuje ciemność. Chciałbym ochronić Beatrice przed mrokiem. Wstaję z łóżka i idę w stronę jej pokoju. Nie przeszkadza mi już szpitalny zapach środków dezynfekujących, czuję za to silnie zapach choroby, ale i on nie budzi już we mnie strachu. Zawracam, nie mogę przecież stanąć przed Beatrice z pustymi rękami. Wchodzę

do jednej z sal, gdzie przez otwarte drzwi zauważyłem wazon z kwiatami. Dwie kobiety siedzą przed telewizorem i oglądają jakiś stary film, z tych, które nadają zwykle na czwartym kanale. Wydają się zahipnotyzowane nudą czwartego kanału. Starzy ludzie... Podchodzę do wazonu i wyjmuję stokrotkę, białą, z tych dużych, z których układa się bukiety. Jedna z kobiet się odwraca. Uśmiecham się do niej.

- To dla koleżanki.

Twarz kobiety, zdająca się należeć do czasów prehistorycznych, rozjaśnia się, przy czym zmarszczki pogłębiają się jak koryta rzek.

- Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiada łagodnie, a głębie rzek wygładzają się w morze spokoju.

Wychodzę na korytarz, radosny, ze stokrotką w ręku. Jest piękna i skromna, taka właśnie, jaka powinna być, jakby ktoś ją zasiał właśnie na tę okazję. Ogrodnik, który o nią dbał, nie wiedział o tym, ale zrobił to specjalnie dla mnie, jego praca zyskała w ten sposób dodatkowy sens. Na szpitalnym korytarzu w białej ciszy wieczoru niosę stokrotkę dla Beatrice, pokój dwieście trzydzieści cztery, oddział onkologiczny. Wchodzę do pokoju pogrążonego w półmroku. Dostrzegam tylko kontury Beatrice i kobiety leżącej na sąsiednim łóżku. Obie śpią. Są do siebie podobne w tym półmroku, obydwie tak samo wycieńczone chorobą. To niesprawiedliwe, żeby młoda dziewczyna w tak krótkim czasie upodobniła się do starej kobiety. Beatrice śpi przykryta szpitalnym kocem. Patrę na jej profil, najpiękniejszy profil na świecie. Podchodzę i kładę

moją stokrotkę na jej nocnym stoliku. Przyszła mi do głowy
pewna piosenka i zaczynam ją nucić bez rumieńca wstydu:

Dobrej nocy, kwiatuszku,
Dobrej nocy wśród gwiazd,
dobrej nocy w tym pokoju.
Chcę o tobie śnić,
chcę mieć cię blisko przy sobie,
nie jesteś jeszcze dość blisko...

Wychodzę bezgłośnie. Zrobiłem to, co miałem zrobić: za-
śpiewałem moją pierwszą serenadę dla ukochanej dziewczyny.
Zrobiłem to wprawdzie w piżamie, ale zrobiłem.

Wracam do swojego łóżka, ale nie mogę zasnąć. Zawsze kiedy patrzę na Beatrice, czuję w żołądku ciężar kamienia. To nie ma nic wspólnego z uczuciem, jakie ogarnia cię na widok pięknej dziewczyny. Zwykle uroda dziewcząt przyprawia o zawrót głowy, tymczasem uroda Beatrice ma dla mnie ciężar kamienia, najśłodszy ciężar, który chętnie niosę w sobie... Pewnie to właśnie jest znak prawdziwej miłości. Nie takiej, od której kręci się w głowie, ale takiej, która działa jak siła ciążenia. Zasnąłem przy zapalonym świetle, z malunkiem Silvii przed oczami. Widziałem siebie przy sterze łódki, obok mnie Beatrice, razem płynęliśmy na wyspę, na której nasze marzenia miały się stać rzeczywistością. W rude włosy Beatrice o ognistej poświacie jak powierzchnia morza, w którym odbija się słońce, wpleciona była stokrotka.

Zapytajcie, czy jestem szczęśliwy. Tak, jestem, a przynajmniej w snach.

Jutro nareszcie wracam do domu, w Boże Narodzenie. Co za radość! Zostało mi tylko parę kilo gipsu na ręce. Przed wyjściem ze szpitala chciałbym zanieść list Beatrice, tak żebyśmy mogli się spotkać, kiedy tylko zwolnią ją ze szpitala. Wszystko się ułoży i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Postanowiłem, że zrobię to pod osłoną nocy, gdy w korytarzach słychać tylko chóralne chrapanie, podobne do chrząkania stada dzików. Wtedy wszechobecny zapach choroby jest mniej przenikliwy, być może dlatego, że ból uspokaja się podczas snu. Silvia kupiła mi nową kopertę - włożyłem do niej list. Teraz jest zaklejona. Kroki stawiam cicho, idąc korytarzem w stronę oddziału onkologicznego. Przy każdym czuję, jak powiększa się moje serce, by stać się domem, który Beatrice już zaczęła urządzać, przedstawiając moje uczucia, plany, marzenia według własnego gustu. Powtarzam sobie słowa listu, znam je na pamięć, widzę je oderwane od kartki papieru, żyjące swoim życiem.

Drzwi do pokoju są zamknięte. Otwieram je najdelikatniej, jak potrafię. Podchodzę do łóżka Beatrice, prawie nie oddychając, by móc usłyszeć jej oddech i poczuć jej zapach.

Łóżko jest puste. Prześcieradło nietknięte, nieskazitelnie białe i gładkie.

Siadam na brzeżku, gniotąc w rękach list. Moje marzenie jest podobne do latawców, które kleiliśmy z ojcem, gdy byłem mały. Miesiące przygotowań, a potem i tak nie latały. Tylko jeden latawiec, czerwono-biały, wzniósł się wysoko w powietrze, ale wiatr tego dnia był tak silny, że sznurek, za który go trzymałem, ranił mi rękę i w końcu pozwoliłem, żeby odleciał.

Beatrice też odlatuje, porywa ją wiatr. Staram się ją zatrzymać, choć cierpienie powodowane więzią, jaka mnie z nią łączy, jest coraz bardziej dotkliwie. Kulę się na łóżku Beatrice, podobny do Terminatora, gdy śpi zwinięty na dywaniku. Tej nocy śpię przy niej, choć już stąd odleciała.

- Co ty tutaj robisz?

Te słowa przerywają moją senną podróż po bezbrzeżnym białym łóżku. Na szczęście znalazła mnie w nim pielęgniarka Golonka, gdyby to był ktoś inny, kto mnie nie zna, miałbym kłopoty.

- Szukałem Beatrice... - odpowiadam ze szczerością, która musi podzielać na miękkie serce pielęgniarki zdolnej pokochać zapach choroby.

- Zwolniono ją wczoraj.

Nie mówi nic więcej, jest poważna.

Wstaję z łóżka i już tęsknię za tym miejscem, gdzie spędziłem noc przytulony do Beatrice. Wychodzę z pokoju z opuszczoną głową, powłócząc nogami. Kiedy mijam pielęgniarkę, burzy mi włosy miękką dłońią.

- Opiekuj się nią. Zrób to dla mnie.

Zatrzymuję wzrok na jej twarzy, czując przy tym, jak ciepło jej dłoni dodaje mi odwagi, której tak bardzo potrzebuję.

- Na pewno to zrobię.

Później przyszała mama. Wpakowała moje rzeczy do torby i podtrzymując mnie, chociaż wcale tego nie potrzebowałem,

poprowadziła mnie do samochodu. Udawałem, że jestem słabszy niż w rzeczywistości, po to, by objęła mnie ramieniem, co uśmierzyło mój ból, niewidzialny i najdotkliwszy, jaki znam.

Mój pokój pozostał taki sam, jak kiedy byłem w nim po raz ostatni. A jakich to zmian mogłem się spodziewać? Nie śpię już pod tym samym dachem co Beatrice, nie mogę też jej odwiedzić. Mój skuter skończył żywot, co mogło spotkać i mnie. Tak czy inaczej, w moim stanie nie mógłbym go prowadzić.

Jest Boże Narodzenie, w związku z czym przesiedzę następne dwa tygodnie w domu, z ręką uwiązaną u szyi. „Wykorzystaj te wakacje na nadrobienie zaległości” - poradziła mi mama. Rzeczywiście, piękne wakacje, uczyć się dwa razy tyle co zawsze! Chociaż właściwie dwa razy zero to i tak zero, tyle jeszcze wiem z matematyki. Gdy siadam nad podręcznikiem, wskazówki zegara zdają się przyklejać do tarczy, jakby były uwięzione w bańce czasoprzestrzeni.

Ja też jestem zamknięty w tej samej bańce, jest biała, unoszę się w niej wysoko, między chmury, skąd nikt nie może mnie usłyszeć, sam jak balonik urwany z uwięzi.

Kiedy już wszystko ogarnia biel, moje serce ściska się, staje się małutkie jak groszek i nawet gdy krzyczy, nikt go nie słyszy.

Ocalić może mnie tylko Silvia.

Silvii nie ma. Wyjechała na kilka dni do babci, która mieszka nad morzem. Może to i lepiej, nikt nie będzie mi wyrzucał, że wciąż odkładam naukę na później. Nudzę się okropnie i jestem wściekły, że czas przecieka mi przez palce, a jednak nie potrafię zmusić się do pracy i nie zaczynam nawet odrabiać zaległości. Naiwniak powtarza zawsze, że nudzi się ten, kto nie dość żyje. Cóż to za stwierdzenie! Co to w ogóle znaczy? To jedna z tych jego filozoficznych myśli, które mnie przerażają, ale może właśnie dlatego mnie pociągają. W tej akurata jest ziarno prawdy - ja chyba rzeczywiście nie dość żyję. Z tym że nie potrafiłbym powiedzieć, co to właściwie znaczy. Muszę zapytać Naiwniaka.

Rozmawiałem przez telefon z Nikiem. W zeszłym tygodniu nasza drużyna wygrała z drużyną Desperados, których nazwa znakomicie oddaje znikomość ich umiejętności, i za miesiąc mamy następny mecz. Ciekawe, czy wtedy będę mógł nareszcie wejść na boisko. Wszystkie moje marzenia

powiązałem z tym turniejem. Chcę wygrać puchar dla Beatrice, podnieść go w górę w jej obecności!

Człowiek się nudzi, kiedy ma nudne życie.

Zdarzają się dni, kiedy stajesz przed lustrem i widzisz się innym, niż się tego spodziewałeś. Lustro jest najokrutniejszą odmianą prawdy. Nie przedstawia cię takim, jaki jesteś naprawdę. Byłoby łatwiej, gdyby odbicie w lustrze pokazywało także twój charakter, gdyby od razu było widać, czy jesteś szczerzy, wielkoduszny, sympatyczny... Do tego jednak są potrzebne słowa i fakty. Dopiero za ich pomocą pokazujesz, kim jesteś. Bez wątpienia byłoby o wiele łatwiej, gdyby wygląd zewnętrzny mówił wszystko o człowieku.

Może jednak spróbuję. Wyrobię sobie mięśnie na siłowni, zrobię piercing, wytatuuję lwa na bicepsie (którego jeszcze nie mam) i może coś jeszcze... nie wiem, muszę pomyśleć. Kto mnie zobaczy z całą tą dekoracją, będzie od razu wiedział, z kim ma do czynienia.

Erika-przez-i ma kolczyk w nosie i zaraz widać, że jest otwarta i można z nią porozmawiać na wiele tematów. Susy zrobiła sobie tatuaż pod pępkiem, kończy jej się trochę niżej, wiadomo gdzie - w ten sposób Susy daje znać, że jest gotowa dać

ci to, czego chcesz. Krótko mówiąc, muszę się postarać o bardziej zdecydowany wygląd. Wtedy wszyscy od razu mnie zauważą, nie chcę być anonimowy.

Beatrice tego nie potrzebuje, ma ognistorude włosy i zielone oczy, one mówią, jak potrafi kochać i jaka jest czysta. Jest czerwona jak najjaśniejsza gwiazda i biała jak piasek na hawajskiej plaży.

Gdy wróciłem wreszcie do szkoły, wszyscy żartowali sobie ze mnie, nazywali mnie C-3PO, imieniem złotego robota z *Gwiezdnych wojen*. Ramię wciąż jeszcze mam uwiązane u szyi, ale za kilka dni pozbędę się nareszcie gipsu. Giacomo stracił pozycję największego pechowca w klasie, teraz ją zajmuję. Na pocieszenie mogę sobie oglądać swój gips z kolorowymi napisami, z autografami przyjaciół i kolegów. Mam sławne ramię, mam ramię, dzięki któremu mogę zawsze nosić przy sobie wszystkich, którzy mnie lubią. „Piraci czekają na swojego kapitana, Niko”; „Twoim następnym wcieleniem będzie pomnik pechowca, Erika”; „Tego by tylko brakowało, gdyby mnie się to przytrafiło! Giacomo”; „I tak jesteś śliczny, Silvia”. Brakuje tylko jednego imienia. Beatrice. Ale nie muszę go oglądać na gipsie, noszę je w sercu.

Napisy mogą być najróżniejsze. Istnieją te umieszczone na butach, koszulkach, spodniach - „Nike Dockers”, „Fred Perry” - które przez jakiś czas podnoszą twoje poczucie wartości, ale potem to mija, buty się niszczą, koszulka traci kolor

i wszystko wychodzi z mody. Są też napisy, które nosisz w sercu. One mówią ci prawdę o tym, kim i dla kogo jesteś. Ja w sercu mam wytatuowane imię Beatrice. Ona jest moim marzeniem, dla niej żyję.

Ale Beatrice nie przychodzi do szkoły. Poddają ją kolejnemu cyklowi chemioterapii. Jak tak dalej pójdzie, straci rok.

W domu na biurku czeka na mnie bilecik od mamy przyklejony do pomiętej koperty z listem: „Znalazłam to na dnie torby z rzeczami ze szpitala”. List do Beatrice! Jakże mogłem o nim zapomnieć! Muszę jej go zanieść, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Bo jak mówi Batman: „Określa cię to, co robisz, nie to, na kogo wyglądasz” - a Batman ma zawsze rację.

Usiadłem w końcu nad książkami. Zmusił mnie do tego nieubłagany upływ czasu. Postanowiłem nadrobić zaległości. Prawdę mówiąc, pomaga mi w tym Silvia, sam nigdy bym się na to nie zdecydował. Weszliśmy właśnie w najczarniejszą fazę semestru: same klasówki i odpytywania, a ja jestem ze wszystkim do tyłu.

Silvia siedzi przede mną i zdaje mi relację z lekcji Naiwniaka, także tych poza programem (moich ulubionych). Objaśnia mi łacińską składnię i jedną z pieśni *Boskiej komedii* Dantego, pieśń o Odyseuszu, który przekonał swoich towarzyszy, by przebyli morze w poszukiwaniu (o ile dobrze pamiętam) „wiedzy i cnoty” (mam jeszcze w uszach ochrypły głos Argenterii, kiedy o tym mówiła), na czym zresztą źle wyszli, bo zginęli w morskich głębinach.

Silvia mówi, a ja odpływam myślami i dochodzę do wniosku, że zawsze jest tak samo. Pojawia się ktoś, kto ma albo wierzy, że ma, jakieś ważne marzenie i przekonuje do niego innych, potem jednak czas i śmierć wszystko niszczy.

Żyjesz mirażem marzeń, czujesz, że adrenalina lada moment eksploduje ci w żyłach, po czym okazuje się, że to była czysta iluzja. Tak jest też z moim marzeniem - niszczy je choroba. Bez Beatrice nie istnieję.

Silvia patrzy mi w oczy bez słowa, zauważyła, że zagubiłem się w myślach. Gładzi mnie lekko po policzku i wiatr na nowo wypełnia żagle łódki na obrazie, kierując ją do portu, którego nie znam, o którym jednak wiem, że istnieje, tak samo jak istnieje dłoń, która mnie dotknęła z czułością. Silvia jedną małą pieścićotą potrafi dokonać cudów. Jak ona to robi?

Dziękuję, Silvio, dziękuję, że istniejesz. Jesteś kotwicą, która nie pozwala mi dryfować; jesteś żaglem, dzięki któremu mogę przepłynąć oceany.

- Dziękuję, Silvio. Wiesz, bardzo cię lubię.
- Ja ciebie też.

Są takie popołudnia, gdy w moim pokoju, który jest dla mnie jak Eurodisney i Gardaland razem wzięte, czuję się jak na strychu pełnym starych, zakurzonych gratów. Po co człowiek żyje, jeżeli i tak musi umrzeć? A tego, co jest po śmierci, po prostu się boję. Boję się jeszcze bardziej, jeżeli potem nic nie ma. Boję się Boga, który jest wszechmogący, boję się bólu i cierpienia. W przerażenie wprawia mnie choroba Beatrice, boję się zostać sam, boję się tej cholernej bieli...

Dzwonię do Nika, ale nie ma go w domu, gra gdzieś w piłkę. Dzwonię więc do Silvii, ale jej też nie zastaję. Próbuję się z nią połączyć przez komórkę; jest wyłączona. Wysyłam więc do niej SMS-a: „Zadzwoń, kiedy będziesz mogła”.

Czy mogłabyś znowu pogłaskać mnie po policzku, jak wtedy? Boję się. Boję się wszystkiego. Boję się, że przegram życie, boję się, że Beatrice umrze, boję się, że nie będę miał do kogo zadzwonić. Boję się, że zostawisz mnie samemu sobie.

Siedzę w pokoju otoczony niemymi przedmiotami, nie ma nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Książki są nieme; są

nieme także dlatego, że nie ma przy mnie Naiwniaka, który pomógłby mi je zrozumieć albo przynajmniej przekonałby mnie, że są interesujące. Komiksy są nieme, chociaż mają tyle kolorów. Odtwarzacz jest niemy, bo nie mam ochoty go włączyć. Komputer jest niemy, bo jego ekran, który wydaje się dostatecznie głęboki, by zmieścić się w nim cały świat, w rzeczywistości, co widać z boku, jest beznadziejnie płaski. I zaczynam wątpić, czy ten płaski przedmiot może naprawdę zawierać w sobie cały świat. W moim pokoju dzisiaj wszystko jest nieme, ale nie mam zamiaru stąd uciekać. Chcę wytrzymać. Do mojego pokoju smutek wpływa dzisiaj falami. Staram się go zatrzymać, ale to żałosne wysiłki, coś jakby suszyć morze gąbką. Wytrzymuję kilka chwil, po czym strach rośnie, jestem rozbitkiem na oceanie samotności.

Unoszę się na jego białej powierzchni, siedzę w pokoju zalanym bielą, w którym nie widać konturów ścian, nie wiadomo, gdzie jest sufit, a gdzie podłoga, gdzie prawa, a gdzie lewa strona... Krzyczę, ale wszelkie dźwięki są pochłaniane. Z moich ust wydostają się niepotrzebne słowa.

Silvio, zadzwoń, proszę.

Budzę się o czwartej, strach oddalił się nieco, przede wszystkim dlatego, że nie jestem jeszcze całkiem przytomny. Przybiłem do nieznannej wyspy i szukam czegoś, co pomoże mi przeżyć. Moje ulubione plakaty patrzą na mnie bezdusznie ze ścian pokoju. Zauważam list. Muszę go zanieść Beatrice, ale są dwa problemy. Pierwszy polega na tym, że list jest pognieciony i wygląda gorzej niż moje wypracowania domowe, powinienem go przepisać na czystej kartce, ale lewą ręką nie potrafię.

Drugi problem to ten, że nie wiem, czy Beatrice jest w domu, czy w szpitalu. Rozwiązanie pierwszego jest proste: Silvia. Podyktuję jej list, a ona go napisze. Wiem, to nie to samo, powinien być napisany moją ręką, ale Silvia ma piękny charakter pisma, na pewno ładniejszy od mojego. Jeżeli chodzi o drugi problem, rozwiązanie jest równie oczywiste: Silvia!

Czy ja przypadkiem nie przesadzam? Ale to takie proste - Silvia zadzwoni do Beatrice, żeby zapytać, gdzie jest, potem ja zaniósł list i może z nią porozmawiam. Tak, porozmawiam

z nią, muszę to zrobić. Powiem jej o marzeniu i ona od razu zrozumie, że to marzenie jest naszym przeznaczeniem. I wtedy wyzdrowieje, ponieważ marzenia leczą wszelkie choroby, uśmierzają wszelki ból. Marzenia nadają bieli kolor.

Idę do Silvii.

Matka Silvii wygląda na osobę, jaką naprawdę jest. Lubię ją. Silvia jest podobna bardziej do niej niż do ojca, człowieka milczącego i tajemniczego. Matka Silvii ma wielki dar, szczerze i głęboko interesuje się innymi ludźmi, w tym także mną, a ja nie mam problemu z odpowiadaniem na jej pytania.

- Myślisz, że szybko będziesz mógł znowu grać na gitarze?
- Nie mogę się doczekać.

Pyta o szczegóły. Tylko temu, kto pyta o szczegóły, można uwierzyć, że rzeczywiście chce zrozumieć drugiego człowieka. Ciekawość szczegółów to sposób na okazanie miłości. Bardzo lubię mamę Silvii. Zajmuje drugie miejsce na liście ulubionych matek, zaraz po mojej.

W pokoju Silvii pachnie lawendą. Tak nazywa się roślina, która rozdrobniona wypełnia miseczkę na niskim stoliku w środku pokoju. Na ścianie nie wiszą plakaty jak u mnie, ale zdjęcia. Silvia jako mała dziewczynka z rodzicami, z młodszym bratem, w szkole podstawowej podczas jakichś występów, w stroju Błękitnej Wróżki. Czy nie mówiłem, że Silvia

jest Błękitną Wróżką, a ja Pinokiem? Pewnie wyszła z tej właśnie książki.

Poza tym na ścianach wiszą jej obrazy: żaglówka na tle jasnego, prawie białego nieba stykającego się z mlecznobiałym morzem; las ze smukłymi drzewami, które - jak się od niej dowiedziałem - nazywają się brzozy i pozostały jej w pamięci po podróży do Szwecji; pole czerwonych tulipanów na tle ciemnego, prawie fioletowego nieba - fragment krajobrazu Holandii. Podobają mi się obrazy Silvii. Można w nich wypocząć, można w nich podróżować.

- Potrzebuję twojej pomocy, Silvio. Chciałem cię poprosić, żebyś coś dla mnie napisała.

- Pod warunkiem że kiedy wyzdrowiejesz, zagrasz dla mnie piosenkę.

Mrugam do niej i wykonuję gest, który ma oznaczać: masz to jak w banku.

- Jaką?

- *Arię* Gianni Nannini.

- Nie znam jej.

Silvia jest zdziwiona i okazuje to w sobie tylko właściwy sposób, zakrywając rękami oczy i potrząsając głową, jakby pomimo najszczerzych chęci nie mogła uwierzyć.

- Będziesz musiał ją poznać.

- Nie wystarczy ci na przykład *Talk* Coldplaya?

- Albo ta, albo żadna - mówi stanowczo, udając obrażoną, ale zaraz się uśmiecha. - Co mam napisać, wypracowanie na temat Dantego czy opis budowy komórki?

- List...

- List? Nie zadawali nam tego.

do Beatrice.

Silvia milczy. Otwiera szufladę, szukając czegoś, włosy zakrywają jej twarz. Dłuższą chwilę szuka papieru i długopisu, potem odwraca się do mnie:

- Przepraszam... Znalazłam, jestem gotowa.

Będę jej dyktować, bo chcę zmienić słowa pierwszego listu, minęło sporo czasu, od kiedy je pisałem, teraz potrzebne są inne. Silvia siedzi z długopisem w ręce i czeka, wpatrując się we mnie, podczas gdy ja staram się skoncentrować. Nie mogę jednak znaleźć właściwych słów. Nie mogę znaleźć słów dla Beatrice. Jeżeli skończą mi się słowa dla Beatrice, i ja będę skończony.

Do tej pory jedynym tekstem, jaki napisałem, nie licząc tych zadanych w szkole, był list do Beatrice. Wtedy po raz pierwszy słowa opisały czarno na białym moją duszę. Biała dusza potrzebuje czarnego tuszu, by stała się widoczna. Można ją wtedy odczytać, zobaczyć, jak widzi się siebie w lustrze, a potem... potem można ją komuś podarować.

Droga Beatrice,
piszę do Ciebie ten list...

I oto moja dusza zaczyna być widoczna, Silvia przedstawia ją za pomocą czarnych liter na białym tle, ozdabia ją swą piękną kaligrafią i moja dusza wydaje się subtelna, łagodna i uporządkowana...

... żeby moje słowa dotrzymały Ci towarzystwa. Pragnę z całego serca porozmawiać z Tobą osobiście, ale obawiam się, że zmęczycioby Cię to, nie chciałbym, żebyś cierpiała. Stąd ten

list. To już drugi mój list do Ciebie, pierwszy został w kieszeni spodni. Miałem wypadek i znalazłem się z nim w szpitalu. Teraz już wyzdrowiałem i choć wciąż jeszcze noszę gips na rękę, postanowiłem napisać do Ciebie ponownie. Jak się czujesz? Jesteś osłabiona? Myślę, że tak. Jakiś czas temu oddałem dla Ciebie krew. Dowiedziałem się, że tego potrzebujesz, żeby wyzdrowieć, i teraz już na pewno wyzdrowiejesz, sprawi to moja krew. Jestem tego pewny. Gandalf mówi, że oddana krew leczy; według jego słów Chrystus wyleczył z grzechu ludzi wszystkich czasów, oddając za nich krew. Ale muszę powiedzieć, że nie bardzo mnie to przekonuje, bo nie wydaje mi się, żeby w moich żyłach płynęła choćby jedna kropla Jego krwi. Tak czy inaczej, podoba mi się ta historia o krwi, która leczy, bo chcę wierzyć, że moja krew uleczy Ciebie. Przepływając przez Twoje serce, ogrzeje je i opowie o moim marzeniu. Marzenia czynią ludzi takimi, jacy są. Czyni ich wielkimi.

Silvia zatrzymuje się i pyta, czy nie boję się, że cała ta historia o krwi nie sprawi Beatrice przykrości. Na pewno nie jest to dla niej miły temat, ma dość krwi, kroplówek i szpitala Silvia ma zawsze rację, a poza tym wyczuwa moje wątpliwości zanim jeszcze ja sam zdam sobie z nich sprawę. Mam czasem wrażenie, jakby patrzyła na świat moimi oczami. Wyrzucam więc cały fragment o krwi.

Beatrice, zrobiłbym wszystko, żebyś wyzdrowiała. Oddałem dla Ciebie krew. Mam nadzieję, że Ci pomoże. Mam pewne marzenie, a Ty jesteś jego częścią. Dlatego wyzdrowiejesz, bo marzenia, to znaczy te, w które naprawdę się wierzy, stają się rzeczywistością. Wiem, że teraz jesteś osłabiona chorobą, na pewno schudłaś i może wstydzisz się pokazać

ludziom, ale wiedz, że dla mnie i tak jesteś najpiękniejsza. Jestem pewny, że wkrótce poczujesz się lepiej i wtedy, jeżeli będziesz chciała, odwiedzę Cię i porozmawiamy. Mam Ci mnóstwo do powiedzenia, chociaż wydaje mi się, że powinnaś już to wszystko wiedzieć. A jeżeli będziesz słaba i nie będziesz miała ochoty rozmawiać, pomilczymy sobie razem, dla mnie to bez różnicy. Wystarczy mi, że będę przy Tobie.

Przerywam, bo załamuje mi się głos. Stanęła mi przez chwilę przed oczami Beatrice, której się nie udało, która zamyka oczy i odchodzi, i ten obraz wymazał wszystkie słowa. W tej samej chwili cały świat dookoła mnie pograżył się w ciemnościach. Po prostu zgasło światło, wypaliła się żarówka. Jeżeli oczy Beatrice nie patrzą na świat, świat gaśnie. Ja zawsze bałem się ciemności i nadal się jej boję, ale nikomu o tym nie mówię, bo się wstydzę. Silvia patrzy na mnie bez słowa. Zbliży palec wskazujący do mojego oka i wyciera łzę, której nie udało mi się zatrzymać.

- Silvio, ja się boję ciemności...

Nie wiem, co mi się stało, dlaczego powiedziałem coś takiego, co rozśmieszyłyby nawet kamienne głowy na Wyspie Wielkococznej. Silvia milczy. Kładzie mi rękę na ramieniu, a ja chwytam jej dłoń, dotykam ciepłej skóry, która nie jest tylko skórą, jest Silvia. Potem Silvia podpisuje list do Beatrice: „Twój Leo”.

Moje imię napisane jest tak, jak ja nigdy nie potrafiłbym go napisać, a jednocześnie wygląda, jakbym zrobił to własnoręcznie. Bez Silvii byłbym nikim, a moja dusza pozostałaby biała. Biel jest chorobą nowotworową krwi życia.

Silvia dała mi adres szpitala, w którym leży Beatrice. To inny szpital niż ten, w którym byliśmy razem, bo Beatrice jest poddawana innej terapii, dłuższej czy jakoś tak, a może przygotowują ją do operacji...

Jestem w domu, biorę długi prysznic, pryskam starannie dezodorantem każdy centymetr kwadratowy ciała. Patrzę do lustra przez trzy kwadranty i wcale nie jestem zadowolony z tego, co widzę. Wolałbym być wyraźniejszy. Beatrice powinna na pierwszy rzut oka zrozumieć, kim jestem. Przebieram się więc w różne ubrania, ale żadne mnie nie przekonuje. Nic nie pasuje.

Matka krzyczy, żebym wyszedł nareszcie z łazienki i przestał bałaganić. Dorośli nie potrafią się wczuć w sytuację własnych dzieci. Nie mają pojęcia, co przeżywamy, są przekonani, że do głowy przychodzą nam same głupie pomysły. „Siedzisz wiecznie zamknięty w swoim pokoju... Byłeś kiedyś takim miłym dzieckiem, a teraz... Chwilami cię nie poznaję”. A potem skarżą się, że nie pytamy ich o radę. Po co mielibyśmy się ich radzić, jeżeli i tak z góry wiemy, jak zareagują: „Nie martw się, to wkrótce minie”. Przebieram się przed lustrem. Nie jest to łatwe z prawą ręką, której daleko do sprawności, ale umarłbym ze wstydu, gdyby mama zapinała mi guziki koszuli, dając przy tym całusy i powtarzając, jakim to jestem przystojnym chłopcem. Mam włożyć koszulę czy bluzę od dressu? Nie mogę się zdecydować... Dzwonię do Nika.

- Włóż koszulę, pokaż, że potrafisz być elegancki.

Dzięki, Niko. Uratowałeś mnie. Tak właśnie zrobię. Niko jest zawsze zdecydowany, nigdy się nie waha, nawet wtedy,

gdy nie bardzo orientuje się w sytuacji. Jak on to robi? Chciałbym być taki jak on, chciałbym na przykład wiedzieć, co należy włożyć na daną okazję.

Tylko że Niko nawet nie zapytał, dla kogo się tak ubieram...

Jestem gotowy. Na dworze jest już ciemno, ale ja mam światło wewnątrz. List napisany przez Silwię włożyłem do kieszeni. Nie przypuszczam, żeby udało mi się rozmawiać bezpośrednio z Beatrice - także z tego powodu ubrałem się tak starannie; mój wygląd musi wystarczyć, żeby zrozumiała, jak bardzo ją kocham. A potem zostawię jej list.

Jak tylko wszedłem do szpitala, zatrzymała mnie pielęgniarka, pytając, po co przyszedłem. Odpowiedziałem, że chciałbym odwiedzić koleżankę.

- Jak się nazywa? - pyta podejrzliwie.

- Beatrice - odpowiadam, patrząc na nią wyzywająco.

Pielęgniarka - chuda, podobna do stracha na wróble i niesympatyczna - nie wie, do czego jestem zdolny. Nie mówię już ani słowa i odwracam się do niej plecami. Zaczynam poszukiwanie Beatrice i... nie znajduję jej. Po godzinie chodzenia po korytarzach wciąż jeszcze nie mogę jej znaleźć.

Przez tę godzinę widziałem chyba wszystko. Zwiedziłem muzeum cierpienia wśród przenikliwego zapachu środków

dezynfekcyjnych i ścian w kolorze zielonych wymiocin. Ktoś uśmiechnął się do mnie, gdy przez pomyłkę wszedłem do jego pokoju, ktoś inny zezłościł się i rzucił za mną jakieś przekleństwo. Spotykam ponownie pielęgniarkę - Stracha na Wróble, która patrzy na mnie krzywo, na co spuszczam oczy.

- Pokój czterysta pięć - mówi zadowolona z siebie, krzyżując przy tym ramiona, jakby mnie właśnie zganiła z jakiegoś powodu.

- Skąd pani wie? - pytam, nie patrząc jej w twarz.

- To jedyna Beatrice, jaką mam w komputerze.

Podnoszę oczy, uśmiecham się do niej i posyłam ręką całusa.

- Po drugiej stronie budynku! - woła, odchodząc. - Na czwartym piętrze.

Wchodzę szybko po schodach. Wchodzę i czuję, że Beatrice jest coraz bliżej. Śpieszę się, bo jest niedaleko i z każdym stopniem zbliżam się do raju, podobnie jak Dante w *Boskiej komedii*. Drzwi do pokoju czterysta pięć są zamknięte, a właściwie przyknięte. Popycham je lekko.

W półmroku widać tylko jedno łóżko, na jego białym ogromnym prostokącie leży drobna skulona postać. Podchodzę cichutko. To nie jest Beatrice. Nie Beatrice. Ta głupia pielęgniarka pomyliła się i posłała mnie do nie wiadomo kogo. Przed wyjściem z pokoju spoglądam jeszcze raz uważniej na zwinięty kształt na łóżku. To dziewczynka, nie chłopiec, jak mi się wydawało w pierwszej chwili. Ma bardzo wychudzoną twarz, skórę bezbarwną, tak bladą, że prawie przezroczystą. Na przedramieniu, tam gdzie jest wkłuta igła kroplówki, widać rozległą siną plamę. Ale śpi spokojnie, zwinięta jak dziecko w brzuchu matki. Nie ma włosów. Wygląda jak dziecko kosmitów, ale robi wrażenie, jakby uśmiechała się przez sen.

Na nocnym stoliku leży książka, bransoletka z niebieskich i pomarańczowych koralików oraz muszla z tych, które kryją w sobie szum morza. Stoi też butelka z wodą i zdjęcie w ramce. Na zdjęciu jest dziewczynka z mamą, która tuli ją do siebie, pod nim napis: „Jestem zawsze z tobą, niczego się nie bój, moja mała Beatrice”. Dziewczynka na zdjęciu ma ognistorange włosy.

Ta dziewczynka to Beatrice.

Cisza.

Jest północ. Siedzę w miejscu, gdzie przychodzę zawsze, gdy chcę, żeby kula ziemską zaczęła się kręcić we właściwym kierunku. Jest to jedno z tych miejsc, w których udaje się wrócić do poprzedniej piosenki. Naciskasz malutki guziczek i świat wraca na swoje miejsce; wszelkie problemy nie tylko znikają, ale okazuje się, że nigdy nie istniały. Krótko mówiąc, jest to jedno z tych miejsc, które nie istnieją. Dla mnie tym miejscem jest czerwona ławka w parku nad rzeką. To miejsce znam tylko ja. I Silvia.

Trzymam głowę w dłoniach, o ile to możliwe z ręką w gipsie, i płaczę. Nie przestałem płakać ani na moment, od chwili gdy uciekłem z tego szpitalnego pokoju. Tak, bo ja uciekłem od swojego marzenia. Swojego rozdartego marzenia. Ściskam w ręce list do Beatrice napisany przez Siliwę, mokry od łez. Rwę go na tysiąc kawałków zębami i zdrową ręką. Wrzucam strzępki papieru do rzeki, a wraz z nimi zapisaną na nich moją czarną duszę.

Teraz kawałki mojej duszy porywa prąd rzeki i nikt ich już nie będzie mógł złapać. Nikt. Topię się razem z każdym z nich. Topię się tysiąc razy. Mojej duszy już nie ma, porwała ją woda. Chcę być sam, w ciszy. Wyłączyłem komórkę. Chcę, żeby cały świat cierpiał z niepokoju o mnie. Chcę, żeby cały świat czuł się tak samotny i opuszczony jak ja. Bez Beatrice, która umiera i nie ma już ognistorudych włosów. Bez Beatrice, której się nie udało. A ja nie rozpoznałem tej, która była częścią mojego marzenia, uciekłem od dziewczyny, którą chciałem chronić przez resztę życia. Jestem podłym tchórzem.

Nie istnieję.

Bóg nie istnieje.

Budzę się nagle, z uczuciem szczęścia. To był tylko sen. Beatrice jest zdrowa, ma ognistorude włosy i jest moim prawdziwym marzeniem. A Bóg istnieje, nawet jeżeli w Niego nie wierzę; to niczego nie zmienia. Później słyszę głos, który wymawia moje imię:

- Leo?

Odwracam się, ale nie poznaję tej twarzy. Nie leżę we własnym łóżku, Jack Sparrow nie patrzy na mnie ze ściany swoimi oczami szaleńca, a poza tym umieram z zimna. Siedzę na czerwonej ławce, przede mną stoi Silvia z policjantem. To już na pewno musi być sen. Silvia z policjantem w moim magicznym miejscu?! Wbijam wzrok w pustkę.

- Dobrze się czujesz? - pyta Silvia, oczy ma spuchnięte z braku snu, a może od łez.

Patrzę na nią i nie rozumiem, ale odpowiadam:

- N i e .

Policjant mówi do jakiegoś urzędnika, którego nie rozpoznaję w ciemnościach:

- Znaleźliśmy go.

Silvia siada, obejmuje mnie i mówi łagodnie:

- Wracamy do domu.

Patrzę na czarną powierzchnię wody, światła, które się w niej odbijają, przywodzą mi na myśl uwięzione ryby. Jak moja dusza - tysiąc kawałków papieru, które porwała rzeka, więźniowie wody. Już nie wrócą. A słowo „dom” nic nie znaczy. Co mnie w nim czeka? Kładę głowę na ramieniu Silvii i zaczynam płakać, bo jestem złym człowiekiem.

Nie chcę grać na gitarze. Nie chcę jeść. Nie chcę mówić. To kara za to, co się stało. Słusznie, należała mi się. Ojciec i matka mieli straszne twarze, kiedy o czwartej nad ranem wróciłem do domu. Nigdy przedtem nie widziałem ich w takim stanie, i to z mojego powodu. Osiągnąłem, co chciałem osiągnąć, znalazłem sposób, żeby obronić się przed tym jadowitym skorpionem, jakim jest rzeczywistość. Tylko nienawiść truje skuteczniej niż on. Nienawiść szybka jak ogień, gdy pochłania papier czy słomę, nienawiść, która niszczy wszystko, czego dotyka, a im więcej uda jej się zniszczyć, tym jaśniej płonie. Jestem zły, jestem sam, jestem ogniem. Jestem twardy jak stal.

Sposób na życie. Niszczyć, by przetrwać.

Pięć lekcji, pięć godzin wojny. Skląłem profesor Massaroni - Psie Futro, kiedy zapytała, dlaczego bawię się komórką. Uwaga w dzienniku. Nie wszedłem do klasy na lekcji angielskiego i nikt tego nie zauważył. Pobiłem rekord w *Snake* z na lekcji filozofii, podczas gdy Naiwniak mówił o jakimś facecie, który twierdził, że śmierć nie istnieje, bo kiedy żyjesz, śmierci nie ma, a kiedy jesteś martwy, jesteś martwy, więc też jej nie ma.

Wygląda mi to na totalny absurd. Beatrice była żywa, a teraz umiera. Pamiętam, że jakiś poeta napisał: „Śmierć odpokutować życiem” - uważałem to za jeden z typowych wymysłów poetów literatów, tymczasem to niestety najprawdziwsza prawda. Beatrice zmieniła się nie do poznania, ja przynajmniej jej nie poznałem. Śmierć zatruwa wszystkie elementy życia i nic tu nie pomoże filozofia. Słownik T9 nie podrzuca słowa „Bóg”, a to znaczy, że Bóg nie istnieje. Pomóc ci może tylko *Snake* - bo pozwala o tym zapomnieć.

Potem Naiwniak otworzył tę swoją torbę, z której potrafi wyciągnąć praktycznie każdą książkę, jak Ele-Mele

z poszarpanych spodni. Zresztą czasem wydaje mi się, że Naiwniak też jest przybyszem z kosmosu. Często nie używa ani jednej z tych książek, kładzie je tylko na katedrze. Mówi, że książki są dla niego jak dom, tam gdzie ma je przy sobie, czuje się jak w domu. Książki...! Co za bzdury! Wszystkie te strony zapisane historiami i nierealnymi marzeniami nie są nic warte wobec szpitalnego pokoju, w którym Beatrice zamieniona w małą dziewczynkę wraca z powrotem do łona ziemi, jest przez nie bezlitośnie połykana.

Naiwniak czyta nam dzisiaj listy skazanych na śmierć członków ruchu oporu napisane przed straceniem - to jedna z tych jego lekcji poza programem. Muszę przyznać, że Naiwniak ma zawsze do powiedzenia coś, co trudno po prostu zignorować. Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju? Słucham go, bo muszę, uszu nie da się zamknąć jak oczu, ale na pewno nie uwierzę w ani jedno słowo. Niech go diabli porwą!

- „4 sierpnia 1944 roku. Drodzy Ojczy i Matko, umieram, porwany piekielnym wichrem nienawiści, ja, który pragnąłem żyć tylko dla miłości. Bóg jest miłością i Bóg nie umrze. Nie umrze, więc miłość...”

Naiwniak przerywa lekturę.

- Brednie! - wołam i podnoszę się gwałtownie jak płomień, gdy pali papierowe marzenia i słomiane słowa.

Wykrzyczany wyraz uderza w twarz nauczyciela jak pięść uzbrojona w kastet. Wszyscy obracają się w moją stronę, wytrzeszczając oczy ze zdumienia, choć powinni otworzyć usta z podziwu wobec prawdy po raz pierwszy wypowiedzianej w tej szkole. Nienawidzę ich wszystkich oprócz Silvii. Naiwniak wpatruje się we mnie, jakby nie rozumiał.

- Brednie! - powtarzam, żeby go sprowokować.

Zobaczmy, co teraz zrobisz, kiedy ktoś odważył się powiedzieć prawdę i zniszczyć ten twój zamek zbudowany z zapisanych stron. Naiwniak długo milczy. Wygląda, jakby bezskutecznie szukał czegoś wewnątrz siebie. Potem absolutnie spokojnym głosem pyta:

- Kim jesteś, żeby osądzać życie tego człowieka?

W ten sposób dolał benzyny do mojego ognia. Zасыpuje go gradem słów:

- To wszystko iluzja. Życie jest pustym pudełkiem, które napełniamy bredniami, żeby wydawało się przyjemniejsze, ale wystarczy cokolwiek, byle drobiazg i... puff! - Przerywam, by wykonać teatralny gest, jakby pękła mi w rękach bańka mydlana. - I już nie ma nic. Ten człowiek oszukiwał się, łudził się, że śmierć za sprawę, którą uważał za słuszną, dała sens jego życiu. Okej, niech mu będzie. Ale tak naprawdę cała ta ideologia pełni funkcję cukru, który powleka tabletki, żeby łatwiej było je przełknąć. Pudełko i tak pozostaje puste.

Naiwniak patrzy na mnie i milczy. Po chwili odzywa się lapidarnym i spokojnym głosem:

- Brednie.

Jego przeciwko moim, ale tak czy inaczej zawsze to tylko brednie. Muszę jednak przyznać, że sprawił mi przykrość tym słowem. Biorę plecak i wychodzę z klasy, odbierając Naiwniakowi możliwość wypowiedzenia następnych słów. Ogień płonie i niszczy nieprzerwanie. Nie ma powrotu, niczego się nie da wytłumaczyć.

Mogą zawiesić mnie w prawach ucznia, mogą zostawić mnie na przyszły rok w tej samej klasie, nic mnie to nie obchodzi.

Nikt nie jest w stanie usprawiedliwić tego, co się dzieje, więc dlaczego miałbym się wysilać i robić cokolwiek. Jestem sam i jestem silny moją samotnością. Jestem płomieniem i spalę cały świat. Nie zadzwonię do Nika, bo i tak by mnie nie zrozumiał. Nie zadzwonię do Silvii, bo już tego nie potrzebuję.

Widzę przed oczami obraz bezwłosej dziewczynki, bladego cienia Beatrice, i mam ochotę przekląć wszystko i wszystkich. Wykrzykuję najgorsze słowa, powtarzam je wiele razy i czuję się lepiej. Może więc Bóg istnieje, w przeciwnym razie nie czułbym się lepiej. Bunt przeciw Wielkiemu Wybuchowi nie pomógłby mi. Bunt przeciw Bogu - tak.

Kiedy pożar przygasł, pozostałem bez sił. Czułem się pusty. Wokół mnie popiół, kurz, ciemność. Zatracam się w internecie, to zawsze działa, tam znajdziesz rozwiązanie wszelkich problemów. Tłumaczenia łacińskich tekstów, wypracowania, filmy, piosenki, zdjęcia apetycznych lasek... Wpisuję do wyszukiwarki dwa słowa: śmierć i Bóg. Razem. Otwiera się strona poświęcona filozofowi o nazwisku Nietzsche, który powiedział, że Bóg umarł. To już wiedzieliśmy - umarł na krzyżu. Na innej stronie znalazłem dokładnie odwrotną informację: Bóg zmartwychwstał, zwyciężając śmierć i uwalniając ludzi od śmierci. To też mnie nie satysfakcjonuje, bo to czyste oszustwo.

Beatrice umiera i nie można temu zaradzić. Tym razem internet się pomylił. Co mnie to obchodzi, czy Beatrice zmartwychwstanie?! Ja chcę jej tutaj i teraz, chcę z nią być przez wszystkie dni mojego życia, chcę pieścić jej rude włosy i jej twarz, patrzeć w jej oczy, śmiać się z nią i rozśmieszać ją, i rozmawiać, nawet bez słów mówić jej o wszystkim. Śmierć

przestała mnie interesować. Teraz będę się koncentrować jedynie na życiu i jako że jest ono krótkie i kruche, zrobię wszystko, by uczynić je długim i odpornym, niezniszczalnym. Twardym jak stal.

Silvia przesała mi SMS-a: „Uczymy się razem?”. Ja się już nie uczę, do niczego mi to nie jest potrzebne. Odpowiadam: „Nie, *sorry*..”. Silvia od razu reaguje pytaniem: „Czego się boisz?”. Czego się boję? Co to ma do rzeczy? Silvia też już zaczyna fiksować? Ale zaraz przyszło mi coś do głowy. Sprawdziłem SMS-a, którego wysłałem do niej. No tak, dzięki T9 napisałem tylko słowo: „Nie”, a po nim kilka liter zbitych z sobą bez sensu, jakbym nagle zobaczył jakąś zjawę i bardzo się jej wystraszył, i nawet tego nie zauważyłem. Niestety, T9 ma rację. W odpowiedzi na pytanie Silvii piszę prawdę: „Wszystkiego”.

Cisza. Przerażająca cisza. Mam ochotę zerwać z siebie ubranie, wyjść nago na balkon i wykrzyzczyć całemu światu, że mam tego dość. Nie jestem ze stali, nie jestem ogniem, jestem nikim.

Dostaję wiadomość od Silvii: „Spotkajmy się za pół godziny w parku”. Potwierdzam jednym dzwonkiem. Ale potem nie idę do parku, niech tam będzie sama, tak samo jak ja tutaj. Jestem tchórzem, mam twarz zalaną łzami gorzkimi od bólu i samotności.

Gdybym wypłakał morze łez, byłoby tak gęste od cierpienia, że można by unosić się na jego powierzchni bez wykonywania jakichkolwiek ruchów.

Wieczór.

Ciemność za oknem, biel w sercu. Mam wyrzuty sumienia. Ukarałem jedyną osobę, która nie ponosi żadnej winy poza tą, że chce mi pomóc. Silvia się nie odzywa, a ja wyobrażam ją sobie, jak siedzi sama na czerwonej ławce; błękitne spojrzenie utkwiała w ziemi, ale podnosi je za każdym razem, gdy ktoś się zbliża. Teraz jest mi jeszcze gorzej. Wysłałam jej SMS-a: „Przepraszam. Dojutra”. Biała cisza. Co jest ze mną? Najpierw szukam samotności, a gdy topię się w jej bieli, jestem przerażony i pragnę, żeby ktoś rzucił mi koło ratunkowe. Jednak gdy koło ratunkowe mam w zasięgu ręki, nie łapię go. Być może kiedyś poznam własne możliwości, odkryję wielkie marzenie, ale obawiam się, że na zawsze już zostanę rozbitkiem, który nie pozwala się uratować. Tymczasem wyprowadzę Terminatora na spacer.

Dzisiaj on mi wystarczy jako towarzysz milczenia.

Przez całą noc zastanawiałem się, co powiedzieć Silvii, żeby mi wybaczyła. Mój stalowy pancerz zmiękł i w ciągu kilku godzin nabrał konsystencji śmietany. Jestem nic niewart.

Zaraz po wejściu do szkoły szukam wzrokiem Silvii. Przez moment nasze spojrzenia się krzyżują, ale jej oczy wydają się ze szkła, nie widzę w nich Silvii, tylko własne odbicie, zresztą zaraz odwraca wzrok, jakbym był dla niej nikim. Tym szklanym spojrzeniem odpycha mnie, pozostawia w anonimowym tłumie, wpadam w białą nicość.

Podchodzę do niej i łapię ją za ramię mocniej, niż zamierałem. Nigdy dotąd nie dotykałem jej w ten sposób, nawet żartem. Silvia uwalnia się z mojego uścisku, twarz ma ściągniętą, widać na niej rozczarowanie.

- Łudziłam się, że mam w tobie przyjaciela. Zostaw mnie w spokoju. Potrafisz żądać pomocy, ale nic cię nie obchodzi, co czują inni.

Nie zdążyłem nawet otworzyć ust, a ona już się oddaliła, jakby wciągnął ją jakiś wir. Przepychałem się za nią wśród

uczniów czekających na pierwszy dzwonek, objając się o biodra ledwo okryte tak modnymi w tym sezonie spodniami z obniżonym stanem, trafiając przy tym na dwóch mięśniaków z ostatniej klasy, którzy odpłacili mi się kopniakiem w tyłek.

- Niech was jasna cholera!

Doganiam ją, kiedy skręca w korytarz z toaletami, i bez zastanowienia wchodzę za nią do damskiej. Pełno w niej dziewcząt, jedne się malują i poprawiają sobie włosy przed lustrem, inne palą papierosy i rozmawiają, jeszcze inne porównują marki swoich dżinsów. Patrzą na mnie zaskoczone, podczas gdy Silvia zamyka się w jednej z kabin.

- A ty czego tu szukasz? - pyta brunetka z oczami grubo obwiedzionymi ciemnofioletową kredką.

- Ja... ja muszę porozmawiać z pewną dziewczyną - odpowiadam, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

- Poczekaj na nią na zewnątrz. A w ogóle to lepiej daj sobie spokój, jest za ładna dla takiego niewydarzonego typu jak ty.

Wybucha chóralny śmiech. Uciekam przed tymi słowami na korytarz, jakbym zobaczył pianę na zębach wściekłego psa. Wycofuję się tyłem, żeby mieć nad nim kontrolę i wpadam do zamaskowanego dołu. Nikt nie ma spadochronu w bezdennej studni samotności.

- Co ty tutaj robisz?

Oczywiście, ten głos należy do dyrektora szkoły, który używa go zaraz ponownie w sposób nieznoszący sprzeciwu, żeby zaprosić mnie do swego gabinetu. Najpierw ucieczka od Beatrice, potem kompromitacja przed Silvia, a teraz wychodzę na podglądacza. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin

odkryłem istnienie wielu odcieni czerni. Przemierzyłem już co najmniej trzy z nich, kierując się prosto do absolutnej ciemności. Szkoda, że nie jest to koniec dramatycznego filmu, lecz dopiero jego początek.

Rodzice wezwani przez dyrektora w związku z moim niewłaściwym zachowaniem są przekonani, że to z winy burzy hormonów typowej dla mojego wieku, nad którą straciłem kontrolę, czego dowodem moja wizyta w damskiej toalecie. Pierwsza rzecz, jaką półgłosem powiedział ojciec po wyjściu z gabinetu dyrektora, była mi dobrze znana:

- Zostanie z ciebie tylko kurz na twoim cieniu!

Zawieszono mnie na jeden dzień w prawach ucznia i zagrożono obniżeniem stopnia z zachowania do piątki w dziesięciostopniowej skali, co praktycznie oznacza utratę roku. Kara wyznaczona przez rodziców, polegająca na natychmiastowej konfiskacie playstation aż do końca roku i zatrzymaniu kieszonkowego, była niczym w porównaniu z powitaniem, jakie zgotowano mi w szkole. Dziewczyny wołały za mną:

- Aaa! Przyszedł ten świntuch! Maniak jeden! Podglądacz!
Od chłopaków też usłyszałem swoje:

- Ty zboczony chyba jesteś! Nie wiesz, że na drzwiach do męskiej łazienki jest namalowany facet, i to bez spódniczki?

Jak chcesz, to domalujemy mu kreseczkę, żebyś pamiętał, co masz między nogami.

Czy ktoś mógłby mi poradzić, jak zejść z tej karuzeli horroru? Albo może ktoś wie, jak stać się niewidzialnym?

Cały dzień spędziłem zamknięty w pokoju ze wzrokiem utkwionym w ręce gitarzysty zespołu Green Day, którego mam na plakacie zawieszonym na drzwiach. Kiedy mi się wreszcie znudziło, zacząłem rzucać w niego piłką tenisową tak długo, aż wydarłem dziurę w plakacie i zrobiłem z muzyka jednorękiego kalekę.

Uratować mnie mogą dwie sytuacje:

ktoś poda mi rękę albo zaraz nastąpi koniec świata.

To drugie jest bardziej prawdopodobne.

Odbieram telefon od Nika.

- Wygraliśmy! Chwała Piratom! Następny mecz zdecyduje o finale. Wandal robi w majtki ze strachu!

Odkładam słuchawkę i mam nadzieję, że łóżko połknie mnie w jednej chwili, bez uprzedniego przeżuwania.

Dzwoni domofon. Ktoś do mnie. Kto to może być o dziewiątej wieczorem? Tylko Silvia. Przekonał ją pewnie jeden z dwudziestu trzech SMS-ów, które wysiałem do niej dzisiaj, żałując za każdym razem tego, co napisałem w poprzednim.

- Zejdź na dół.

To ona.

- Mamo, wychodzę na chwilę, przyszła Silvia.

Przed domem nie czekała na mnie Silvia. Usłyszałem w domofonie jej głos, bo właśnie jej się spodziewałem. Pomyliłem się, na chodniku stał Naiwniak. Cholera! Tego tylko brakowało! Pewnie i on chce mnie poinformować, że jestem do niczego i nie mam jaj.

- Dobry wieczór, profesorze. Co znowu nabroiłem? - zapytałem, patrząc przy tym w nieokreślony punkt ponad jego ramieniem.

W odpowiedzi Naiwniak się uśmiechnął.

- Chciałem się z tobą spotkać, na wypadek gdybyś miał ochotę skończyć rozmowę, którą zaczęliśmy parę dni temu.

Jasne, wiedziałem. Belfer zostanie belfrem do końca swych dni; przyjdzie cię pouczać nawet do domu.

- Proponuję dać sobie spokój z tamtą rozmową...

Nie wiem, co powiedzieć, chciałbym tylko, żeby jak najszybciej się to skończyło, jak zawsze, kiedy robię coś, czego nie lubię. Chciałbym zmienić kanał jak w telewizorze i wyeliminować raz na zawsze tę scenę.

- Zapraszam cię na lody - mówi Naiwniak.

Uśmiecha się. A więc belfrzy też jedzą lody, może nawet brudzą się przy tym jak zwykli śmiertelnicy. To następne odkrycie, o którym nie wolno mi zapomnieć, może kiedyś to sobie zapiszę. *A propos* pisania:

- Niezły jest pana blog, może trochę zbyt filozoficzny, ale czytam go czasem.

Naiwniak dziękuje i liże swoje lody w dwóch smakach: pistacjowym i czekoladowym - zupełny brak fantazji, ale czego innego można się spodziewać po belfrze... Przypomina mi Terminatora liżącego moje adidasy.

- Powiesz mi, co ci się stało tamtego dnia?

Wiedziałem, że nie zrezygnuje. Belfrzy są jak wąż boa - owijają ci się wokół szyi, wykorzystując chwilę nieuwagi, potem czekają na twój wydech i ściskają, ściskają coraz mocniej, aż do chwili, gdy nie jesteś już w stanie nabrać powietrza i umierasz uduszony.

- Ale tak właściwie to co pana to obchodzi?

Naiwniak patrzy mi prosto w oczy, z trudem wytrzymując jego spojrzenie.

- Może potrzebujesz pomocy, jakiejś rady...

Nic nie mówię. Wpatruję się w asfalt, jakbym nagle zainteresował się jego właściwościami fizycznymi - i to każdego

centymetra kwadratowego z osobna. Jest we mnie ktoś, kto nie pragnie niczego innego jak czyjeś rady, kto marzy o tym, by wyjść na zewnątrz, ale zamiast tego siedzi w swojej jaskini, broni się przed ingerencją w swój świat i boi się pokazać, jaki jest naprawdę. Dzieje się tak głównie dlatego, że musiałby wmieścić w swoje życie tego faceta z rozczochranymi włosami i spojrzeniem bystrzaka, a poza tym ryzykowałby nagłym wypłynięciem sporej ilości słonej wody w postaci łez. Wpatruję się więc dalej w asfalt w obawie, że ten ktoś wyjdzie niespodziewanie jak pasta do zębów - naraz i w za dużych ilościach.

Naiwniak czeka w milczeniu. Nie śpieszy mu się, w przeciwieństwie do innych, którzy wiecznie człowieka poganiają. Odpłacam mu tą samą monetą, ale w końcu pytam:

- Co by pan zrobił, gdyby pańska dziewczyna umarła?

Teraz ja patrzę mu w oczy. Naiwniak uważnie mi się przygląda i dalej milczy, zapominając o lodach. Pewnie nigdy się nad tym nie zastanawiał i teraz jest mu głupio. Świetnie, w ten sposób i on może zacząć coś rozumieć i zrezygnuje z tych swoich nieżydowych teorii. W końcu odpowiada, że nie wie, ale prawdopodobnie nie byłby w stanie unieść ciężaru takiego nieszczęścia.

Nie wie. Po raz pierwszy w życiu Naiwniak czegoś nie wie. Po raz pierwszy przestał być pewny siebie i błyskotliwy jak świąteczne ozdóbki. Po prostu nie wie.

- No właśnie. A ja wiem. Przechodzę przez to i wszystko inne straciło dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Naiwniak przestał nareszcie się we mnie wpatrywać.

- Ma na imię Beatrice - dobijam go.

Przez chwilę nic nie mówi, potem pyta, czy to dziewczyna, o której mówi się w szkole, że jest chora na białaczkę.

Spuszczam głowę, te słowa mnie zabołały, ale niestety są prawdziwe: tak, to dziewczyna chora na białaczkę. Znowu następuje milczenie. Milczenie jest bardzo skuteczną bronią dorosłych. Dobrze, więc ja będę mówił.

- Tak naprawdę nie jest moją dziewczyną, ale to nie ma znaczenia. To ona jest marzeniem, o którym mówiłem. Jakakolwiek będzie moja droga, ona będzie mi w niej towarzyszyć. A jeżeli jej przy mnie nie będzie, po prostu się zgubię.

Naiwniak dalej nic nie mówi. Kładzie mi rękę na ramieniu i milczy.

- Ona teraz jest bardzo blada, straciła ognistorude włosy, w których się zakochałem. A ja nie miałem dość odwagi, żeby z nią porozmawiać, żeby jej pomóc albo przynajmniej zapytać, jak się czuje. Zobaczyłem ją w tym stanie i uciekłem. Uciekłem jak najpodlejszy tchórz. Byłem pewny, że ją kocham, że pójdę za nią na koniec świata, byłem gotowy zrobić dla niej wszystko, oddałem nawet dla niej krew, a potem, kiedy zobaczyłem ją przed sobą, uciekłem. Jestem tchórzem. Nie kocham jej. Uciekłem, a więc nie mogę jej kochać. Była malutka, bezbronna, blada, a ja przed nią uciekłem. Jestem odrażający.

Ostatnie słowa burzą betonowy mur, który wyrósł mi w brzuchu i sięgał aż do gardła, jego kawałki zamieniają się w łzy, bolesne i ciężkie jak kamienie, które zaczynają mi spływać z oczu. Płaczę długo, nieprzerwanie, choć to boli, ale od tego bólu czuję się lepiej, tak samo jak kiedy oddałem krew. Potrafię płakać, a nie wiem, kiedy mi się to znowu zdarzy, choć czuję się przy tym jak kosmiczny idiota.

Naiwniak stoi w milczeniu obok mnie, trzymając swoją silną rękę na moim ramieniu. Jest mi głupio. W końcu mam

te swoje szesnaście lat, jestem prawie mężczyzną i płaczę. Płaczę przed swoim nauczycielem historii i filozofii, a łzy spływają mi do ust ubrudzonych lodami. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Tama została przerwana i milion metrów sześciennych bólu przelewa się z mojej winy na świat. Ale dzięki temu nie trzymam go już całego w sobie.

Pozwoliwszy mi co najmniej przez kwadrans wylewać cierpienie (za ogniem złości kryje się zwykle słona woda łez...), Nawiśniak przerywa ciszę, która nastąpiła po płaczu jak cisza po burzy.

- Opowiem ci pewną historię. - Mówiąc to, podaje mi papierową chusteczkę pachnącą wanilią. - Jeden z moich przyjaciół pokłócił się z ojcem. Bardzo go kochał, ale tym razem stracił cierpliwość i posłał go do diabła. Wieczorem siedzieli przy jednym stole i ojciec odezwał się do niego, ale wtedy mój przyjaciel wstał i wyszedł bez słowa. Nie chciał go nawet słuchać. Czuł się silny, był przekonany, że wygrał, że miał rację. Następnego dnia miejsce ojca przy stole pozostało puste. Ojciec zmarł na zawał. Tak się rozstali, bez jednego słowa. Mój przyjaciel nie mógł tego przewidzieć, a jednak od tego dnia nie znajduje spokoju, nie może sobie wybaczyć swego zachowania, wstydzi się bardziej niż najgorszy morderca. A wiesz, z jakiego powodu ten człowiek odmówił ojcu pożegnania?

Potrząsam przecząco głową, pociągając przy tym nosem.

- Ponieważ ojciec powiedział mu w gniewie, że będzie przez całe życie klepał biedę, bo wybrał sobie zawód, który nigdy nie da mu pieniędzy; a przecież mógł przejąć po nim świetnie prosperującą kancelarię. Powiedz, czy mój przyjaciel nie ma czego się wstydzić i od czego uciekać?

Odczekuję chwilę, zanim przerwę ciszę, jaka zapadła po jego pytaniu.

- Jak pański przyjaciel się po tym pozbierał?

Naiwniak kopnął ze złością puszkę porzuconą na chodniku.

- Po prostu z tym żyje, to znaczy żyje ze świadomością, że jest zdolny także do takich zachowań, ale obiecał sobie, że nigdy więcej nie zaniedba okazji do pojednania po kłótni z mniej lub bardziej ważnej przyczyny. Zawsze można coś zrobić.

Trochę mi lepiej. Stać mnie nawet na refleksję. Ja, który w nieprzyjemnych sytuacjach wynikłych z mojej winy wyobrażałem sobie zawsze, jakby to było dobrze, gdyby w życiu można używać guzika z napisem „rewind”, wiem już teraz, że taki guzik po prostu nie istnieje. Życie idzie zawsze do przodu, czy tego chcesz, czy nie, muzyka gra, a ty możesz najwyżej przyciszyć ją lub pogłośnić. I musisz do niej tańczyć najlepiej, jak potrafisz. Ale nie wiedzieć czemu, teraz mniej się tego boję. Naiwniak przerywa moje rozmyślenia:

- Nie ma chyba nikogo, kto nie musiałby się czegoś wstydzić, kto kiedyś przed czymś nie uciekł. To ludzkie. Twarze, na których pozostają ślady po przeżytym wstydzie, wydają się prawdziwsze.

- Zdarza się panu płakać, profesorze?

Naiwniak milczy przez chwilę, po czym mówi:

- Za każdym razem, gdy kroję cebulę.

Śmieję się, choć dowcip jest raczej żałosny. Pociągam nosem i nareszcie udaje mi się zatrzymać łzy, które wypłakiwałem od dłuższego czasu.

- To normalne, że się boimy; tak samo jak to, że płacemy. To nie jest oznaką tchórzostwa ani słabości. Tchórzostwem jest udawać, że nic się nie stało, odwrócić się plecami, gwizdać na wszystko. Nie dziwię się, że uciekłeś, nie dziwię się, że się wkurzyłeś - powiedział „wkurzyłeś!” - na wszystkich i na samego siebie. To normalne. Tylko że wkurzając się - jeszcze raz! - nie rozwiążesz problemu. Możesz się wkurzać - znowu! - ile chcesz, ale to nie wyleczy Beatrice. Przeczytałem kiedyś w jakiejś książce, że miłość istnieje nie po to, by dać nam szczęście, ale po to, byśmy mogli sprawdzić, jak silna jest nasza odporność na ból.

Chwila milczenia.

- Ale ja uciekłem! Chociaż byłem gotowy umrzeć dla niej, byle tylko wyzdrowiała!

Naiwniak patrzy na mnie poważnie.

- To był błąd, Leo. Dojrzałość nie wyraża się gotowością na śmierć za słuszną sprawę, ale pokornym życiem dla niej. Postaraj się, żeby Beatrice była szczęśliwa.

Nic nie mówię. Ten ktoś, kogo noszę w sobie, wychylił się ze swojej jaskini. Ten, który od jakiegoś czasu tam się ukrywał, zraniony i potrzebujący pomocy, zdecydował się wreszcie stawić czoło dinozaurom. W tym momencie przeniósł się ze swojej jaskini z epoki kamienia łupanego do epoki żelaza. Nie jest to może duży postęp, ale dobrze jest wiedzieć, że dysponuję bronią, którą mogę się bronić przed dinozaurami życia.

To uczucie daje mi większą pewność siebie niż pancierz z ognia i stali, który, jak mi się wydawało, skonstruowałem ze swojego gniewu. Ten nowy ktoś, którego mam w sobie, daje mi całkiem inną siłę i przyłgnąwszy do mojej skóry, czyni ją przezroczystą, mocną i elastyczną.

- Zrobiło się późno - stwierdza Naiwniak, podczas gdy ja dokonuję skoku w ewolucji o co najmniej dwa tysiące lat. Patrzy mi prosto w oczy. - Dziękuję ci, Leo, za towarzystwo. A przede wszystkim dziękuję ci za to, co mi ofiarowałeś dzisiejszego wieczoru.

Nie rozumiem.

- Ofiarowanie komuś własnego cierpienia jest dowodem zaufania. Jestem ci wdzięczny za dzisiejszą lekcję. Zamieniliśmy się rolami, dzisiaj ty byłeś nauczycielem.

Zostawia mnie w stanie najwyższego zdumienia. Widzę już tylko jego plecy. Są szczupłe, ale silne. Plecy ojca. Chciałbym za nim pobiec i zapytać, kim jest ten przyjaciel, o którym opowiadał, ale zaraz dochodzę do wniosku, że niektórych rzeczy lepiej nie wyjaśniać do końca... Mam oczy czerwone od płaczu, czuję się pozbawiony sił, a jednak jestem najszczęśliwszym szesnastolatkiem pod słońcem, bo mam nadzieję. Wszystko może się jeszcze ułożyć: Beatrice, Silvia, koledy, szkoła... Czasem wystarczy jedno słowo kogoś, kto w ciebie wierzy, by wrócić do świata. Śpiewam na głos, sam nie wiem co. Napotkani ludzie myślą pewnie, że mają przed sobą wariata, ale nic mnie to nie obchodzi i śpiewam jeszcze głośniej, bo chcę, żeby cieszyli się wraz ze mną.

Kiedy wchodzę do domu ze śpiewem na ustach i z twarzą spuchniętą od płaczu, matka rzuca porozumiewawcze spojrzenie ojcu, a ten potrząsa głową i wzdycha głęboko. Dlaczego rodzice myślą, że dzieciom jest dobrze tylko wtedy, gdy zachowują się normalnie?

Najpierw Silvia. Tym razem pójde do niej osobiście, bez wysyłania jakichś pieprzonych SMS-ów, pokaże jej swoją twarz z wypisanym albo wręcz wytatuowanym: „Jestem kupą nie-szczęścia. Zlituj się, wybacz mi!”.

Robię coś, czego nigdy jeszcze w życiu nie zrobiłem: kupuję kwiaty. Okropnie się wstydzę, kiedy stoję pod daszkiem kwiaciarni i staram się coś wybrać; zupełnie się na tym nie znam. W końcu decyduję się na róże w nieparzystej liczbie - pamiętam, że tak wypada, z jednego z czasopism, które czyta matka. Kupuję trzy białe róże - w kwiatach akurat biel mi nie przeszkadza - i idę z nimi pod dom Silvii. Dzwonię, otwiera mi matka Silvii, bo pewnie o niczym nie wie. Mam szczęście.

Silvia siedzi w swoim pokoju ze słuchawkami na uszach, nie słyszy więc, kiedy wchodzę. Podnosi wzrok i zatrzymuje się na trzech białych oczach, które proszą ją o przebaczenie. Jest zaskoczona. Zdejmuje słuchawki i patrzy na mnie twardo, później wacha róże. Kiedy znów na mnie spogląda, uśmiecha się błękitnie. Obejmuje mnie i całuje w policzek. Nie jest

to zwykłe zdawkowe cmoknięcie, ale pocałunek, którego ciepło na długo pozostaje na twarzy. Stało się tak może dzięki temu ułamkowi sekundy, o który przedłużyło się przylgnięcie jej ust do mojego policzka. Silvia nie powiedziała ani słowa, mnie stać było tylko na: „przepraszam”. Mówię to osobiście, wykluczając w ten sposób ryzyko, że T9 znowu przekształci zdawkowe „*sorry*” w zbitkę samogłosek sugerujących, że coś mnie wystraszyło, choć nie będę ukrywać, że rzeczywiście trochę się boję. Pewnie nie mam powodu, bo Silvia jest moją przyjaciółką, a wśród przyjaciół nie trzeba bać się odpowiedzi na prośbę o przebaczenie.

Jestem szczęśliwy, tak bardzo, że białe róże wydają mi się czerwone, może przemalowała je dla mnie Alicja z Krainy Czarów? „Na czerwień zmieniamy biel. Malujemy płatki róż, chcemy czerwonych róż...” - nucę sobie jak dziecko pływające w basenie pełnym nutelli.

Gips z ręki zdjął mi już dawno. Teraz zagipsowany wydaje się mój mózg - ciężko wprawić go w ruch. Dlatego uczę się z Silvia. Tylko ona może mi pomóc nadrobić stracony czas, a nie chciałbym zepsuć sobie letnich wakacji poprawkami. Z Silvia jestem silny, jestem szczęśliwy. Ale kiedy myślę o Beatrice, znów się gubię.

Silvia, sprowadzając mnie po raz kolejny na ziemię z jednego z moich częstych spacerów w chmurach, podaje mi kartkę, którą wyjęła z jakiegoś zeszytu. Notuje w nim pewnie swoje przeżycia i myśli. W tym dziewczyny stanowczo nas przewyższają, a już na pewno Silvia przewyższa mnie. Dziewczęta zapisują sobie ważne rzeczy w pamiętnikach, a potem, kiedy tylko mają ochotę, mogą to przeczytać i przypomnieć sobie odkrycia i wnioski, do jakich doszły na ich podstawie.

Ja też powinienem to robić, ale jestem zbyt leniwy. Zapominam więc swoje przeżycia i wciąż popełniam te same błędy. Sam jestem sobie winny, wiem, bo robię wszystko, byle tylko nie musieć przykleić na dłużej tyłka do krzesła. To właśnie

znaczy mieć zdolności, ale nie umieć ich wykorzystać, nie przykładać się: unikać siedzenia na własnym siedzeniu, choć przecież, jak sama nazwa wskazuje, do tego ono służy...

Gdybym notował sobie własne odkrycia, nie musiałbym się uczyć za każdym razem wszystkiego od nowa, a z moich zapisków powstałaby może cała powieść, a nie tylko pamiętnik. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zostać pisarzem, ale nie wiem, od czego zaczyna się pisać książki, poza tym szybko się zniechęcam. Tak czy inaczej, Silvia prowadzi pamiętnik, w którym zapisuje sobie to, o czym nie chciałaby zapomnieć, i z tego właśnie pamiętnika wyjęła zapisaną kartkę papieru.

- To brudnopis listu, który napisaliśmy dla Beatrice.

W tej chwili moja dusza poskładała się w całość. Jak za sprawą czarów wszystkie kawałki papieru połączony przez rzekę z winy mojej złości i tchórzostwa znalazły się teraz przede mną ułożone w słowa przechowane przez Silię.

- Dlaczego zachowałeś ten brudnopis?

Silvia nie odpowiada od razu, gładzi ręką kartkę prawie czułym gestem. Potem, nie patrząc na mnie, mówi, że podobają jej się słowa na niej zapisane i chciała je sobie jeszcze kiedyś przeczytać; dałaby wiele za to, gdyby w przyszłości mogła być adresatką tak pięknych słów. Podnosi wzrok, a ja po raz pierwszy zaglądam w głąb jej oczu.

W oczy można patrzeć w dwojaki sposób. Jeden to taki, kiedy widzisz je jako część twarzy, drugi - kiedy nie widzisz nic innego, skupiasz się na nich, jakby same były twarzą. Towarzyszy temu niesamowite uczucie, ponieważ rozumiesz wtedy, że oczy są kwintesencją życia. Biel wokół

żrenicy to nicość, w jakiej życie jest zanurzone, kolorowa tęcza jest jego nieprzewidywalną różnorodnością, a w czarnej głębi źrenicy możesz zniknąć jak w ciemnej studni bez dna. I w ten właśnie sposób zanurzyłem się w głębi oczu Silvii, a ona w moich. Ale nie wytrzymałem długo tego spojrzenia. Silvia tak.

- Jeżeli chcesz, przepiszę ten list i zaniesiesz go Beatrice. Mogę pójść z tobą.

Silvia odczytała moje myśli.

- Tylko z tobą będę w stanie to zrobić. - Mówiąc to, uśmiecham się tak szeroko, że kąciki moich ust dotykają pewnie oczu.

Później wróciliśmy do nauki. Kiedy Silvia tłumaczy mi lekcje, wszystko jest łatwiejsze; świat staje się bardziej zrozumiały.

Dzisiaj Naiwniak wezwał mnie do tablicy. Przygotowałem się na to z Silwią. Po ostrej dyskusji sprzed kilku dni wszyscy w klasie spodziewają się pojedynku do ostatniej kropli krwi, bo nikt oprócz Silvii nie wie, że te dwa wydarzenia dzielą lody w dwóch smakach i całe litry łez. Ufam, że wszystko pójdzie gładko, przecież Naiwniak jest moim przyjacielem. Tymczasem Naiwniak zadaje mi bardzo trudne pytania, w końcu protestuję:

- Ale tego nie było w książce!

Naiwniak, niewzruszony, pyta:

- I co z tego?

Milczę. On patrzy na mnie poważnie i mówi, że uważał mnie za osobę inteligentną, tymczasem ja odpowiadam jak uczeń, który wykuł materiał na pamięć i gubi się przy pierwszym pytaniu wykraczającym poza tekst podręcznika.

- Ważne informacje znajdują się między wierszami, musisz tylko umieć je odczytać.

Kim ty jesteś, Naiwniaku, żeby niszczyć mi życie, skąd ta pewność, że wiesz wszystko i że obchodzi mnie, jakie jest

twoje widzenie świata? To ty go tak widzisz, nie ja. Przestań mnie wkurzać i przepytaj mnie tak samo jak innych. Już mam puścić pod nosem niezłą wiankę i wrócić na miejsce, gdy słyszę:

- Uciekasz?

A mnie staje przed oczami Beatrice i przypominam sobie ucieczkę ze szpitalnego pokoju. W tej samej chwili czuję, że wewnątrz mnie z jaskini wychodzi człowiek, który wychylił się z niej tamtego pamiętnego wieczora. I odpowiadam na pytanie nauczyciela - nie wianką przekleństw jak głupi dzieciak, ale jak dojrzały człowiek. Dostaję dziewiątkę, po raz pierwszy w życiu. To nie jest stopień z historii, o której traktuje podręcznik, to stopień z mojej historii, z mojego życia.

Beatrice wróciła do domu. Przeszczep szpiku kostnego się nie udał. Nowotwór się nie cofa, nie przestaje przemieniać jej czerwonej krwi w krew białą. Jest jak najjadowitszy z węży, który swoim jadem uśmierca w cierpieniach, zdolny rozpuścić tkanki naczyń krwionośnych, wywołać krwotoki z nosa i uszu.

Tego właśnie doświadcza Beatrice, ta najcudowniejsza istota na ziemi. Beatrice, która ma zaledwie siedemnaście lat i najpiękniejsze w historii świata ognistorude włosy. Beatrice z oczami jak dwie zielone gwiazdy, najjaśniejsze w galaktyce. Beatrice, która istnieje po to, by swoim pięknem upiększać świat.

Beatrice została zatruta jadem tego przeklętego białego węża, który chce ją z tego świata zabrać. Dlaczego tyle piękna ma się zmarnować? Chyba tylko po to, by dodać światu cierpienia. Beatrice, błagam cię, zostań! Boże, błagam Cię, zostaw mi Beatrice. W przeciwnym razie świat stanie się biały.

A ja zostanę bez marzeń.

Dzisiaj spotkam się z Nikiem. Przypomniałem sobie jeden z naszych pojedynków. Ten akurat skończył się niewesoło, choć dzisiaj, gdy go wspominamy, dostajemy konwulsji ze śmiechu. Założyliśmy się w McDonalddie, kto zje więcej hamburgerów. Pojedynek skończył się wynikiem trzynaście do dwunastu dla Nika, a potem obydwaj wymiotowaliśmy przez trzy godziny bez przerwy. Nigdy w życiu nie czułem się tak chory. Z tego powodu w McDonalddie zamawiamy teraz tylko kawałki kurczaka.

Niko.

Przypomniałem sobie o tym, bo Niko znowu wyzwał mnie na pojedynek - wygra ten, kto wbije więcej bramek podczas meczu, który mamy dzisiaj rozegrać z drużyną z czwartej C o nazwie Witamina C, najtrafniej określającej potrzeby jej członków. Wygrana w tym meczu pozwoli nam dogonić drużynę Wandala i spokojnie żeglować do finału rozgrywek. Jest tylko jeden mały problem: mnie nie wolno jeszcze grać w piłkę...

W tej sytuacji istnieje tylko jedno rozwiązanie. Muszę stać się niewidzialny. Zostawiam radio włączone, drzwi do pokoju zamknięte; przemykam się bezgłośnie do drzwi wyjściowych, zbiegam schodami do bramy, a potem bocznymi ulicami w kierunku boiska. Jeżeli rodzice odkryją ucieczkę, to będzie mój koniec. Wtedy naprawdę zostanie ze mnie tylko kurz na cieniu, ale przynajmniej zagram, a jeśli jeszcze do tego uda mi się wbić parę goli, wrócę na wysokie miejsce na liście najlepszych strzelców. Muszę pobić Wandala.

I oto jestem gotowy, w nowiutkich butach piłkarskich, które czule głaszczą murawę boiska, jakby to był policzek dziewczyny. Znowu na boisku z Nikiem. On nie wie, co przeżyłem w tych ostatnich tygodniach, nie zwieram mu się jak Silvii. Nie ma takiej potrzeby, a może po prostu się wstydzę. Ale na boisku jesteśmy najlepsi. W dzieciństwie obaj marzyliśmy o tym, by być jak bracia Tachibana, ci, którzy strzelali z nieziemskiego woleja w *Kapitanie Jastrzębiu*, ale żaden z nas nie miał brata bliźniaka. Kiedy się poznaliśmy, każdy z nas znalazł w drugim wytęsknionego bliźniaka, chociaż nigdy nie nauczyliśmy się strzelać z woleja. Jedna z prób skończyła się dla mnie gigantycznym siniakiem, a dla Nika zderzeniem twarzą ze słupkiem. Jednakże kiedy trzeba, jesteśmy w stanie konstruować na boisku tak zgrabne trójkąty, że nawet Pitagoras nie potrafiłby zrobić tego lepiej.

Wygraliśmy w imponującym stylu. Ja wbiłem pięć bramek. W punktacji dogoniliśmy drużynę Wandala, a ja jestem zaraz za nim w klasyfikacji strzelców. Lepiej być nie mogło. Przebrałem się w pośpiechu, żeby zdążyć do domu, zanim moja nieobecność zostanie zauważona, ale Niko zatrzymał mnie:

- Mam dziewczynę.

Oznajmił mi to właśnie w ten sposób, niespodziewanie, prosto z mostu, zdejmując przy tym koszulkę z napisem „Piraci”, w związku z czym wrażenie wywołane tą wiadomością zmieszało się z ostrym zapachem jego potu.

- Ma na imię Alice, chodzi do pierwszej H.

Robię w głowie przegląd znanych mi dziewczyn z pierwszej klasy, ale nie przypominam sobie żadnej Alice.

- Nie znasz jej. Nasi rodzice się przyjaźnią, ale nie wiedziałem o tym wcześniej. Poznaliśmy się któregoś wieczoru w moim własnym domu na kolacji.

Pytam, jaka jest.

- Naprawdę fajna. Wysoka, z długimi czarnymi włosami i czarnymi oczami. Uprawia sport, biega. Musiałbyś ją zobaczyć. Kiedy idę z nią po ulicy, wszyscy się za nami oglądają.

Zamilkłem. Nie potrafię się cieszyć tą wiadomością, ale Niko jest nazbyt przejęty tym, co mówi, by zauważyć, że udaję tylko zainteresowanie i zadowolenie. Tymczasem ja znalazłem się w jednej chwili w szpitalnym pokoju, gdzie skulona na łóżku jak mała zraniona dziewczynka leży najpiękniejsza na świecie dziewczyna, której piękno zostało zatrute jadem białego węża. I to piękno nie tylko nigdy nie będzie moje, ale w ogóle go nie będzie.

- Cieszę się.

Niko chce, żebym jak najszybciej ją poznał, ja oczywiście się zgadzam, choć tak naprawdę mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę tej Alice.

- Widziałeś już nową edycję *FIFA*? Musimy koniecznie w to zagrać.

Przytakuję, siłąc się na uśmiech, ale Niko jest teraz dla mnie bardziej odległy niż epoka kamienia łupanego i kraina czarów Alicji.

- Jasne...

Tylko tyle potrafię powiedzieć. *FIFA* z niczym mi się teraz nie kojarzy, zresztą i tak nie potrafię się przejmować niczym poza tym, że mogę stracić Beatrice. Nigdy nie byłem w takim stanie po meczu wygranym przez Piratów.

- ...to kwestia życia lub śmierci.

- Teraz to już przesadzasz, Leo, w końcu to tylko gra komputerowa. No dobra, ja lecę, Alice na mnie czeka. Do jutra.

- Cześć, do jutra.

Wkładam klucz do zamka delikatnie, niczym złodziej.

Drzwi otwieram powoli, za nimi nie widzę nikogo. Słychać muzykę z radia, rozpoznaję głos Vasca Rossiego, który śpiewa: „Pragnę niebezpiecznego życia, pragnę życia jak w filmie”, co brzmi dla mnie jak żart w złym guście. Zamykam cicho drzwi. Mama mnie nie usłyszała, ale w tej chwili Terminator zaczyna szczekać jak szalony, co robi zawsze, gdy ma nadzieję, że pozbędzie się zawartości pęcherza. Mama pojawia się przywołana hałasem i widzi mnie w dresie, z plecakiem w rękę, okrażanego w zabawnie niezdarnych podskokach przez psa.

- Co ty tu robisz? Przecież uczyłeś się w swoim pokoju.

Uważaj, Leo, co powiesz, od tego zależy twoje być albo nie być!

- Tak, ale zrobiłem sobie przerwę i wyszedłem na chwilę z Terminatorem.

Tylko taka wymówka może mnie uratować...

Matka patrzy na mnie jak policjant na przesłuchiwanego w amerykańskim filmie.

- A dlaczego tak cuchniesz?

- Wykorzystałem okazję, żeby trochę pobiegać. Nic nie robię, tylko siedzę i się uczę... Mogłem ci powiedzieć, że wycho-
dę, ale Terminator miał pilną potrzebę... Wiesz, jaki on jest.

Twarz matki wygładza się, a ja pędzę do pokoju, gdzie Vasco śpiewa na całe gardło: „Chcę życia, które niczym się nie przejmuję”, zanim twarz zdradzi moje kłamstwo, a Terminator nie wytrzyma i poinformuje na swój sposób, że nikt nie wyprowadził go na spacer.

Poniedziałek, za pięć ósma. Mam przed sobą pięć lekcji, z klasówką z angielskiego w samym środku. Coś jak gigantyczny cheeseburger z plastrem marmuru zamiast sera. W oddali widzę Nika z Alice; rzeczywiście trudno nie zwrócić na nią uwagi. Nie zauważyli mnie. To dobrze, nie chciałbym się z nimi spotkać, są zbyt szczęśliwi.

Na wszelki wypadek chowam się za grupką chłopaków z czwartej, którzy przeglądają w gazecie klasyfikację piłkarzy, by obstawić wyniki w Fantacalcio. Ostatnio piłka nożna jakoś mniej mnie interesuje. Głowę zajmują mi ważne rzeczy, którymi zapełniło się moje życie, i nie mam czasu oglądać transmisji z meczów rozgrywanych na setkach prostokątów zielonej murawy w najróżniejszych turniejach.

Tak czy inaczej, obraz tej szczęśliwej pary, Nika i Alice, zrobił na mnie zbyt silne wrażenie, a pięć lekcji pogorszyłoby jeszcze moje samopoczucie. Zawracam więc spod szkoły i skręcam w najbliższą przecznicę, gdzie może uniknę ryzyka bliskiego spotkania pierwszego, drugiego, a może i trzeciego

stopnia. Ciekawe, dlaczego tak jest, że kiedy decydujesz się pójść na wagar, masz jak w banku, że natkniesz się na kogoś, kogo nie widziałeś od wieków, na przykład na koleżankę matki, która na dodatek umówiła się z nią na kawę po południu.

„Ależ wyrósł ten twój synek! Zrobił się z niego przystojny chłopiec... Spotkałam go dzisiaj w parku, rano, mniej więcej w południe...”

Pomijając fakt, że dla koleżanek matki wszyscy wyrastamy na „przystojnych chłopców”, mama robi dobrą minę do złej gry, minimalizuje poranny incydent i udaje matkę dumną ze swego syna, tego łobuza, który w południe powinien siedzieć w klasie przyklejony tyłkiem do zielonego krzesła, a nie w parku w pełnym luzie na czerwonej ławce nad rzeką.

Wystarczy tych rozmyślań; kości zostały rzucone i jeszcze - oddajcie cesarzowi co cesarskie, jak powiedział Cezar, a przynajmniej tak mi się wydaje... Słyszę w oddali szkolny dzwonek, brzmi jak dzwon na pogrzeb. Ja nie chcę umierać, a teraz czuję się, jakby każdy krok, który oddala mnie od szkoły, zbliżał mnie do otwartej w asfalcie ulicy otchłani strachu i winy gotowej mnie wessać. Ale przecież nie ma powodu, żebym tak strasznie przejmował się szkołą! To normalne, że schodzi na drugi plan, gdy ma się tyle życiowych problemów do rozwiązania. Dlaczego więc serce zabiło mi tak mocno, gdy zobaczyłem nauczycielkę angielskiego właśnie w tym zaułku, w który skręciłem, bo jest najmniej uczęszczaną uliczką w całej dzielnicy?

W ostatniej chwili przykucnąłem za zwałistym samochodem terenowym, udając, że zawiązuję sznurowadła. Z tego

bezpiecznego ukrycia obserwuję nauczycielkę, która na szczęście śpieszy się, bo jest spóźniona na lekcje, a do tego jeszcze szuka czegoś w torbie, dzięki czemu mijają mnie, nie zwróciwszy na mnie uwagi. Udało się! Westchnąłem z ulgą, a chwilę później zauważyłem, że scenę z zawiązywaniem sznurowadeł odegrałem z nogami w świeżutkiej, jeszcze parującej kupie jakiegoś miejscowego Terminatora...

Dobra wróżba na cały dzień!

Zawsze kiedy jestem na wagarach, czuję się jak złodziej. A gdzie zaszywają się złodzieje po akcji? W dziupli. Moją dziuplą jest czerwona ławka w parku nad rzeką, ta, na której spędziłem swoją pierwszą noc bezdomnego, pod ogromnym drzewem o niskich i pokręconych gałęziach, przypominającym parasol z tysiącem drutów.

Na tej ławce, pod ochroną naturalnego parasola, zdobyłem dziesiątki wspaniałych dziewcząt, rozwiązałem najtrudniejsze problemy ludzkości, przemieniałem się wielokrotnie w zamaskowanego supermena i pochłonałem niezliczone ilości chipsów o smaku barbecue, moich ulubionych. W tym miejscu czas płynie szybko, o wiele szybciej niż spokojne wody rzeki, i marzenia mogą stać się prawdą.

Dzisiaj jest odpowiedni dzień na to, żeby przyłożyć się do pracy (bo ja też czasem przykładam się do pracy, ale na swój sposób...) na mojej drewnianej ławce pod parasolem z gałęzi. Rzucam plecak na trawę i kładę się na plecach ze zgiętymi nogami. Niebo jest tylko w części błękitne, płyną po nim białe

chmury, takie, które kojarzą się nie z deszczem, ale z wytechnieniem od upału w letnie dni nad morzem. W kontraście z nimi błękit jest intensywniejszy. Błądząc spojrzeniem między gałęziami, pokręconymi drutami mojego parasola, przedzieram się przez podłużne liście i docieram do nieba, a na nim dostrzegam wizerunek swojego szczęścia - Beatrice. Chmury zabarwiają się czerwienią, są jej włosami, płyną kilometrami, dając ziemi miękki i orzeźwiający cień jak welon chroniący przed skwarem. Tylko zakochani zwracają uwagę na niebo.

Muszę uratować Beatrice, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Znajduję się we właściwym miejscu, bo na tej ławce marzenia stają się rzeczywistością. Zasypiam ukołysany ciszą parku jak bezdomny włóczęga szczęśliwy po opróżnieniu butelki z czerwonym winem. Do szczęścia trzeba niewiele - ławeczka w odpowiednim miejscu i wolny czas. Niestety, ktoś wymyślił obowiązek szkolny.

Z drzemki budzi mnie dotyk czegoś, co trzepocze mi na nodze. Zrywam się, pewny, że to jakiś pasikonik czy inne obrzydlistwo spadło na mnie z drzewa, ale to tylko moja komórka. SMS: „Anglica powiedziała w klasie, że widziała cię rano przed szkołą, a teraz cię nie ma. Wygląda na to, że będziesz miał kłopoty. Giacomo”. Na pewno temu typkowi sprawiło to niemałą przyjemność. No to rzeczywiście mam problem. Ale czy to normalne, żeby człowiek nie mógł w spokoju zastanowić się nad własnymi problemami, żeby nie mógł po prostu poczuć się przez chwilę szczęśliwy, bo zawsze ktoś musi mu w tym przeszkadzać? A dlaczego Silvia nie wysłała mi SMS-a? No cóż, co się stało, to się nie odstanie...

Piszę SMS-a do samego siebie, tylko po to, żeby mi się rozjaśniło w głowie. Zawsze tak robię: piszę setki SMS-ów, których potem nie wysyłam. Pomagają mi myśleć. „Znalazłem się...” I znowu T9 mnie zaskakuje. Podczas gdy zastanawiałem się, co napisać, nacisnąłem odruchowo parę przypadkowych liter i na ekranie pojawiło się słowo „stos”. A więc znalazłem się na stosie...

Czerwona ławka mogłaby w jednej chwili stanąć w ogniu rozpalonym przez ludzi, którzy nie mogą znieść moich herezji, tak jak to się robiło w średniowieczu. Przywiązaliby mnie do niej pod tym pięknym błękitnym niebem i podłożyli ogień, oskarżywszy o podłość i tchórzostwo, o lenistwo, unikanie odpowiedzialności i nieróbstwo. I w ten sposób moje marzenie poszłoby z dymem. Muszę zrobić wszystko, by chronić je przed ogniem, który mogliby rozniecić moi rodzice, nauczyciele, koledzy i wszyscy inni, którzy mi zazdroszczą lub są moimi wrogami. Ta czerwona ławka w parku jest dziś o wiele więcej warta niż moja szkolna ławka z blatem pokrytym gryzmołami.

Opuściłem lekcje nie dlatego, że jestem obibokiem, ale dlatego, że muszę rozwiązać pewien bardzo ważny problem, problem szczęścia. Czy Naiwniak nie powiedział przypadkiem: „Miłość istnieje nie po to, by dać nam szczęście, ale po to, byśmy mogli sprawdzić, jak silna jest nasza odporność na ból”?

To właśnie powiem rodzicom, gdy poślą mnie na stos zasłużonej kary. Powiem, że to cena miłości. Dzięki niej chciałem wyleczyć się z wszelkich słabości: z lenistwa, uzależnienia od playstation, YouTube'a i Simpsonów... Czy będą w stanie to zrozumieć?

Wyjmuję scyzoryk i zaczynam dłubać nim w pniu drzewa rosnącego przy ławce. Robię to mechanicznie, myśląc przy tym o następnym ruchu. Tym ruchem dam szach-mat losowi i osiągnę szczęście. Co jakiś czas patrzę w niebo, przestaję wtedy dłubać i dotykam palcami wiekowych bruzd w korze drzewa, mocnego, solidnego i szczęśliwego w tym parku. Jest drzewem

i robi to, co robią drzewa: zagłębia się korzeniami w glebę, sięgając wód rzeki płynącej w pobliżu, i rośnie. Zachowuje się zgodnie ze swoją naturą. Na tym polega tajemnica szczęścia - trzeba być sobą, nic więcej. Trzeba robić to, do czego jest się powołanym. Chciałbym mieć moc tego drzewa, twardego i pobrużdżonego na zewnątrz, żywego i miękkiego w środku, gdzie płynie życiodajna limfa. Nie mam odwagi odwiedzić Beatrice. Boję się. Wstydzę się. Mam siebie, a to nie wystarczy, to nigdy nie wystarcza. Nie przestaję bezmyślnie dłubać w korze...

- Co robisz?

Nie oglądam się nawet na autora tych słów i odpowiadam:

- Doświadczenie, które zadali nam w szkole.

- Ale przecież ty nie byłeś w szkole.

Odwracam się:

- Silvia?

Patrzy na mnie wzrokiem, którego nie znam. Silvia jest pilną uczennicą; zawsze przygotowana do lekcji, zawsze obecna, o ile nie dopadnie jej jakaś ciężka choroba w rodzaju szkorbutu czy trądu, a nie tylko ogólne osłabienie podparte wydłużonym słupek rtęci na termometrze ogrzanym żarówką, jak mnie się to zdarza. A jednak Silvia stoi teraz przede mną. Silvia jest na wagarach z mojego powodu. Silvia poszłaby nawet do piekła, żeby mnie stamtąd wyciągnąć. Silvia jest błękitnym aniołem. Zawsze o tym wiedziałem. A może mam teraz przed sobą anioła podobnego do Silvii, który za chwilę ugodzi mnie ognistym mieczem za to, że uciekłem z lekcji?

- No i co? Przecież się umawialiśmy! Mieliśmy pójść razem do Beatrice. Kiedy rano zobaczyłam, jak uciekasz ze szkoły, od razu wiedziałam, że tu cię znajdę.

Robię jej miejsce na ławce, gdzie sny stają się rzeczywistością.

- Ty też? Wszyscy mnie dzisiaj widzieli. Czy przypadkiem nie wzięli mnie do Big Brothera, a ja tego nawet nie zauważyłem?

Silvia uśmiecha się. Potem patrzy na pień drzewa, na którym widać rany zadane moim scyzorykiem o rysunku układającym się w matematyczne równanie: $S = B + L$. Poważnieje, przez chwilę jej twarz ściąga grymas bólu, który jednak zaraz znika, i Silvia pyta:

- To co, bierzemy się do rozwiązania tego równania szczęścia?

Silvia jest limfą mojej odwagi, ukrytą, lecz żywą, daje mi siłę do przekraczania własnych ograniczeń. Biorę ją za rękę.

- Chodźmy. Dzisiaj nie będzie płomieni. Tylko marzenia.

Silvia patrzy na mnie pytająco.

- Nic, nic. To tylko takie małe sztuczki T9.

Pod domem Beatrice dotknął mnie syndrom szarańczy, ten z filmu *Blues Brothers* - każda wymówka byłaby dobra, byle uciec z tego miejsca. Jednak Silvia była nieugięta, ścisnęła mocniej moją dłoń i musiałem pójść za nią. Znaleźliśmy się w salonie z matką Beatrice, rudowłosą kobietą, którą spotkałem w szpitalu. Znała Silvię, ale mnie nie. Całe szczęście. Powiedziała, że Beatrice śpi, jest bardzo słaba, ostatnio szybko traci siły.

Opowiedziałem jej o tym, jak oddałem krew, i o moim wypadku. Rudowłosa pani ma spokojny, znużony głos, jej twarz się postarzała, od czasu kiedy widziałem ją po raz ostatni, młodość pozostała już tylko na papierze fotograficznym. Pyta, czy napijemy się czegoś. Ja jak zwykle nie wiem, jak się zachować, ale mówię, że chętnie. Rozmawiając z nią, wydaje mi się, że widzę dorosłą Beatrice, tylko że córka będzie na pewno jeszcze piękniejsza niż matka.

Gdy wychodzi po sok, staram się zapamiętać wszystkie przedmioty w pomieszczeniu, bo są to rzeczy, które Beatrice

widzi i których dotyka każdego dnia. Wazon w formie kielicha, rządki słońca z kamienia, obraz z morskim pejzażem nasyconym słońcem, stół ze szklanym blatem, a na nim miska pełna owalnych kamieni mieniających się tęczo. Biorę do ręki jeden z nich w różnych odcieniach koloru nieba, od świtu do głębokiej nocy. Wkładam go do kieszeni, bo jestem pewny, że ona go dotykała. Silvia piorunuje mnie błękitnym spojrzeniem. Mama Beatrice już jest z powrotem.

- Co się stało, że nie jesteście dzisiaj w szkole?

Silvia milczy, więc ja muszę coś powiedzieć.

- To z powodu szczęścia...

Gospodyni patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Beatrice była rajem dla Dantego, więc my przyszliśmy ją odwiedzić.

Silvia się śmieje, ja pozostaję poważny i okropnie się rumienię, kiedy jednak widzę, że matka Beatrice też się śmieje, zaczynam im wtórować. Nigdy jeszcze nie czułem się tak śmieszny, a jednocześnie zadowolony. Uśmiech rudowłosej pani jest bardzo łagodny, nie widziałem jeszcze chyba u nikogo tak miłego uśmiechu, może z wyjątkiem mojej mamy. Włosy w odcieniu miedzi, miejscami błyszczącej, miejscami matowej, też się uśmiechają. Kobieta podnosi się z krzesła.

- Pójdę zobaczyć, jak się czuje Beatrice, czy będzie w stanie was przyjąć.

Nie mogę się ruszyć, dosłownie skamieniałem. Teraz dopiero zrozumiałem, co ma się tutaj wydarzyć. Jestem w domu Beatrice i za chwilę będę z nią rozmawiać po raz pierwszy w życiu. Drżą mi nogi, mam wrażenie, jakby nogawki spodni powiewały niczym chorągwie na wietrze, z ust zniknęła ostatnia

kropla śliny, pozostawiając miniaturową Saharę. Wypijam łyk coca-coli, ale język dalej mam suchy jak wiór.

- Wejdźcie.

A ja nie jestem gotowy. Ubrałem się byle jak. Mam tylko siebie i nie wierzę, żebym wystarczył. Nigdy nie wystarczam. Na szczęście jest Silvia.

Mam przed oczami uśmiech Beatrice. Uśmiech słaby, delikatny, ale prawdziwy. Matka wyszła z pokoju, zamknawszy za sobą drzwi. Ja siadam na krześle naprzeciw łóżka, Silvia na brzegu łóżka. Beatrice ma włosy króciutkie jak rekrut, ale i tak jest doskonałą mieszanką Nicole Kidman i Liv Tyler. Jej zielone oczy są zielone i mają ten sam co zawsze elficki kształt, jej wychudzona twarz jest delikatna i wyraża spokój. Beatrice całą sobą jest obietnicą szczęścia.

- Hej, Silvio, cześć, Leo!

Wie, jak mam na imię. Może od matki, a może rozpoznała we mnie autora SMS-ów. Teraz pomyśli, że jej się naprzykrzam, że jestem ofiarą losu, która próbuje poderwać dziewczynę na SMS-a. Tak czy inaczej, wymówiła moje imię. Silvia bierze ją za rękę bez słowa. Po chwili wyjaśnia:

- To mój przyjaciel. Chciał cię poznać.

Jestem bliski rozpłakania się ze szczęścia. Poruszam wargami, choć wie wiem, co powiedzieć.

- Cześć, Beatrice. Jak się czujesz?

Co za kretyńskie pytanie! Jak myślisz, debilu, jak ona może się czuć?

- Dobrze. Jestem tylko trochę słaba. Kuracja jest bardzo męcząca, odbiera mi siły, ale tak w ogóle czuję się dobrze. Chciałam ci podziękować, że oddałeś dla mnie krew. Dowiedziałam się od mamy.

A więc to prawda, że moja krew odżywia ognistorude włosy Beatrice! Jestem szczęśliwy. Jestem ogromnie szczęśliwy. Te rzadkie rude włosy odrastają dzięki mojej krwi, dzięki miłości czerwonej jak krew. Myślę o tym tak intensywnie, że wymyka mi się absurdalne zdanie:

- Jestem szczęśliwy, że moja krew płynie w twoich żyłach.

Beatrice rozjaśnia się w uśmiechu, który roztopiłby w jednej chwili milion zamrożonych paluszków rybnych. Częstośliwość uderzeń mojego serca podwaja się, uszy mi płoną, są pewnie szkarłatne. Przepraszam ją zaraz za to, co powiedziałem, to było bezsensowne i wybitnie nietaktowne. Jestem kretynem. Chciałbym zniknąć w najciemniejszym kącie tego pokoju, w którym nie widziałem jeszcze nic innego oprócz twarzy Beatrice - środka kuli mojej egzystencji.

- Nie przejmuj się. Cieszę się, że twoja krew przepływa przez moje serce. Widzę, że dzisiaj opuściliście lekcje, żeby przyjść do mnie... Dziękuję. Tak dawno nie byłam w szkole, tamto życie wydaje mi się bardzo odległe...

Ma rację. W porównaniu z tym, co przechodzi, szkoła jest czystą rozrywką. Pomyśleć tylko, że szesnastoletni ludzie uważają, że ich życie to szkoła, a szkoła to całe życie. Nauczyciele reprezentują piekło, a rajem są wakacje, zaś wystawianie ocen na koniec roku jest jak Sąd Ostateczny. Dla szesnastoletnich ludzi świat ma wymiary szkolnego podwórka.

Zielone oczy iskrzą w twarzy o perłowej skórze jak dogasające ogniska ciemną nocą, zdradzając obecność nieposkromionego życia, jakby było źródłem pod skałami majestatycznej góry.

- Jest mnóstwo rzeczy, które chciałabym robić, ale nie mogę. Jestem słaba, szybko się męczę. Marzyłam o tym, że nauczę się języków, będę podróżować, zacznę grać na jakimś instrumencie... Nic z tego. Wszystko się rozpadło. I do tego jeszcze te moje włosy... wstydę się tak pokazać. Niełatwo było mamie przekonać mnie, żebym się z wami zobaczyła. Poza wszystkim innym straciłam także włosy, to, co miałam najładniejszego. I tak samo jak włosy straciłam marzenia.

Patrzę na nią i nie wiem, co powiedzieć. Przy niej jestem kroplą wody, która wyparowuje w sierpniowym słońcu, a moje bezużyteczne słowa są oddechem rozpraszającym się w powietrzu. I, jak było do przewidzenia, odzywam się w sposób jak najbardziej niestosowny:

- Odrosną. I twoje włosy, i marzenia.

Uśmiecha się słabo, ale usta jej drżą.

- Mam nadzieję, pragnę tego z całego serca, ale wygląda na to, że moja krew nie może wyzdrowieć. Psuje się coraz bardziej.

W lewym oku Beatrice pokazała się perła w formie łzy. Silvia pogładziła ją delikatnie po twarzy i wytarła łzę siostrzanym gestem. Po chwili i ona wyszła z pokoju. Zostaję sam z Beatrice, która przymyka oczy. Jest zmęczona i zmartwiona reakcją Silvii.

- Przykro mi. Czasami używam zbyt mocnych słów.

Beatrice martwi się o nas, choć powinno być odwrotnie. Jestem z nią sam na sam, to najlepszy moment, żeby wyznać

tajemnicę jej ozdrowienia. Ja jestem twoim zdrowiem, Beatrice, a ty moim. Kiedy oboje będziemy o tym wiedzieć i oboje się na to zgodzimy, wszystko stanie się możliwe, raz na zawsze. Koncentruję się, żeby powiedzieć, że ją kocham, czuję się, jakbym brał rozbieg, jakby moje ciało było bieżnią dla lekkoatletów, ale po dwóch krokach natykam się na mur. Kocham cię, kocham cię, kocham cię. Dwa krótkie słowa, nic trudnego, przecież stać mnie na ich wypowiedzenie. Beatrice spostrzegła moje zmieszanie.

- Nie trzeba bać się słów. Tego nauczyła mnie choroba. Należy nazywać rzeczy po imieniu, bez strachu.

Dlatego chcę ci powiedzieć... dlatego zaraz ci powiem... dlatego zaraz wykrzyczę, że cię kocham.

- Nawet jeżeli tą rzeczą jest śmierć. Ja już nie boję się słów, bo nie boję się prawdy. Kiedy chodzi o własne życie, fałsz jest nie do zniesienia.

Dlatego muszę ci wyznać prawdę, teraz. Prawdę, która da ci siły, by wrócić do zdrowia.

- Chciałbym ci coś powiedzieć.

Słyszę te słowa artykułowane przez moje wargi, ale nie wiem, kto je włożył w moje usta ani kto dał mi odwagę do ich wypowiedzenia. Nie wiem, ilu Leo jest we mnie; wcześniej czy później będę musiał wybrać jednego z nich. A może poproszę Beatrice, żeby wybrała tego, którego polubi najbardziej.

- Słucham.

Milczę przez jakąś minutę. Ten Leo, który zdobył się na odwagę i wypowiedział pierwsze zdanie, od razu gdzieś się schował, chociaż to on powinien powiedzieć: kocham cię. Tymczasem znajduję go skulonego w ciemnym kącie,

zakrywającego twarz rękami, jakby bał się, że zaatakuje go jakiś straszny potwór. Próbuję go przekonać, żeby mówił dalej: Leo, proszę, wyjdź z tego kąta jak lew z zarośli, pokaż, jak potrafisz ryczeć.

Cisza.

Beatrice czeka. Uśmiecha się, by dodać mi odwagi, i kładzie rękę na moim ramieniu.

- Co się dzieje?

Jej dotyk uwolnił moje słowa:

- Beatrice, ja... Beatrice... kocham cię.

Czuję, że mam taką samą minę jak podczas odpytywania z matematyki, gdy nie jestem absolutnie niczego pewny i mam nadzieję, że nauczyciel zdradzi się jakimś gestem, czy posuwam się w odpowiedzi we właściwym kierunku, by zdążyć się wycofać, jeżeli zorientuję się, że błędzę. Ręka Beatrice, delikatna i biała jak śnieg, leży na mojej lekko jak motyl. Beatrice przez chwilę ma zamknięte oczy, po czym oddycha głębiej i mówi:

- Ładnie z twojej strony, że mi to mówisz, Leo, ale nie wiem, czy zrozumiałeś, że ja umieram.

Te słowa uderzają we mnie jak huragan niosący z sobą ostre kamienie i pozostawiają mnie nagiego, poranionego i bezbronno.

- To niesprawiedliwe...

Mówię to jak ktoś, kto budzi się po długiej nocy i wciąż jeszcze częściowo znajduje się we śnie, i nie jest w stanie odróżnić go od jawy. Powiedziałem to półgłosem, ale ona i tak usłyszała.

- Nieważne, czy to jest sprawiedliwe, czy nie. To jest po prostu fakt i ten fakt przytrafił się właśnie mnie. Ważne jest za to, czy jestem na to gotowa, czy też nie. Przedtem nie byłam, teraz wydaje mi się, że już jestem gotowa.

Nie nadażam za nią, nie rozumiem tego, co mówi, coś się we mnie burzy, nie chcę jej słuchać. To jest ta rzeczywistość, w której obudziłem się ze swego snu? Świat przewrócił się do góry nogami! Coś niewidzialnego uderza we mnie, a ja nie potrafię się bronić.

- Miłość, jaką byłam otoczona w ostatnich miesiącach, zmieniła mnie, poprowadziła do Boga. Stopniowo przestaję się bać, przestaję płakać, bo wierzę, że po prostu któregoś dnia zamknę oczy, a gdy je otworzę, będę przy Nim. I przestanę cierpieć.

Nie rozumiem jej. Więcej - irytuje mnie tym, co mówi. To ja wspinam się na najwyższe góry, przepływam oceany, nurzam się w bieli aż po szyję, a ona odrzuca mnie w ten sposób?! Zrobiłem wszystko, by mieć ją przy sobie, a kiedy już znajduje się na wyciągnięcie ręki, odkrywam, że jest dalej niż kiedykolwiek. Palce zaciskają mi się w pięści, struny głosowe są napięte, gotowe do krzyku.

Beatrice przysuwa się do mnie i bierze w swoje dłonie moje zaciśnięte ręce, które w tej samej chwili otwierają się, a struny głosowe się rozluźniają. Dłonie Beatrice są ciepłe, czuję, jak życie przechodzi do nich przez moje palce, jak gdybyśmy tą drogą mogli wymienić się duszami albo jakby nasze dusze nie napotykały żadnych ograniczeń. Później delikatnie puszcza moje ręce, dając duszy czas, by wróciła na swoje miejsce, a ona znów płynie daleko ode mnie, w stronę nieznanego mi portu.

- Dziękuję, że mnie odwiedziłeś, Leo. Teraz musisz już iść. Przykro mi, ale jestem bardzo zmęczona. Będzie mi miło, jeżeli przyjdiesz jeszcze kiedyś. Dam ci numer mojej komórki, będziesz mógł wcześniej zadzwonić. Jeszcze raz dziękuję.

Mam taki zamęt w głowie, że działałam właściwie bez udziału świadomości. Nie mówię, że mam już jej numer, i kiedy mi go dyktuje, spostrzegam, że nie zgadza się z tym, który dostałem od Silvii. Nie pytam o nic, ale teraz rozumiem, dlaczego nie odpowiadała na moje SMS-y. A więc Beatrice nie uważa mnie za ofiarę losu, a jej milczenie nie zależało od jej woli. Mam jeszcze cień nadziei. Być może Silvia się pomyliła, może i ona ma niewłaściwy numer, albo to ja się pomyliłem przy zapisywaniu. Pamięć do numerów mam gorszą niż moja dziewięćdziesięcioletnia babcia. Pochylam się i całuję ją w czoło. Jej skóra jest cieniutka i pachnie zwykłym mydłem, bez żadnego dolcegabbana czy innego calvinkleina. Tylko jej zapach. Tylko Beatrice. Bez udawania.

- To ja ci dziękuję.

Uśmiecha się. Kiedy idę do drzwi, za plecami mam biały wir, gotowy mnie wessać.

Matka Beatrice dziękuje mi i mówi, że Silvia czeka pod domem. Siłę się na spokój.

- Dziękuję. Jeżeli pani pozwoli, chciałbym znowu kiedyś odwiedzić Beatrice. A jeżeli będzie czegoś potrzebowała, jestem do dyspozycji, wystarczy zadzwonić... nawet wcześniej rano.

Rudowłosa pani się śmieje.

- Bystry z ciebie chłopak, Leo. Zrobię to bez wahania.

Silvia czeka na mnie przed bramą, oparta o latarnię, jak gdyby chciała się stać jej częścią. Patrzy mi uważnie w oczy, którymi ledwo odróżniam ją od tła, bo są pełne łez. Bierze mnie za rękę i idziemy w milczeniu, delikatni jak liście i silni - nie każdy swoją siłą, ale siłą, jaką jedno daje drugiemu.

Po powrocie do domu zastają rodziców w salonie. Przypominają dwie rzeźby.

- Usiądź tutaj.

Kładę plecak na podłodze między nogami, żeby bronił mnie przed złością, która pewnie zaatakuje mnie za chwilę. Pierwsza odzywa się matka.

- Zadzwonili do nas ze szkoły. Jesteś zagrożony, możesz stracić rok. Od dzisiaj do końca roku szkolnego za karę nie wychodzisz z domu.

Patrzę na ojca, by zrozumieć, czy to tylko zwykły wybuch gniewu matki, która po jakimś czasie otworzy się na negocjacje i zredukuje karę do zawieszenia kieszonkowego albo zakazu wychodzenia z domu jedynie przez parę sobót. Ojciec jednak jest śmiertelnie poważny. Koniec rozmowy. Nie odzywam się, zabieram plecak i idę do swojego pokoju. Co mnie obchodzi taka kara. Jeżeli to będzie konieczne, ucieknę, na pewno nie uda im się utrzymać mnie siłą w domu. Co mi zrobią, jeżeli ucieknę? Przedłużą karę o następne miesiące?

Ja będę dalej uciekać, do czasu aż ukarzą mnie na całe życie. Wtedy to straci sens, bo całe życie już samo w sobie jest karą, po co więc nakładać na nią jeszcze jedną, dodatkową. Kładę się na łożku i patrzę w sufit, gdzie jak na fresku pojawia się twarz Beatrice.

„Nie wiem, czy zrozumiałeś, że ja umieram”.

Jej słowa niczym tysiące igieł dziurawią mi żyły. Nic nie rozumiem z życia, nie wiem, co to cierpienie, śmierć, miłość. Myślałem, że miłość wszystko zwycięża. Myliłem się. Wszyscy gramy w tej komedii według tego samego scenariusza i w finale skończymy jednakowo. To nie jest komedia, to horror. Leżę na łożku zamieniony w kamień i prawie nie zauważam, gdy ojciec wchodzi do pokoju. Patrzy za okno, gdy mówi:

- Wiesz, Leo, ja też kiedyś zwagarowałem z lekcji. Brat mojego kolegi z klasy dostał samochód, kabriolet, i tego ranka zaprosił nas na przejażdżkę nad morze, żeby go wypróbować. Do dziś pamiętam wiatr, w którym gubiła się nasza rozmowa, i szybkość, z jaką auto niczym strzała przecinało powietrze. A potem morze i jego wolność, którą braliśmy za swoją. Koledzy z klasy zamknięci w murach szkoły, a my szybcy jak wiatr i wolni. Pamiętam rozległy, niczym nieprzerwany horyzont. Wtedy zrozumiałem, że wolność morza jest wartością nie wtedy, gdy można po nim pływać statkiem, ale gdy jest port, do którego tym statkiem można zawinąć, jakiś cel, dla którego warto przemierzyć całą tę wodę. - Ojciec spojrział w okno i przerwał, jak gdyby zobaczył za nim tamten horyzont i światła portu dalekiego jak sen. - Gdybym tamtego dnia poszedł normalnie do szkoły, możesz być pewny, Leo, że dzisiaj nie byłbym takim człowiekiem,

jakim jestem. Wskazówki, których potrzebowałem, znalazłem w dniu, gdy opuściłem lekcje i na własną rękę, ryzykując karę za wagary, szukałem odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Nie wiem, czy ojciec zamienił się nagle w Albusa Dumbledore'a czy też w doktora House'a, faktem jest, że odgadł dokładnie, w jakim jestem stanie. Nie mogę w to uwierzyć. Już raz mnie zaskoczył, gdy opowiedział, jak poznał mamę, ale tego naprawdę się nie spodziewałem. Znam go od szesnastu lat i okazuje się, że prawie nic o nim nie wiem, a już na pewno nic z tych rzeczy, które są naprawdę ważne. Chciałbym coś powiedzieć, ale nie przychodzi mi do głowy nic sensownego. Na szczęście ojciec ciągnie dalej:

- Nie poszedłeś dzisiaj do szkoły i dlatego zasłużyłeś na karę, musisz ponieść konsekwencje swojej decyzji. Nie wiem, dlaczego to zrobiłeś, i nie chcę wiedzieć. Mam do ciebie zaufanie.

Świat się zmienia! Nie zdziwiłoby mnie, gdyby nagle ziemia zaczęła się kręcić w przeciwną stronę, gdyby Homer Simpson stał się przykładowym mężem albo Inter Mediolan wygrał Champions. Mój ojciec mówi nieprawdopodobne rzeczy, mam wrażenie, jakbym oglądał film. Mówi właśnie to, co zawsze chciałem od niego usłyszeć. Ciekawe, dlaczego nigdy przedtem tego nie robił. Jakby na potwierdzenie moich myśli, ojciec daje odpowiedź na pytanie, którego nie zdążyłem zadać:

- Rozumiem, że jesteś gotów stracić rok dla tego, co jest teraz dla ciebie najważniejsze, i jestem przekonany, że nie są to żadne głupstwa.

Milczę, zastanawiając się, jak to możliwe, że dzięki jednemu dniowi wagarów moje życie zmieniło się z biało-czarnego w kolorowe. Najpierw Beatrice, teraz ojciec... A mnie stać jedynie na:

- Jaką karę wtedy dostałeś?

Ojciec odwraca się w moją stronę z szelmowskim uśmiechem.

- O tym też kiedyś porozmawiamy. Znam parę sztuczek, których chętnie cię nauczę, byś mógł uniknąć najbanalniejszych błędów.

Odpowiadam uśmiechem. Ta wymiana uśmiechów między ojcem i synem jest znakiem porozumienia między dwoma mężczyznami. Ojciec wychodzi, jest już prawie za drzwiami, gdy zdobywam się wreszcie na odwagę:

- Tato?

Wsuwa z powrotem głowę do pokoju, kojarzy mi się ze ślimakiem.

- Chciałbym wyjść tylko po to, żeby odwiedzić Beatrice. Dzisiaj byłem u niej.

Ojciec jest poważny i przygotowuję się już na jego „nie ma mowy”. Spuszcza wzrok i za chwilę go podnosi.

- Masz zgodę na wyjście, ale tylko w tym celu. W przeciwnym razie...

Przerywam mu:

- Wiem, zostanie ze mnie tylko kurz na cieniu. - Uśmiecham się. - A co z mamą?

- Sam z nią porozmawiam.

Drzwi były już zamknięte, gdy powiedziałem:

- Dziękuję, tato.

Powtórzyłem to dwa razy. Słowa turlają się po podłodze, a ja patrzę na biały sufit, jak przemienia się w rozgwieżdżone niebo. Serce szybko pompuje krew do żył i rozgrzewa je. Po raz pierwszy w życiu po otrzymaniu kary nie czuję nienawiści do rodziców ani do siebie. Kurz na moim cieniu jest gwiezd-
nym pyłem.

Zakaz wychodzenia z domu do końca roku szkolnego w praktyce oznacza ponad dwa miesiące, który mama uznała za warunek wystarczający do zawieszenia broni. Pomimo kary jestem szczęśliwy, bo dostałem przepustkę na odwiedzanie Beatrice, a na niczym innym mi nie zależy. Jeżeli chodzi o rozrywki piłkarskie, będę musiał coś wymyślić... Ta sytuacja ma też swoją dobrą stronę, dzięki niej prawdopodobnie nie stracę roku. Pozbawiony wszelkich rozrywek, nie mogąc wyjść z domu, siłą rzeczy skupiam się na nauce (najczęściej z Silvia, która w odróżnieniu ode mnie bardzo się do niej przykłada), komputerze (w ograniczonym jednak czasie, co też jest częścią kary nałożonej na mnie 21 marca, to znaczy w pamiętnym dniu wagarów) i lekturze. Ta ostatnia ogranicza się do jednej książki, pożyczonej mi przez Silvię, która nosi znaczący tytuł *Kto ze mną pobiegnie* i opowiada o psie, z którym trzeba chodzić po mieście (psy mnie prześladują!). Czasem przychodzi Niko, który niedawno rzucił Alice, albo raczej Alice rzuciła Nika dla innego - gramy coś razem, ze dwie piosenki, i tyle.

Poza tym - choć trudno w to uwierzyć - zdarza się, że patrzę w gwiazdy.

Tak, patrzę w gwiazdy, a to dlatego, że ojciec zaraził mnie swoją pasją do astronomii. Potrafi nazwać wszystkie konstelacje i znajduje gwiazdy, kreśląc między nimi palcem niewidzialne sieci łączące je jak w łamigłówkach, w których z punktów należy ułożyć różne figury.

Może kiedyś mi się to przyda, chciałbym pokazać Beatrice wszystkie najważniejsze gwiazdy i odkryć nową konstelację, by móc ją nazwać jej imieniem. Jaki będzie miała kształt? Jaki jest kształt marzenia?

Wchodzę do pokoju z gitarą zawieszoną na ramieniu. Czuję się jak jeden z tych grajków, którzy chodzą po wagonach metra i żebrzą o trochę szczęścia.

Dotrzymałem słowa, Beatrice się uśmiecha. Leży w łóżku na brzuchu i czyta jakąś książkę, od ściany pokoju odbija się głos Elisy, który stara się wydostać na zewnątrz przez szparę w półprzymkniętym oknie.

- Czy to znaczy, że dzisiaj zaczynamy? - pyta, a uśmiech zabarwia się zielenią jej oczu, jakbyśmy mieli zacząć coś, co nigdy się nie skończy. - Chcę się nauczyć tej piosenki - mówi, wskazując głową radio.

Długo czekałam
na coś, czego nie ma,
zamiast przyglądać się
wschodzącemu słońcu...

- Z takim nauczycielem jak ja nie będzie problemu... Tylko że będę musiał tu przychodzić codziennie...

Beatrice śmieje się serdecznie, odchylając głowę do tyłu i zakrywając dłonią usta, jakby zawstydziła się tego spontanicznego gestu, ona, która niczego się wstydzić nie musi.

- Bardzo bym chciała, Leo, ale wiesz, że nie jestem w stanie...

Wyjmuję gitarę z futerału takim ruchem, jakbym był co najmniej The Edgeem.

Siadam na brzegu łóżka, blisko Beatrice. Ona też usiadła. Chciałbym uwięzić jej zapach w jakimś rejestratorze zapachów, gdyby taki istniał. Kładę gitarę na jej nogach i pokazuję, jak trzymać gryf, który jednak wydaje się zbyt masywny przy wiotkim ciele Beatrice. Kieruję jej rękami od tyłu, by złapała instrument we właściwy sposób. Przez chwilę moje usta są tak blisko jej szyi, że nie rozumieją, dlaczego mózg nie wysła polecenia, by ją pocałowały.

Piosenka Elisy się kończy.

- Teraz musisz docisnąć strunę do gryfu, przyciskając kciukiem z drugiej strony, a jednocześnie prawą ręką szarpnąć strunę.

Beatrice zaciska wargi z wysiłku, starając się wydobyć dźwięk z gitary, ale dźwięk pozostaje głuchy, bezsilne ciało nie potrafi nadać mu brzmienia. To ciało, które powinno napełnić świat nigdy dotąd niesłyszana harmonia, bezgraniczną symfonią, jest w stanie wydobywać jedynie głuche dźwięki. Kładę rękę na jej dłoni i naciskam delikatnie. Nasze ręce przylegają do siebie jak u dzieci podczas modlitwy.

- Właśnie tak.

Struna zaczyna wibrować.

Własnym ciałem pomagam Beatrice grać.

Ona uśmiecha się do mnie, jakbym pokazał jej skarb ukryty przez tysiąclecia, a ja przecież pokazałem jej tylko, jak szarpać struny.

Podaje mi gitarę niecierpliwym gestem.

- Pokaż, jak ty to robisz, szybciej się nauczę.

Biorę w ręce instrument, a ona siada wygodniej, trochę dalej ode mnie, obejmując ramionami kolana.

Zaczynam brzdąkać akordy piosenki Elisy. Beatrice poznaje ją i zamyka oczy, jakby chciała znaleźć coś zgubionego.

- Dlaczego nie śpiewasz? - pyta.

- Nie znam słów - odpowiadam szybko, ale w rzeczywistości wstydę się śpiewać. Boję się, że będę fałszować.

Beatrice, wciąż jeszcze z zamkniętymi oczami, rozchyła usta. Wydobywa się z nich głos słabutki jak szmer wody w źródleku.

I jakimś cudem
już nie mogę nie mieć nadziei.
Sekret w tym,
żebyś robił wszystko tak,
jakbyś widział tylko słońce.

Moje palce wspomagają jej śpiew, który napełnia wszystkie kąty pokoju, nawet te, gdzie nie dociera światło, a potem wylewa się za okno, wędruje po uśpionym mieście, niewrażliwym, zaaferowanym bez reszty swoją monotonną krzątaniną, łagodząc ostre kąty codziennego życia, rozluźniając szczęki ściśnięte przez ból i zmęczenie.

Sekret w tym,
sekret w tym,
żebyś robił wszystko tak,
jakbyś widział tylko słońce,
widział tylko słońce,
widział tylko słońce...
Zamiast tego, czego nie ma.

Podkreślam ostatnie słowa głośnym arpeggiem. Siedzimy w ciszy wynikłej z finału piosenki, w ciszy wielokrotnej, w której echo wyśpiewanych słów brzmi jak kołysanka mająca uspić niepotrzebne troski, rozbudzić zaś to, co najważniejsze.

Beatrice otwiera oczy i się uśmiecha. W jednej chwili świat zabarwia się zielenią jej oczu i ognistorudym kolorem jej króciutkich włosów.

Później Beatrice płacze i jej uśmiech miesza się ze łzami.

A ja, wpatrzony w nią nieruchomo, myślę o tym, że cierpienie i radość płaczą w ten sam sposób.

Popołudnia z Silvią spędzane nad książkami są w niektórych dniach jedynym antidotum na jad samotności. Czasami strofa Dantego lub teoria jakiegoś filozofa prowadzą nas w odległe rejony. Opowiadam Silvii o wizytach u Beatrice, mówię, o czym rozmawiamy, i czuję się lepiej. Spotkania z Beatrice pozostawiają we mnie ciężar kamienia, a rozmowy z Silvią są jak enzym, który umożliwia strawienie tego kamienia. Silvia słucha mnie uważnie, nie komentuje, a mnie wystarczy jej milczenie. Pewnego razu pyta jednak:

- Chcesz, żebyśmy się razem za nią pomodlili?

Mam do Silvii zaufanie, jeżeli ona uważa, że coś jest dobre, robię to. I tak od czasu do czasu odmawiamy modlitwę. To nie znaczy, że w to wierzę, ale Silvia wierzy, modlimy się więc razem o uzdrowienie Beatrice:

- Boże (jeżeli jesteś - te słowa dodają tylko ja, i to bezgłośnie), uzdrów Beatrice.

Nie jest to jakaś szczególnie rozbudowana modlitwa, ale jest w niej wszystko. Jeżeli Bóg istnieje, nie potrzebuje wielu

słów, jeżeli zaś go nie ma, wszelkie słowa są bezużyteczne. Może jednak istnieje - i wtedy nasza modlitwa obudzi Go może z tysiącletniego snu, i sprawi, że zrobi coś naprawdę ważnego. Nie powiedziałem tego nigdy Silvii, żeby jej nie obrazić, ale tak właśnie myślę.

Beatrice. Odwiedzam ją przynajmniej raz w tygodniu; wybór dnia odwiedzin zależy od jej samopoczucia. Nie ma poprawy, po ostatnich transfuzjach stan zdrowia Beatrice ustabilizował się. Kiedy czuje się lepiej, albo ona, albo jej matka wysyłają do mnie SMS-a, a ja wtedy wsiadam w autobus (bo skuter po wypadku poległ definitywnie i nie wierzę, żeby uległ reinkarnacji; wprawdzie dostaliśmy pieniądze z ubezpieczenia, ale pamiętny pakt z 21 marca przewiduje zakup nowego środka lokomocji pod warunkiem otrzymania przeze mnie promocji do następnej klasy) i jadę do niej.

Za każdym razem przynoszę z sobą coś, co może rozerwać Beatrice. Wchodzę do jej pokoju zawsze z pragnieniem podarowania jej kawałeczka raju (w sensie metaforycznym oczywiście, bo osobiście nie wierzę w raj), ale potem to ja znajduję raj w tym pokoju, bo jest w nim ona (może więc jednak raj istnieje; piękno nie może się tak po prostu skończyć).

- Chciałabym zatańczyć...

Trudno w to uwierzyć, ale o to właśnie poprosiła słabiutkim głosem. Kołyszymy się w wolnym rytmie, podtrzymuję kruche ciało Beatrice delikatnie, jakby było bańką mydlaną, która w każdej chwili może odlecieć w powietrze. Włosy odrosły jej już tak bardzo, że mogę czuć ich zapach. Trzymam ją za rękę i obejmuję mocno w talii; jest jak kryształowy kielich gotów lada moment pęknąć, nawet gdyby napełnić go czerwoną substancją miłości.

Moje fizyczne pożądanie Beatrice zeszło na daleki plan. To nie znaczy, że zmieniłem orientację seksualną, ale jej ciało w cienkim ubraniu stało się częścią mnie samego, jak gdyby naszej skórze nie robiło różnicy, czy pokrywa jej, czy też moje kości i mięśnie. Głowa Beatrice leżąca w zagłębieniu między moją szyją a ramieniem jest brakującym kawałkiem układanki mojego życia, kluczem do wszystkiego, środkiem kuli. Jej nogi poruszają się według kroków, elementu choreografii pierwszego tańca kobiety i mężczyzny. Czuję, jakby serce biło mi w każdej części ciała, od palców u stóp po najbardziej na północ wysunięty czubek włosów. Siła, jaką znajduję w sobie, wystarczyłaby na zbudowanie całego świata w tym pokoju.

Beatrice starczyło sił tylko na kilka kroków, potem słabnie w moich ramionach. Jest leciutka jak płatek śniegu. Pomagam jej ułożyć się na łóżku i wyłączam muzykę. Spogląda na mnie z wdzięcznością w ostatniej chwili przed zamknięciem oczu i zaśnięciem z wyczerpania, to gasnące spojrzenie w jednej chwili pozwoliło mi zrozumieć, że ja mam wszystko, co ona właśnie traci: włosy, szkołę, taniec, przyjaźń, rodzinę, miłość, nadzieję, przyszłość, życie... i nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

Nie potrafię się skupić na tej cholernej książce do matematyki, a na jutro zapowiedziano klasówkę. Mam wciąż przed oczami spojrzenie Beatrice, które gaśnie, pokonane.

Widzę je za wierszami tekstu,
między wierszami,
w bieli wierszy.

Moje zmysły rozwinęły nową umiejętność odbioru bodźców - wszystko, co traci Beatrice, muszę przeżywać także za nią, nie tylko za siebie. Muszę przeżywać podwójnie. Beatrice lubi matematykę, więc nauczę się dobrze matematyki, postaram się przekonać do tego nudziarstwa pełnego tajemnic, bo ona żałuje, że musi je zostawić...

Przy Beatrice mam coraz to nowe wcielenia, najpierw byłem nauczycielem muzyki, teraz znawcą geografii. Kto by pomyślał! - ja, który nigdy nie uczyłem się geografii i ograniczałem się do kojarzenia poszczególnych krajów z przemysłem bądź to hutniczym, czy też metalurgicznym, o których zresztą do dzisiaj nie wiem, czy nie są przypadkiem tym samym, nie mówiąc o moim mętnym pojęciu o plantacjach buraków cukrowych, funkcjonujących w mojej wyobraźni jako niezmierzone powierzchnie porośnięte roślinami z przyczepionymi torebkami z cukrem, jak te, które dają w kawiarniach.

Kiedy odwiedzam Beatrice, zabieram ją w podróż do różnych miast. Beatrice marzy o podróżach i kiedy wyzdrowieje, przemierzy świat, nauczy się języków i pozna tajemnice najodleglejszych zakątków. Zna angielski i francuski, chciałaby poznać portugalski, hiszpański i rosyjski. Ciekawe, dlaczego właśnie rosyjski, z tym jego cudacznym alfabetem... nie wystarczy jej greka?

Mówi, że kto zna języki obce, widzi wyraźniej świat. Każdy język wyraża inny punkt widzenia. Na przykład Eskimosi

używają piętnastu słów oznaczających śnieg - w zależności od temperatury, koloru, konsystencji - podczas gdy dla mnie śnieg jest jeden, mogę dodać najwyżej jakiś przymiotnik, żeby powiedzieć, czy da się na nim pojeździć na snowboardzie, czy też nie. Eskimosi widzą piętnaście rodzajów bieli w bieli, którą widzę ja. To przerażające!

W domu zbieram informacje na temat jakiegoś miasta czy państwa, szukam w internecie zdjęć najpiękniejszych miejsc, zabytków, które koniecznie trzeba zobaczyć i z którymi często wiążą się bardzo ciekawe historie. Przygotowuję wszystko w PowerPointcie i oglądamy to potem razem, a ja udaję, że prowadzę Beatrice po ulicach, jakbym był doświadczonym przewodnikiem turystycznym.

Zwiedziliśmy miasta Złotego Pierścienia Rosji, grubo ubrani dla ochrony przed zimą, wypoczywaliśmy w cieniu gigantycznego pomnika Chrystusa Zbawiciela, górującego nad Rio de Janeiro, staliśmy w milczeniu przed Tadź Mahal w Indiach, nieprawdopodobnie białą budowlą na czerwonym piasku, zbudowaną na rozkaz indyjskiego cesarza z miłości do żony, nurkowaliśmy w Morzu Koralowym, ale przedtem odwiedziliśmy operę w Sydney, uczestniczyliśmy też w ceremonii parzenia herbaty (która była pierwszą herbatą, jaką piłem w życiu) w niezapomnianym zakątku Tokio.

Mamy jeszcze kilka innych planów. Chcemy popłynąć statkiem po Dunaju, zobaczyć gejzer na Islandii, zjeść sycylijskie cannolo na brzegu morza, zrobić kilka czarno-białych zdjęć nad Sekwaną, spacerować po deptaku Las Ramblas, przyglądając się artystom, przytulić się do kopenhaskiej syrenki, przywieźć do domu trochę kurzu z Akropolu, kupić nowe ubrania

w Nowym Jorku i włożyć je zaraz na siebie w Central Parku, pojeździć na rowerach między kanałami w Amsterdamie, starając się za wszelką cenę zachować równowagę, by nie wpaść do wody, dotknąć kamieni Stonehenge, poskakać na brzegu norweskiego fiordu i położyć się na irlandzkiej trawie, odkrywając, że na świecie są tylko dwa kolory: zielony i niebieski... Został nam jeszcze cały świat do odkrycia. W pokoju Beatrice możemy odwiedzić wszystkie te miejsca dzięki podróżom *superlow-cost*.

- Beatrice, gdzie chciałybyś pojechać latem po zdaniu matury?

Beatrice nie odpowiada od razu. Podnosi oczy wysoko i zbliża palec do nosa i ust jak ktoś, kto szuka odpowiedzi na trudne pytanie.

- Chciałabym polecieć na Księżyc.

- Na Księżyc? Przecież to tylko kupa białego pyłu, bez grafitacji, zawieszona w najgłębszej ciszy z możliwych.

- Tak, ale tam jest przechowywane wszystko to, co się traci na Ziemi.

- O czym mówisz?

- Nie znasz historii Astolfa z *Orlanda szalonego*? To rycerz, który ma odnaleźć rozum Orlanda, oszalałego z miłości, by mógł powrócić do walki.

Potakuję i wyobrażam sobie siebie jako Lea szalonego, który z miłości stracił rozum.

- Będziesz się o tym jeszcze uczył. W każdym razie to tylko owoc fantazji... - dodaje jakby ze smutkiem.

- Po co miałybyś lecieć na Księżyc? Co chciałybyś tam odzyskać?

- A ty? - odpowiada pytaniem Beatrice.

- Nie wiem, może moją pierwszą gitarę. Zostawiłem ją w hotelu w górach i bardzo tego żałowałem, byłem do niej przywiązany, nauczyłem się na niej pierwszych nut... A może mój stary skuter... nie wiem. A ty?

- Czas.

- Czas?

- Czas, jaki zmarnowałam.

- Jak to zmarnowałaś?

- Na różne niepotrzebne głupstwa... Czas, którego nie poświęciłam innym, a szczególnie mamie i przyjaciom...

- Masz jeszcze całe życie przed sobą.

- Nieprawda, Leo. Życie mam już za sobą.

- Nie wolno ci tak mówić. Nie możesz tego wiedzieć, może jeszcze wyzdrowiejesz!

- Leo, operacja się nie udała.

Milknę. Nie potrafię sobie wyobrazić świata bez Beatrice. Nie wytrzymałbym ciszy, jaka by wtedy zapadła. Miejsca, które mieliśmy razem odwiedzić, zniknęłyby natychmiast, ich piękno stałoby się niepotrzebne i bezużyteczne. Wszystko straciłoby sens, stałoby się białe jak księżyc. Tylko miłość nadaje życiu sens.

Beatrice, gdybyśmy mieli, podobnie jak Eskimosi dla śniegu, piętnaście określeń dla wyrażenia miłości, miałbym je wszystkie dla ciebie.

Gdy wyszedłem z domu Beatrice, majowe światło spadło na mnie jak woda z prysznicza po meczu z Nikiem. Pozbyłem się tego wrażenia dopiero pod domem Silvii. Umówiliśmy się na megapowtórkę z włoskiego przed sprawdzianem wiadomości z całego semestru.

Pracujemy do późna. Jest już jedenasta, kiedy matka Silvii wchodzi nieśmiało do pokoju, proponując coś do picia. Podczas gdy sączymy coca-colę, która oddala groźbę zaśnięcia nad książkami, Silvia proponuje, byśmy wyszli na balkon i zaczerpnęli trochę powietrza. Wydaje się, jakby specjalnie na tę okazję Droga Mleczna została wyczyszczona do połysku. Zwracam uwagę Silvii na niektóre konstelacje, mówię to, czego dowiedziałem się od ojca, dodając parę szczegółów pochodzących z mojej fantazji. Wskazuję palcem na gwiazdy, jaśniejsze tego wieczora od świateł miasta, tworzące moje ulubione konstelacje: Perseusza, Andromedę i Pegaza.

Silvia przenosi wzrok z mojego palca na niebo, jakbym to ja je malował. Opowiadam jej historię o Perseuszu, który

zwyciężył Meduzę, mającą moc zamieniania ludzi spojrzeniem w kamień. Z jej krwi powstał skrzydlaty koń, biały jak morska piana Pegaz, który do dzisiaj przemierza Drogę Mleczną. Perseusz, lecąc na nim nad morzem, spostrzegł Andromedę, piękną dziewczynę przywiązaną do skał i przeznaczoną na pożarcie przez smoka morskiego i uwolnił ją.

- Dzięki ojcu odkryłem, że niebo nie jest płaskim ekranem. Przedtem patrzyłem na nie jak na telewizor z rozrzuconymi tu i ówdzie błyszczącymi punktami. Tymczasem, jeżeli dobrze się przyjrzyysz, zobaczysz, że niebo jest jak morze - jest głębokie, a między gwiazdami są niewyobrażalne odległości. I wtedy przeraża cię twoja nikłość. Może dlatego ludzie zapełnili tę przerażającą głębię historiami - żeby ją oswoić. Wiesz, na niebie jest mnóstwo różnych historii. Kiedyś ich nie zauważałem, teraz odczytuję je jak z książki. To ojciec nauczył mnie widzieć historie na niebie; bez tego gwiazdy pozostają obce i nieosiągalne.

Silvia słucha mnie, wpatrując się w świetliste punkty na jednolitym tle, zapach miasta nie drażni o tej porze, a może to obecność Silvii sprawia, że nawet ulice zdają się miło pachnieć. Silvia ma spokój w sercu. Zauważa z uśmiechem:

- Ludzie są trochę jak gwiazdy: świecą, choć czasem z bardzo daleka, ale świecą, i zawsze mają jakąś ciekawą historię do opowiedzenia... Tyle tylko że potrzeba czasu, bywa, że długiego, aby ich historie dotarły do naszych serc, podobnie jak światło gwiazd do naszych oczu. Poza tym historie trzeba umieć opowiadać. Ty to potrafisz, Leo, wkładasz w to wiele pasji. Niewykluczone, że któregoś dnia zostaniesz astrofizykiem albo pisarzem...

- Astro-kim? Nie, ja na pewno nie będę nikomu przepowiadał przyszłości.

- Głuptasie, astrofizyk to ten, kto bada gwiazdy, orbity planet, galaktyki.

- To brzmi interesująco, ale coś mi się zdaje, że byłbym skazany na matematykę. Tak czy owak, nie mam nic przeciwko Drodze Mlecznej, pomimo jej białego koloru.

- A to dlaczego?

- Może dlatego, że w rzeczywistości ta biała smuga składa się z ogromnej ilości świecących punktów połączonych historiami, które warto byłoby poznać.

- Tak... ale tylko piękne historie zasługują na to, by wiązać je z konstelacjami.

- Masz rację. Weźmy takiego Perseusza, który uwolnił Andromedę, albo skrzydlatego Pegaza, który cieszy się wolnością.

- Potrzeba do tego wyobraźni, ale..

Przerywam Silvii, choć jej słowa unoszą się w powietrzu i kierują ku gwiazdom, które zdają się je słyszeć:

- Chciałbym uwolnić Beatrice od potwora, jak to zrobił Perseusz. I uciec z nią na skrzydlatym koniu.

- Byłoby wspaniale...

- Myślisz, że mógłbym zostać pisarzem?

- Opowiedz mi jakąś historię.

Zastanawiam się przez chwilę, patrząc na jedną z gwiazd pulsującą czerwonym światłem.

- Była sobie pewnego razu gwiazda, młodsza od wielu innych, niewielka i mlecznobiała, jak wszystkie młode gwiazdy. Wyglądała na słabą i kruchą, ale było to tylko wrażenie spowodowane silnym światłem, którym promieniowała i które czyniło ją prawie przezroczystą. Nazywano ją Białą Karlicą,

bo była malutka i miała kolor mleka. Uwielbiała wędrować po niebie i poznawać inne gwiazdy. Z czasem Karlica urosła do olbrzymich rozmiarów i zmieniła kolor na czerwony. Zamiast Białą Karlicą była teraz Czerwoną Olbrzymką. Wszystkie gwiazdy zazdrościły jej intensywnego koloru i pięknych promieni przypominających ognistorude włosy. Jednak Olbrzymką miała jedną tajemnicę - był nią fakt, że w środku pozostała małą Białą Karlicą. Nadal była jasna, czysta i świetlista, chociaż wyglądała jak Czerwona Olbrzymką. Dlatego nadal świeci na niebie, pulsując to białym, to czerwonym światłem, ponieważ ma w sobie obie gwiazdy jednocześnie. I nie ma piękniejszej gwiazdy na niebie. Ani na ziemi.

Milknę. Moja historia tak naprawdę nie jest historią, opowiedziałem tylko to, co odpowiedziała mi jedna z gwiazd. Wskazuję na nią:

- Tę gwiazdę dedykuję tobie, Silvio.

Jej twarz rozjaśnia uśmiech, czerwony i biały, jakby była lustrem odbijającym blask jej gwiazdy świecącej w odległości milionów, a może nawet miliardów lat świetlnych.

Silvia opiera głowę na moim ramieniu i zamyka oczy. Ja w milczeniu patrzę na Perseusza, na Andromedę, na Pegaza... Niebo przychodzi na myśl gigantyczny ekran kinowy na chwilę przed projekcją, kiedy wiesz, że zaraz zobaczysz to, na co czekasz. Jednocześnie coś małego i świetlistego zagnieżdża się w zakamarku mego serca jak ziarnko piasku, które ukrywa się w muszli ostrygi, by z czasem stać się perłą.

„Bardzo cię lubię” - mówią oczy Silvii.

„Ja też” - odpowiadają moje.

Nauczycielka włoskiego przepytuje mnie z całego materiału, a na koniec chce wiedzieć, dlaczego dopiero teraz zacząłem się uczyć. Patrzę na Silwię, ale ona potrząsa przecząco głową, przełykam więc słowa, które miałem wypowiedzieć, wiem jednak doskonale, komu to zawdzięczam. Nauczycielka miała mi tylko jedno do zarzucenia - błędy w użyciu trybu łączącego.

- Dlaczego robisz takie elementarne błędy, Leo? Zdaje się, jakbyś to robił specjalnie. Mylisz się nawet przy najprostszych czasownikach...

Milczę i przeklinam dzień z czasów gimnazjalnych, gdy postanowiłem nie używać trybu łączącego, bo koledzy, przez których bardzo chciałem zostać zaakceptowany, też go nie używali. Zrezygnowałem z poprawności gramatycznej za cenę należenia do grupy, a teraz płacę za to obniżeniem stopnia z włoskiego. Dostaję siódmkę zamiast ósemki.

Postanawiam, że od jutra poćwiczę zdania w trybie łączącym. To nic trudnego, a kto chce zostać pisarzem, musi się

tego nauczyć. Jasne, że bez trybu łączącego można się w życiu obejść, ale prawdopodobnie z nim żyje się lepiej, język daje więcej możliwości i życie ma więcej barw. A ja życie mam tylko jedno.

Kiedy wszedłem do pokoju, Beatrice pisała pamiętnik. A więc ona też, tak jak Silvia... Przyjęła mnie z uśmiechem i poprosiła, żebym jej pomógł pisać. Nikt nie czyta jej pamiętnika, ale ja dostanę pozwolenie, pod warunkiem że będę za nią pisać.

- Jeżeli mi pomożesz, pozwolę ci przeczytać mój pamiętnik - mówi, a ja czuję się jakbym wszedł do pokoju, w którym są przechowywane wszystkie tajemnice świata.

Okładka jest czerwona, kartki białe. Białe i bez linijek. To najgorsze, co mogło mnie spotkać.

- Beatrice, ja nie potrafię pisać na białym papierze. Wszystko zepsuję.

Mam przed oczami stronę zapełnioną równymi literkami. U góry po prawej stronie data, a pod nią myśli Beatrice zapisane jej staranną kaligrafią. Przywodzi na myśl dziewczynę w białej sukience w wietrzny wiosenny dzień. Rzucam okiem na początek akapitu, który pisała, gdy wszedłem do pokoju: „Drogi Boże...”. Jak to: „Drogi Boże”?! Właśnie tak: „Drogi Boże”. Beatrice pisze listy do Boga. Cały jej pamiętnik

składa się z krótkich listów do Boga, w których opowiada Mu o swoim życiu, zwierza się z obaw, smutków i nadziei. Na jej prośbę czytam na głos ostatni fragment dzisiejszych zapisków, bo chce wiedzieć, na czym skończyła, by móc kontynuować.

- Dzisiaj czuję się naprawdę słabo. Trudno mi pisać, a mam Ci tyle do opowiedzenia... Pocieszam się myślą, że Ty i tak wszystko wiesz. Mimo to bardzo lubię dzielić się z Tobą swoimi przeżyciami, to mi pomaga wiele zrozumieć. Jestem ciekawa, czy w niebie będę znowu miała rude włosy. Dałeś mi je, bo podobały Ci się takie ogniste i pełne życia, myślę więc, że mi je zwrócisz.

Czuję, że załamuje mi się głos przy czytaniu tych słów, ale się opanowuję.

- Na szczęście posłałeś mi Lea, jednego z moich aniołów stróżów. On będzie pisał dalej; dzisiaj jestem zmęczona i boli mnie ręka.

Nigdy bym nie pomyślał, że mogę być czymś stróżem, a już na pewno nie aniołem, ale ta myśl nie sprawia mi przykrości. Leo, anioł stróż - to niezłe brzmi. Beatrice się zamyśliła. Patrzy w pustkę swymi oczami zielonymi jak morska głębina, z której w każdej chwili może wynurzyć się jakiś dawno zatopiony skarb. Przerywam jej zamyślenie:

- Jesteś szczęśliwa, Beatrice?

Dalej jest wpatrzona w pustkę, dopiero po dłuższej chwili mówi:

- Tak, jestem.

Kiedy podnoszę oczy znad pamiętnika, ona śpi. Głaszczę ją po głowie i zdaje mi się, jakbym dotykał jej słabości. Nic nie

czuje, śpi. Siedzę przy niej pół godziny w ciszy. Patrzę na nią i widzę coś, co mnie przeraża, przede wszystkim dlatego, że nie potrafię tego nazwać. Czytam ponownie to, co razem napisaliśmy, i widzę, że linijki mojego pisma kierują się wszystkie ukośnie ku dołowi. Dopiero teraz to zauważyłem. Nie potrafię pisać na białym papierze! Słowa, w których odkrywa się dusza Beatrice, staczają się po pochyłości, gotowe się rozbić...

Weszła matka Beatrice, pora wracać do domu. Rudowłosa pani pocałowała mnie w czoło, ja nie wiedziałem, co zrobić z rękami, objąłem ją więc serdecznie. Ze sposobu, w jaki mi dziękuje, już dawno zrozumiałem, że robię to, co powinienem. Od kiedy staram się żyć także dla Beatrice, udaje mi się zachowywać w sposób właściwy. Myślę, że na tym też polega miłość, bo daje mi to poczucie szczęścia. Tajemnicą szczęścia jest miłość. Dzisiaj wyprowadzę Terminatora na spacer, mógłbym to robić do końca moich dni. Beatrice nie może spacerować z psem, a ja tak. To też jest życie.

Jeżeli Beatrice pisze do Boga, to znaczy, że Bóg na pewno istnieje.

Tracę czas na pisanie moich WNN-ów (wiadomości nigdy niewysłanych). Nie da się ukryć, że T9 jest inteligentniejszy ode mnie. T9 zna siedemdziesiąt pięć tysięcy słów, a ja tylko tysiąc. To prawda! Mnóstwo razy podpowiedział mi właściwe słowo, którego ja bezskutecznie poszukiwałem w pamięci czy którego nawet nie znałem. Nie wiedziałem na przykład, czy „walizka” pisze się przez „z”, czy przez „s”, a T9 wiedział. Podobnie było ze słowem „prędkość” - miałem wątpliwości, czy napisać je przez „ę”, czy przez „en”, a T9 wątpliwości nie miał. A kiedy chcę napisać do kogoś, że z niego „duppek”, przy czwartej literze T9 wpisuje mi „eurek” i muszę szukać innego, łagodniejszego określenia.

Ten, kto wymyślił T9, na pewno zarobił kupę kasy. Ja też muszę wynaleźć coś, z czego będę miał duże pieniądze. Gdybym się bardziej przyłożył, może by mi się to udało. A może nie. Jeżeli kiedyś napiszę powieść, będę się wspomagać systemem T9... Ale po co tracę czas na takie bezowocne myślenie?

Tak czy inaczej, zacząłem pisać, choć sam nie wiem, jak to się stało. Pierwsze dwa słowa, jakie pojawiły się na ekranie

komórki, to: „Drogi Boże”, ponieważ system T9 niestety nie zmienia słowa „Boże”. Szkoda, bo szczerze mówiąc, to słowo budzi we mnie strach i wolałbym, żeby T9 wrzucił w zamian inne słowo. Piszę dalej, tak samo jak robiłem to u Beatrice, tylko że na ekranie komórki linijki są proste. „Twierdzisz, że jesteś naszym ojcem, ale siedzisz sobie niewzruszony w tym swoim niebie. Nie mogę pogodzić się z Twoją wolą, bo to, jak postępujesz z Beatrice, nie ma żadnego sensu. Jeżeli jesteś wszechmogący, ratuj ją. Jeżeli jesteś miłosierny, uzdrow ją. Dałeś mi odkryć moje marzenie, nie odbieraj mi go teraz. Jeżeli sobie we mnie upodobałeś, okaż mi to. A może jesteś zbyt słaby, by być Bogiem? Twierdzisz, że jesteś życiem, ale życie odbierasz. Mówisz, że jesteś miłością, ale sprawiasz, że miłość jest niemożliwa. Mówisz, że jesteś prawdą, ale jedyną prawdą jest to, że nic Cię nie obchodzi i że nie potrafisz nic zmienić. Nic dziwnego, że mało kto ci wierzy. Pomyślisz, że jestem pyszałkiem, ale gdybym był na Twoim miejscu, to pierwsza rzecz, jaką bym zrobił - i nie trzeba być Bogiem, by zrozumieć tego konieczność - to uzdrowiłbym Beatrice. Amen”.

Podczas gdy piszę te zdania, przychodzi SMS. Czytam na głos:

- „Pamiętaj, że jestem. Lubię cię, choć na to nie zasługujesz... ;-) S.”.

Silvia jest aniołem, więc ma bezpośredni kontakt z Bogiem. Zapytam, czy zna numer Jego komórki, mógłbym Mu posłać SMS-a. Boże, jestem pewny, że uzdrowisz Beatrice! Ja na Twoim miejscu zrobiłbym to, a jestem przekonany, że Ty jesteś lepszy ode mnie...

Byłem nareszcie u Beatrice. Zaczynałem się już martwić brakiem wiadomości, ale w końcu dostałem SMS-a od jej matki. Gdy przyszedłem, Beatrice spała. Schudła jeszcze, a jej skóra zmatowiała. Kroplówka odmierzała sekundy. Wreszcie Beatrice otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie, a jej uśmiech, melancholijny jak u starych ludzi, zdawał się przychodzić gdzieś z daleka.

- Czuję się bardzo słaba, ale jestem szczęśliwa, że przyszedłeś. Chciałam zapisać coś w pamiętniku, a nie potrafię utrzymać długopisu. To okropne uczucie.

Byłem na to przygotowany. Wyjąłem z kieszeni kartkę papieru i włożyłem ją między strony pamiętnika. W domu wydrukowałem na niej czarne linie, żeby pisać prosto na białym papierze. Jednak potrafię się przyłożyć, jak mi na czymś zależy! Piszę to, co dyktuje mi Beatrice; co chwila zatrzymuje się, nie panuje nad głosem, oddycha z wysiłkiem. Wreszcie zasypia, a ja patrzę na nią, kiedy ześlizguje się w sen jak łódka bez silnika, bez żagla i wiosła, unoszona prądem. Zaraz znowu otwiera oczy.

- Jestem za bardzo zmęczona... Ty mi coś opowiedz, Leo.
Nie wiem, co mówić. Nie chciałbym jej męczyć własnymi głupstwami. Zaczynam opowiadać o szkole, o moich problemach, o tym, co mi się przytrafiło w tym roku, o Naiwniaku, Gandalfie i Niku, o turnieju piłki nożnej, który my, Piraci, prawdopodobnie wygramy... Opowiadam jej o Silvii, o tym, jak wielokrotnie ratowała mnie z opresji i jak poszła ze mną na węgry, a potem przyprowadziła mnie do niej... Beatrice niespodziewanie mi przerywa:

- Kiedy mówisz o Sialvi, oczy błyszcą ci jak gwiazdy.

Beatrice często mówi niesamowite rzeczy z prostotą dziecka, które prosi o ciasteczko. Milczę i czuję się jak ktoś, kogo potraktowano niesprawiedliwie i kto nic nie może zrobić, by się bronić. Ja nie mogę pokochać Silvii, mogę kochać tylko Beatrice, i to właśnie od niej słyszę, że błyszcą mi oczy, gdy opowiadam o Silvii.

- Beatrice, czy byłaś kiedyś zakochana?

Odpowiada, że tak, z lekkim westchnieniem i potem milczy. Wiem, że nie powinienem jej pytać o nic więcej, ale wiem też, że tylko od niej mogę dostać odpowiedź, której tak bardzo potrzebuję.

- Jak się wtedy czułaś?

- Jakbym miała dom, do którego mogłam wrócić zawsze, gdy tego chciałam. Czułam się, jakbym nurkowała w głębinach. Tam wszystko jest nieruchome, panuje absolutna cisza i spokój, nawet wtedy gdy na morzu jest wysoka fala.

Słucham w milczeniu i przychodzi mi do głowy, że być może będę musiał zrewidować swoje poglądy na miłość, ale na razie kojarzy mi się ona jedynie z osobą Beatrice. Podczas

gdy snuję te rozmyślenia, Beatrice niespodziewanie zasypia, jakby nagle zgasła świeca. A może tylko zamknęła oczy. Tak czy inaczej, rozumiem, że na mnie już czas.

Silvia jest błękitna, nie czerwona. A jednak błyszczą mi oczy na widok tego błękitu.

Jeżeli nie potrafisz odpowiedzieć na jakieś pytanie, jest na to sposób: Wikipedia. Ale jestem pewny, że nie dowiem się z niej, czy Silvia jest dla mnie czymś więcej niż przyjaciółką, a to pytanie męczy mnie jak śpiew cykady w letnie południe; nie mogę się go pozbyć. Próbuję podzielić je na dwie części. Czy Silvia jest we mnie zakochana? Czy ja jestem zakochany w Silvii? Zrobiłem co najmniej jedenaście testów psychologicznych na Facebooku, które miały mi pomóc odkryć, czy jestem obiektem czyjegoś uczucia. Otrzymane wyniki nie pozostawiają wątpliwości: Silvia zachowuje się w stosunku do mnie jak ktoś, kto jest zakochany, ale nie ma odwagi tego wyznać. Teraz kolej na mnie. Nie chcę jednak dowiadywać się tego z testu na Facebooku. To zbyt ważna sprawa. Muszę to sam sprawdzić.

- Silvio, co ty na to, gdybyśmy się pouczyli razem? Mam problemy z poezją grecką.

Rzecz jasna, poezja w tym wypadku ma być tylko katalizatorem uczuć.

Podczas gdy Silvia odczytuje tłumaczenie trudnych wersów Safony: „Przed tronem twoim się chylę Afrodyto...” - ja, nie słuchając słów, odczytuję je z ruchu jej warg.

- "... a ty, promieniejąca / z uśmiechem na obliczu nieśmiertelnym, / spytałaś najłaskawiej co mnie gnębi, / że ciębie wzywam, / kto wzniecił mych pragnień najgorętszych / serdeczny żar?"

Patrzę na falujące czarne włosy Silvii, poruszające się w rytm wersów. Przywodzą mi na myśl skrzydła mewy odlatującej się ufnie porywowi wiatru.

- "... I dzisiaj zejść ze stopni swego tronu, / nie pozwól mi w daremnej trwać tęsknocie, / i stanąć racz w tej trudnej dla mnie chwili / po mojej stronie!"

Silvia podnosi wzrok, a ja drugi raz w życiu zaglądam w głąb jej oczu, w których tak często widziałem zainteresowanie moimi sprawami. Nurkuję w spokojnych i orzeźwiających wodach błękitnego morza.

- Co się stało, Leo?

Otrząsam się ze snu, w którym znalazłem się nie wiedzieć kiedy i w którym chciałbym pozostać.

- Wydaje mi się, że nie jesteś skoncentrowany. Oczy ci błyszczą... Myślisz o Beatrice? Zróbmy sobie przerwę.

Sen już uleciał.

- Nie, pracujmy dalej. Słucham cię.

Silvia uśmiecha się ze zrozumieniem.

- Dobrze. Teraz będzie fragment, który lubię najbardziej, ten z czerwonym jabłkiem. Skup się. „Jak słodkie jabłko lśniące czerwienią na najwyższej gałęzi, / którego nie dostrzegli bądź zapomnieli ci, którzy jabłka zrywali; / To nie tak - oni go nie zapomnieli, tylko nie zdołali doń sięgnąć”.

Podczas gdy Silvia czyta, wodząc palcem po greckich słowach, ja po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, że zaczynam rozumieć ten język umarłych.

Nauczyłem się tych wersów na pamięć, powtarzałem je aż do chwili, gdy świt, którego nie znałem, zastał mnie przekonanego, że właśnie się zakochałem. Ale jakże mogę zdradzić Beatrice? I jak mogę dosięgnąć Silvię, tak doskonałą? A przecież to Beatrice otwarła mi oczy, to ona pokazała mi, czego nie widziałem. Silvia jest domem. Silvia jest portem. Czy kiedykolwiek zdołam cię dosięgnąć, Silvio?

Najgorsze w życiu jest to, że nie dostajesz do niego instrukcji obsługi. Gdy masz problemy z komórką, czytasz instrukcję i postępujesz zgodnie z jej zaleceniami, a jeżeli dalej nie działa, wykorzystujesz gwarancję, oddajesz telefon do sklepu i dostajesz nowy. Z życiem jest inaczej, jeżeli ma usterki, nikt nie da ci innego, musisz się zadowolić tym starym, używanym, brudnym i mało atrakcyjnym. A kiedy coś w nim szwankuje, bywa, że tracisz apetyt.

- Leo, przecież ty nic nie zjadłeś. Źle się czujesz? - pyta matka, przed którą nic się nie ukryje.

- Nie wiem. Nie jestem głodny - odpowiadam lakonicznie.

- A może ty jesteś zakochany?

- Nie wiem.

- J a k to: nie wiesz? Albo jesteś, albo nie jesteś...

- Mam zamęt w głowie. Czuję się, jakbym miał ułożyć puzzle z tysiąca elementów bez wzoru. Jakbym musiał do wszystkiego dojść sam.

- Takie właśnie jest życie, Leo. Sam je sobie budujesz na fundamentach wyborów, jakich dokonujesz.

- A jeżeli nie potrafię wybrać?

- Staraj się zawsze dotrzeć do prawdy i wybieraj na jej podstawie.

- A jak znaleźć prawdę w miłości?

Mama milczy. Wiedziałem, odpowiedź nie istnieje. Brak instrukcji obsługi.

- Musisz jej szukać w sercu. Najważniejsze prawdy są do-
brze ukryte, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Po prostu trudno
je odkryć.

- A co ty odkryłaś, mamó, przez wszystkie te lata?

- Że miłość nie chce posiadać, miłość chce dawać.

Nic na to nie odpowiadam. Zabieram się do jedzenia,
a mama do zmywania naczyń.

Komórka leży na stole przy szklance. Biorę ją do ręki i wysy-
łam wiadomość do Silvii:

„Jutro, to znaczy dzisiaj, o piątej na czerwonej ławce. Mu-
szę z tobą porozmawiać. Kwestia życia lub śmierci!”.

Przychodzę pół godziny przed czasem, by powtórzyć sobie z pamięci to, co chcę jej powiedzieć. Do ławki podchodzi włóczęga i prosi o pieniądze, a ja - jako że jestem nastawiony do świata wspaniałomyślnie, bo za chwilę wyznam Silvii moje do niej uczucie - daję mu jedno... nie, daję mu dwa euro. Dziękuję mi:

- Bóg zapłać.

Widzę ją z daleka i zdaję sobie sprawę, że do tej pory musiałem być chyba ślepy. Silvia zaczyna od tego, że każdy powinien mieć takie miejsce jak ta czerwona ławka, by snuć w nim marzenia i zwierzać się z tajemnic. Robię jej miejsce obok siebie z manierami, z jakimi mógłbym wystąpić przy angielskiej królowej. Podczas gdy wykręcam sobie palce, starając się zacząć swój wywód, ona zatrzymuje mnie z bardzo poważnym wyrazem twarzy:

- Najpierw, Leo, chciałybym ci coś powiedzieć.

Mam nadzieję, że to będzie to samo, co ja mam jej do powiedzenia. Wtedy szybko to załatwimy, pocałujemy się i będzie załatwione.

- Muszę ci coś wyznać, bo jeżeli dalej będę to przed tobą ukrywać, pęknie mi serce.

No i świetnie. Po raz kolejny Silvia ratuje mnie w trudnej sytuacji.

- Beatrice nie odpowiadała na twoje SMS-y, bo ja nie dałam ci jej numeru.

Patrzę na Silvię jak ktoś, kto przyleciał z Marsa i właśnie zobaczył pierwszą istotę ludzką. Nagle piękne rysy jej twarzy wydają mi się twarde i sztywne jak wyryte w drewnie; widzę przed sobą maskę.

- Wiem, Leo... Jest mi strasznie przykro. To moja wina. Nie rozumiem.

- Tego dnia, kiedy poprosiłeś mnie o jej numer, udawałam tylko, że go szukam.

Rzeczywiście, numer, który dała mi Beatrice, nie zgadzał się z tym, który dostałem od Silvii; już wtedy wydało mi się to dziwne. Słowa miłości, jakie sobie przygotowałem, znikają, jakbym napisał je na piasku nad samym brzegiem morza. Mój głos jest zimny jak lód, kiedy pytam:

- Dlaczego to zrobiłaś?

Silvia milczy.

- Dlaczego to zrobiłaś, Silvio?

Odpowiada, mieszając słowa ze łzami:

- Byłam zazdrosna. Bardzo chciałam, żebyś do mnie pisał te SMS-y, ale nigdy nie miałam dość odwagi, żeby ci to powiedzieć. Miesiącami przechowywałam twój list do Beatrice, wyobrażając sobie, że napisałeś go do mnie. Tak strasznie się bałam, że cię stracę. Wybacz mi.

Opadła mnie biała cisza, taka sama, jaka panuje na Księżycu. Silvia patrzy w nurt przepływającej rzeki, nie ma odwagi podnieść wzroku. Wstaję z ławki. Zostawię ją jak zupełnie obcą osobę. Silvia jest dla mnie nikim. Miłość nie może narodzić się ze zdrady.

- Chcę o tobie jak najszybciej zapomnieć.

Do oczu napływają mi łzy. To, co parę dni wcześniej zagnieździło się w zakamarku mego serca, wyschło i zmieniło się w kryształek soli, który teraz rozpuścił się we łzach, na zawsze stracony.

Czuję się zdradzony i bardzo, bardzo zmęczony.

Ból zamknięty w moich piersiach sprawia, że byłbym zdolny podpalić świat. Przymusowy areszt w domu podsycia jeszcze ogień, który mnie trawi; nie wytrzymam tego. Idę do ojca i mówię mu to tak jasno, jak tylko potrafię:

- Tato, wystarczy! Zrozumiałem lekcję. A teraz, do jasnej cholery, wystarczy!

Ojciec patrzy na mnie bez słowa. Nie reaguje na moją prowokację. Ja się buntuję, rzucam przekleństwa, a on nie reaguje! Co to znaczy?

Trzaskam drzwiami i wracam do pokoju. Pogłaśniam muzykę, aż drżą szyby w oknach, chcę, żeby wszyscy mnie słyszeli i nikt nie mógł do mnie mówić. Chcę się zamknąć we własnym domu hałasu, bo ten, w którym mieszkam, nie jest moim domem. Terminator zaczyna wycić jak zawsze, gdy puszcza muzykę Linkin Park na cały regulator albo gdy matka przyrządza kurczaka w papryce. Być może budzą się w nim wtedy jakieś pierwotne instynkty albo brzydkie wspomnienia z psiego dzieciństwa. Terminator to naprawdę dziwny pies.

Mam nadzieję, że gdybym miał ulec reinkarnacji, nie zamienię się w stworzenie w rodzaju Terminatora. Ciekawe, kim był ten pies w poprzednim wcieleniu...

Zwiększam natężenie dźwięku i słowa piosenki *Numb* prawie rozbijają szyby w oknach na kawałki. Niech mnie wszyscy usłyszą! Mama krzyczy z jakiegoś odległego pomieszczenia:

- Leo, przycisz to, nie mogę rozmawiać przez telefon!

Właśnie o to mi chodzi, ale ty tego nie rozumiesz, myślisz, że dla przyjemności słucham tak głośno tej cholерnej muzyki. Mam gdzieś twoje rozmowy telefoniczne. Chcę zalać moim hałasem ten świat, który ma zatyczki w uszach.

Ojciec wchodzi do pokoju. Nic nie mówi, ale ja ściszam muzykę.

- Wyjdźmy na spacer.

A więc mnie usłyszał. Mój ojciec mnie usłyszał. Usłyszał to, co chciałem powiedzieć naprawdę.

Nie rozmawialiśmy o niczym szczególnym, ale przy ojcu się uspokoilem, moje wątpliwości na temat wszystkiego i wszystkich już mnie tak bardzo nie dręczą, a rany mniej boją. Tata, ojciec... Jak człowiek staje się ojcem? Trzeba przeczytać dużo książek, mieć przynajmniej jedno dziecko i mieć siłę podobną do boskiej.

Ja nigdy tego nie osiągnę.

Leżymy obok siebie już od pięciu minut z zamkniętymi oczami, w zupełnym milczeniu. Beatrice mnie tego nauczyła. To zabawa w ciszę, podczas której obserwuje się kolory pojawiające się pod zamkniętymi powiekami. Ja czasem oszukuję, otwieram oczy i patrzę na Beatrice leżącą blisko mnie, wstrzymuję przy tym oddech, żeby nie zauważyła, że zwracam ku niej twarz.

- Nie otwieraj przypadkiem oczu - mówi, jakby coś podejrzewała.

- Nie otwieram.

- Co widzisz?

- N i c

- Skup się.

- A ty co widzisz? - pytam z ciekawością.

- Wszystko, co mam.

- W jakim to jest kolorze?

- Czerwonym.

- I co to jest?

- Miłość, jaką mnie obdarowano. Miłość jest zawsze długim, dlatego jest czerwona.

Nie rozumiem. Za głupi jestem, żeby zrozumieć wszystko, co mówi Beatrice.

- A ty co widzisz?

- Biel.

- Mając zamknięte oczy?

- Tak, z zamkniętymi oczami.

- Czym jest ta biel?

- Słucham?

- Wszystkim, czego nie mam. Miłość to pożyczka, która nie zostanie spłacona...

- Przestań... - Beatrice śmieje się i całuje mnie w policzek.

Od dzisiaj nie będę mył twarzy.

Teraz wszystko zależy od goli. Nadszedł nareszcie moment wyrównania rachunków, ostateczna rozgrywka z drużyną Wandala, mecz, od którego zależy zwycięstwo w turnieju. Mamy o jeden punkt mniej od nich. Urządza nas tylko wygrana. Musimy wygrać. Gra toczy się o coś ważniejszego niż zwycięstwo. To zemsta za rozkwaszony nos Nika, walka o pozycję na liście strzelców i przede wszystkim obrona dumy Piratów. Jestem nabuzowany tyle, ile trzeba. Czuję w sobie uśpiony impet, który obudzi się przy strzałach paraliżujących przeciwników, przy dryblu przy nogach Wandala.

Gramy o wszystko. Zainwestowaliśmy rok ciężkiej pracy. Jeżeli wygramy, staniemy się popularni, wszystkie dziewczyny będą nas sobie pokazywać palcami: to jeden z Piratów... jest w drużynie Piratów... to kapitan Piratów... Już to słyszę. Jakże bym chciał, żeby Beatrice widziała, jak gram. To jej chcę zadedykować ten mecz i zwycięstwo, wszystkie bramki i triumf nad Wandalem. Teraz muszę się tylko skoncentrować. Za pół godziny gramy, ale ja już od trzech godzin jestem gotowy. Umówiliśmy się z Nikiem, że przyjedzie po mnie skuterem.

Dostaję SMS-a. To pewnie Niko, który chce, żeby zszedł i czekał na niego przed domem. „Boję się. Jestem bardzo zmęczona. Jestem sama... Beatrice”.

Dzwonię do niej natychmiast.

- Co się dzieje, Beatrice, co się dzieje?

Głos jej się załamuje. Płacze, płacze tak, jak nigdy dotąd tego przy mnie nie robiła.

- Zaraz do ciebie przyjadę.

Wychodzę przed dom, a kiedy pojawia się Niko, nie pozostawiam mu nawet chwili na zaczerpnięcie oddechu.

- Zawieź mnie! Szybko! Ja potem do was dołączę. Mam nadzieję, że mi się uda...

Niko nie odzywa się ani słowem i odjeżdża, zostawiając mnie samego na ulicy. Widzę go, jak się oddala, skuter hałasuje na pełnych obrotach, to dźwięk odchodzącej przyjaźni.

Ten dźwięk mnie rani.

Beatrice otwiera oczy czerwone od płaczu i odrywa się od moich ramion.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Dzisiaj nie wytrzymałabym sama...

- Co się stało?

- Boję się.

- Czego?

- Że wszystko stracę, że znajdę się w pustce, w ciszy, że zniknę i nie będę już nigdy miała obok siebie najbliższych mi ludzi.

Nie znajduję słów, jakimi mógłbym ją pocieszyć. Potrafię wypowiedzieć tylko jedno zdanie, jedyną prawdę, jaka pozostała niczym samotne drzewo na rozległym polu.

- Jestem przy tobie.

Ściskam jej rękę, jakbym chciał w ten sposób wyrwać ją z pustki strachu, jak akrobata cyrkowy, któremu na trapezie powierzono życie partnerki zawieszanej na jego ramieniu nad próżnią bez siatki zabezpieczającej.

- Pisz...

Prawie szepcze i muszę zbliżyć ucho do jej warg, żeby zrozumieć, co mówi. Jej oddech jest gorący i chrapliwy, przywodzi na myśl pocieranie metalu o kamień. Zapisuję słowa wyszeptywane przez Beatrice, w pewnej chwili przerywa i podaje mi pamiętnik.

- Weź, zachowaj go. Nie będę już pisać. To dla ciebie.

Nie jestem w stanie zabrać zeszytu; potrząsam głową i kładę go przy niej.

- Kiedyś myślałam, że piszę go dla siebie, teraz już wiem, że robiłam to dla ciebie. Chcę, żebyś go zatrzymał, Leo.

Już nie protestuję.

- Beatrice, wkrótce przeczytamy go sobie razem.

Beatrice się uśmiecha.

- Tak. A teraz już idź, jest późno i jestem zmęczona.

Ja też chciałem jej coś podarować, ale nic z sobą nie zabrałem. Przeszukałem kieszenie. Nic, oprócz... kamienia w różnych odcieniach błękitu, który zabrałem kiedyś z miski w jej salonie. No ładnie! Ale mam tylko ten kamień, kładę go więc na dłoni Beatrice, jakby to był diament.

- To mój talizman, weź, to dla ciebie.

Beatrice uśmiecha się i niebo odbija się w jej oczach.

- Dziękuję.

Składam pocałunek na jej rudych włosach i w tej samej chwili moje życie napełnia się jej krwią.

- No to do rychłego zobaczenia.

- Do rychłego.

Przyciskam pamiętnik Beatrice do piersi, jakby to była moja druga skóra. Pomyślałem, że jedyną rzecz, jaką mogłem jej podarować, ukradłem wcześniej w jej domu. Nie mam nic do ofiarowania oprócz miłości, którą dostaję bądź wykradam. Przed wyjściem z domu Beatrice zabieram jeszcze jeden niebieski kamień z miski na stole. Nie mogę chodzić po mieście bez talizmanu...

Noc jest porą słów.

Słowa z pamiętnika Beatrice oświetliły moją pierwszą bezsenną noc, moją pierwszą noc. Noc, kiedy inni się kochają.

Jeżeli raj istnieje, zaprowadzi mnie do niego Beatrice.

Ból zmusza mnie do przymknięcia powiek, ukrycia oczu. Myślałam zawsze, że moje oczy pochłoną świat, że niczym pszczoły kwiatów będą dotykać wszystkich rzeczy, by posmakować ich piękna. Tymczasem choroba i słabość zmuszają mnie do przykrywania ich powiekami. Dopiero z czasem zauważyłam, że z zamkniętymi oczami też można widzieć. Pod powiekami widzę całe piękno świata; tym pięknem jesteś Ty, Boże. Jeżeli każesz mi zamykać oczy, robisz to po to, bym z większą uwagą patrzyła na świat, gdy są otwarte.

Tak napisała Beatrice w swoim pamiętniku. Ja teraz zamykam powieki i patrzę na świat jej oczami. Gdyby życie miało oczy, byłyby to oczy Beatrice. Od dzisiaj chcę kochać życie. Wstyd mi, że nie robiłem tego wcześniej.

Wracam ze szkoły. Drzwi otwiera mi mama.

- Co jest do jedzenia?

Patrzy na mnie jak na małe dziecko, które uderzyło się w kolano na podwórku.

- Błagam, tylko nie zupa jarzynowa!

Jeszcze w przedpokoju mówię jej, że dostałem ósemkę, ale zanim zdążyłem powiedzieć z jakiego przedmiotu, obejmuje mnie i przytula mocno, a ja kryję twarz w zagłębieniu jej szyi.

Czuję zapach mojej matki, zapach, który w dzieciństwie dawał mi poczucie spokoju, coś jak cytryna pomieszana z różami. Łagodny. Ale przecież nie przytula mnie z powodu stopnia z filozofii, jej łzy nie moczyłyby mi twarzy. Dopiero wtedy to do mnie dociera.

Chcę uciec, ale matka mi na to nie pozwala, wbijam więc paznokcie w skórę, by poczuć, czy prawdą jest to, co mówi mi bez słów.

Matka jest jedyną kobietą, jaka mi została.

Jedyną skórą, jaka mi została.

Beatrice umarła.

To jest właściwe słowo. Nie ma sensu go unikać, ona na pewno by tego nie chciała.

Zwykło się mówić: zasnęła, odeszła... Brednie!

Beatrice umarła.

Słowo „umarła” jest tak okrutne, że można wypowiedzieć je tylko raz, potem należy milczeć.

Jedyną osobą, z którą chciałbym teraz rozmawiać, jest Silvia, ale nie mam siły na wybaczenie jej kłamstwa. Życie to przesłuchanie urządzone tak, by wyciągnąć od ciebie prawdę, której nie znasz; udajesz, że jest inaczej, i zeznajesz cokolwiek, żeby przestali cię męczyć, aż w końcu zaczynasz wierzyć w swoje kłamstwa, zapominając, że sam je wymyśliłeś.

Boże, gwiazdy nie są już potrzebne; zgaś je jedną po drugiej.

Oddal słońce, opakuj księżyc.

Opróżnij oceany, wykorzeń rośliny.

Nic już nie jest ważne.

A przede wszystkim zostaw mnie w spokoju!

W kościele są tłumy. Przyszła cała szkoła. Oczy wszystkich zwrócone są na trumnę z błyszczącego drewna, która kryje jej ciało, jej zgasłe oczy.

Mojej Beatrice już nie ma; ta, która leży w tej drewnianej skrzyni, jest inną Beatrice. Na tym polega tajemnica śmierci. To, co w niej kochałem, nie zniknęło, nie rozproszyło się jak oddech w powietrzu. Ściskam w rękach jej pamiętnik; to moja druga skóra.

Mszę odprawia Gandalf. Znowu. Mówi o tajemnicy śmierci, opowiada o niejakim Hiobie, któremu Bóg odebrał wszystko, a ten pomimo to pozostał mu wierny, co nie znaczy, że nie miał odwagi się poskarżyć.

- Po tym jak Hiob zalany łzami poskarżył się na swój los, przemówił do niego Bóg: „Gdzieś był, gdy zakładałem ziemię? Kto bramą zamknął morze? Czyś w życiu rozkazał rankowi, wyznaczył miejsce jutrzence? Czy deszcz także ma ojca? A kto zrodził krople rosy? Czy połączysz gwiazdy Plejad? Rozluźnisz pas Oriona? Kto żeru dostarcza krukowi? Czy za twoją

to radą uniesie się sokół, skrzydła rozwinie ku południowi? Niech przeciwnik Wszchemogącego odpowie".

Po tych słowach odczytanych przez Gandalfa w kościele zapada cisza.

- My, podobnie jak Hiob, skarżymy się dzisiaj Bogu. Chcemy, żeby usłyszał o naszej niezgodzie na to, co zdecydował. To ludzkie. Bóg jednak chce, żebyśmy Mu zaufali. Jedyną rozsądną postawą wobec tajemnicy cierpienia i śmierci jest wiara w Jego miłość. A to jest boskie, to dar Boga. Nie miejmy sobie za złe, jeżeli teraz nie stać nas na taką postawę. Przeciwnie - trzeba, żebyśmy jasno i wyraźnie mówili Bogu: nie zgadzamy się.

Zawracanie głowy. Ja nie tylko Bogu nie ufam i nie wierzę - ja Boga nienawidzę. Gandalf mówi dalej niewzruszony:

- Ale my mamy wsparcie, którego Hiob nie miał. Wiecie, co robi pelikan, gdy nie ma pożywienia dla swego głodnego potomstwa? Rozdziera skórę na piersi swoim długim dziobem, by pisklęta mogły się pożywić krwią spływającą z rany. To samo Chrystus zrobił dla nas i dlatego często jest przedstawiany jako pelikan. Zwyciężył śmierć, przelewając za nas własną krew, obdarzając nas nieskończoną miłością. Jego ofiara jest potężniejsza niż śmierć. Bez tej krwi umarlibyśmy dwa razy...

Zapada we mnie cisza. Jestem kamiennym bólem zawieszonym w pustce miłości. Doskonale nieprzemakalnym.

- Jedynie ta miłość jest w stanie pokonać śmierć. Ten, kto ją otrzyma i kto ją ofiaruje, nie umrze, ale narodzi się dwa razy. Jak Beatrice...

Cisza.

Cisza.

Cisza.

- Jeżeli ktoś chciałby wspomnieć zmarłą, zapraszam.

Nikt się nie poruszył, wreszcie ja wstaję, oczy wszystkich zwracają się na mnie. Gandalf też na mnie patrzy, a w jego spojrzeniu wyczuwam lekki niepokój. Obawia się, że powiem coś głupiego.

- Chciałbym przeczytać ostatni fragment pamiętnika Beatrice, słowa, które napisałem pod jej dyktando. Jestem pewny, że chciałyby, żeby poznali je wszyscy tutaj obecni.

Głos mi się załamuje, połykam łzy, których nie potrafię zatrzymać, ale pomimo wszystko zaczynam czytać:

- „Drogi Boże, dzisiaj zamiast mnie pisze Leo, ponieważ ja nie mam dość sił. Ale chociaż czuję się bardzo słaba, chcę Ci powiedzieć, że nie boję się, bo wiem, że weźmiesz mnie w ramiona i utulisz jak nowo narodzone dziecko. Lekarstwa mnie nie uzdrowiły, ale jestem szczęśliwa. Jestem szczęśliwa, bo mam z Tobą pewną wspólną tajemnicę, dzięki niej mogę na Ciebie patrzeć, mogę Cię dotknąć... Dobry Boże, w Twoich ramionach nie boję się śmierci”.

Podnoszę oczy, kościół wydaje mi się zalany Morzem Martwym moich własnych łez, a ja unoszę się na jego powierzchni na tratwie, którą zrobiła dla mnie Beatrice. Spotykam spojrzenie Silvii, którym ona stara się mnie pocieszyć. Spuszczam wzrok i uciekam od mikrofonu, bo pomimo drewnianej tratwy zaczynam się topić we łzach. Zapamiętałem jeszcze tylko słowa Gandalfa:

- Bierzcie i pijcie z niego wszyscy. To jest bowiem kielich krwi mojej, przelanej za was...

A więc także Pan Bóg marnuje swoją krew - czerwony deszcz nieskończonej miłości spada na świat bezustannie, obdarzając nas życiem, ale my pozostajemy bardziej martwi niż ci, którzy już umarli. Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego miłość i krew mają ten sam kolor, i teraz już wiem. To z winy Boga!

Ten deszcz nawet mnie nie dotyka. Pozostaję nieprzemakalny. Pozostaję martwy.

Ostatni dzień roku szkolnego. Ostatnia lekcja. Ostatnia minuta.

I oto dzwonek - ostatni.

Towarzyszy mu krzyk uczniów witających wolność, jakby byli skazanymi na dożywocie więźniami niespodziewanie obdarowanymi łaską amnestii.

Zostałem sam w klasie, która przypomina cmentarz. Krzesła i ławki, ożywiane przez tyle miesięcy naszymi szaleństwami i obawami, poranione naszymi ołówkami i długopisami, stoją teraz nieruchome jak cmentarne pomniki. Spowija je śmiertelna cisza. Na tablicy pozostały ślady liter Naiwniaka, który napisał dla nas bardzo szczególne życzenia miłych wakacji.

„Gdybym nie miał nadziei, nie osiągnąłbym tego, co wydaje się nieosiągalne”.

Sentencja Heraklita.

Dla mnie osobiście to czysta kpina, ja straciłem wszystko, co było moją nadzieją.

Rok szkolny skończył się nagle jak ognie sztuczne, choć w tym roku trwał przecież wyjątkowo długo. Przynajmniej dla mnie - jak całe życie. Urodziłem się w jego pierwszym dniu, dorosłem i zestarzałem się w dwieście dni, teraz czeka mnie jeszcze sąd ostateczny świadectwa, a potem, mam nadzieję, zacznę się raj wakacji. Nie straciłem roku, nie mam nawet szczególnie słabych ocen.

Dzięki Beatrice zrozumiałem, że nie mogę spisywać na straty ani jednego dnia życia. Myślałem, że mam wszystko, a nie miałem nic. W odróżnieniu od Beatrice, która nie miała nic, a jednak miała wszystko.

Nie przyjaźnię się już z Nikiem i resztą załogi... Przegraliśmy w rozgrywkach z mojej winy. Nigdy nikomu nie wyjaśniłem, co się stało. Nieważne. To bez znaczenia. Silvia napisała do mnie list, ale nawet nie otworzyłem koperty. Nie chcę go czytać. Nie mam odwagi skazywać się na następne cierpienia.

Barba, nasz woźny, zagląda do klasy i bardzo się dziwi na mój widok:

- Przez te trzy ostatnie lata nigdy nie widziałem, żebyś wychodził ostatni. Co się dzieje? Zostawili cię na przyszły rok w tej samej klasie?

- Nie. Tylko tak sobie myślałem...

- Cuda się więc zdarzają!

Śmiejemy się razem. Przyjacielskie klepnięcie w plecy przywraca mnie do życia.

W połowie korytarza odwracam się i wołam do woźnego:

- Proszę nie wycierać tablicy!

Szkoła jest światem na opak, ważnych rzeczy nie zapisuje się czarno na białym, ale odwrotnie. W szkole przeznaczeniem wszystkiego jest zniknąć w niepamięci niczym biały pył kredy.

Barba oczywiście nie usłyszał mnie i gąbka, broń w niezliczonych bitwach, bezlitośnie starła z tablicy naiwne życzenie pewnego młodego nauczyciela.

LATO MINEŁO..

„Później, lamentując i płacząc w samotności,
wzywam Beatrice i pytam: »Czyś ty umarła?«.
A ona, gdy ją wzywam, mnie pociesza”.

Dante Alighieri, *Nowe życie*, pieśń XXXI

Zwykle przez cały rok żyję nadzieją na lato, ale to lato różniło się od innych. Nie było czasem głośnego śmiechu i krzyków, było czasem ciszy. Nie spotykałem się z nikim ze znajomych. Spędziłem prawie trzy miesiące w górach, gdzie często wyjeżdżamy na wakacje. Tego lata po raz pierwszy naprawdę tego chciałem. Potrzebowałem spokoju i samotnych spacerów. Nie chciałem poznawać nowych ludzi, nie musiałem szukać sobie dziewczyny, żeby mieć o czym opowiadać Nikowi po powrocie do szkoły. Potrzebowałem rodziców i pamiątnika Beatrice, w nim znajdowałem iskierkę szczęścia. Potrzebowałem tego, co najistotniejsze, a w górach łatwiej to znaleźć.

W górach nocą widać gwiazdy tak dobrze jak nigdzie indziej. Ojciec często mi o nich opowiadał, matka też się temu przysłuchiwała, ale patrzyła częściej na nas niż na gwiazdy. Pewnego wieczoru ojciec opowiedział mi o gwieździe, którą kiedyś zadedykowałem Silvii; jej światło dotarło wtedy do tego zakamarka mego serca, który wcześniej zamknąłem na siedem spustów.

Nie otworzyłem koperty z listem od Silvii, nie wziąłem jej nawet z sobą w góry. Dalej piszę SMS-y i dalej ich nie wysyłam, ale wszystkie zachowuję, należą do kategorii WNN.

Podobnie jak zachowuję SMS-y, które Silvia wysłała do mnie w przeszłości. Nie jestem w stanie wyrzucić ich z pamięci komórki. Mam ich chyba ze sto i od czasu do czasu, kiedy nie mam nic do roboty, kiedy nie mam o czym myśleć, kiedy się nudzę, kiedy tego potrzebuję - czytam sobie niektóre. Wybieram jakiś przypadkowy numer, na przykład 33, i odczytuję trzydziesty trzeci SMS od Silvii: „Jesteś największym głuptasem, jakiego znam, ale przynajmniej nie jesteś nudny”. Albo 12: „Pamiętaj, żeby przynieść książkę z historii, Panie Zapominalski”. 56: „Nie szalej. Pójdziemy na spacer i wszystko mi opowiesz”. 21: „Jaki masz numer butów? Jaki jest twój ulubiony kolor?”. 100: „Ja też”.

Ten jest najlepszy. Poprzedzałem go tym, czym chciałem, i w odpowiedzi otrzymywałem zawsze: „Ja też”. I już nie byłem sam. Miał setny numer i przynosił szczęście. Mógłbym napisać powieść, która składałaby się z samych SMS-ów. Zacząłem już nawet się zastanawiać, kim byłiby jej bohaterowie. Na razie znalazłem niewielu: Silvia, Niko, Beatrice i jej matka, Naiwniak i ja. Tak, także Naiwniak. Mam numer jego komórki i tego lata wysłałem do niego SMS-a z pozdrowieniami i z pytaniem, czy jego przyjaciel, ten który miał problemy z ojcem, poradził sobie z nimi. Naiwniak odpowiedział, że dzięki słowom Beatrice, które przeczytałem na pogrzebie, przyjaciel zaczął wychodzić z kryzysu. Zapytałem wtedy, jak jego przyjaciel dowiedział się o Beatrice. Czy może Naiwniak zaprosił go na pogrzeb?

„W pewnym sensie... Dziękuję, Leo. Cieszę się, że mogłem cię poznać”.

Odpowiadam: „Za co mi pan dziękuje?”.

Czy można prowadzić poważne rozmowy poprzez SMS-y? Jestem przekonany, że można.

„Za to, że miałeś odwagę przeczytać te słowa. Jeszcze kiedyś spotkamy się z tymi, których kochaliśmy. Mamy całe życie, by starać się o ich wybaczenie”.

Przeczytałem tego SMS-a co najmniej sto dwadzieścia siedem razy, bo jak dla mnie był za bardzo filozoficzny. Dopiero za sto dwudziestym ósmym razem doszedłem do następujących wniosków:

1. Nazywam filozofią wszystko, co jest naprawdę ważne.
Może więc właśnie tym zajmuje się filozofia...
2. Na SMS-a Naiwniaka powinienem odpowiedzieć: „To zasługa Beatrice. Do rychłego zobaczenia!”.
3. Nie mogę się doczekać, by wrócić do domu i przeczytać list od Silvii.

Przez cały wieczór patrzę na jej gwiazdę. Noc jest jasna, pachną świerki, mama jest obok mnie, księżyc oświetla jej wypoczętą twarz.

- Mamo, jak można kochać kogoś, kogo już raz przestało się kochać?

Matka leży na trawie, nie przestając wpatrywać się w niebo, podobnie jak ja, który przez cały czas mam oczy utkwione w Białą Karlicę Czerwoną Olbrzymkę, inaczej zwaną Silwią.

- Leo, słowo „kochać” jest czasownikiem, nie rzeczownikiem; nie odnosi się do konkretnej, raz na zawsze określonej rzeczy, ale ulega zmianom, rozwija się lub kurczy, podnosi lub zapada, wynurza na powierzchnię lub kryje pod nią jak podziemne rzeki, które jednak nigdy nie przerywają swego biegu do morza. Miejscami pozostawiają ziemię suchą, ale choć niewidoczne, płyną nieustrudzenie pod ziemią, by co jakiś czas wypływać na powierzchnię, użyźniając ziemię.

Mam wrażenie, jakby niebo było skrzynią rezonansową dla tych słów, które tylko w noc taką jak ta nie brzmią jak pusta retoryka.

- Więc co mam robić?

Mama milczy przez co najmniej dwie minuty, a potem jej słowa wynurzają się z milczenia jak rzeka, która po długich trudach dociera do morza.

- Kochać pomimo wszystko. To możesz zawsze zrobić, bo kochać znaczy działać.

- Nawet wtedy, gdy kocha się kogoś, kto nas zranił?

- Ależ to jest normalne... Istnieją dwie kategorie ludzi, którzy mogą nas zranić: ci, którzy nas nienawidzą, oraz ci, którzy nas kochają...

- Nie rozumiem. Dlaczego ci, którzy nas kochają, mieliby nas ranić?

- Ponieważ gdy w grę wchodzi miłość, ludzie czasem zachowują się po prostu głupio. Popełniają błędy, ale to znaczy, że się starają. Należy się martwić raczej, gdy ten, o kim myślisz, że cię kocha, nie rani cię, bo to oznacza, że przestał się starać albo że tobie już na nim nie zależy.

- A jeżeli pomimo wszystko okazuje się to niemożliwe?

- Możliwe, Leo, że nie dość się starasz. Łatwo się pomylić, czasem wydaje nam się, że miłość przechodzi kryzys, a to tylko naturalny etap rozwoju uczucia. To jest podobnie jak z Księżycem - widać tylko jego wycinki różnych rozmiarów, choć Księżyc jest zawsze taki sam, z jego kraterami i górami. Należy poczekać, aż Słońce oświetli jego ciemne obszary...
Potrzeba czasu.

- Mamo, dlaczego wyszłaś za męża za tatę?

- A jak myślisz?

- Bo podarował ci gwiazdę?

Mama uśmiecha się i księżyc oświetla jej twarz, której widok uspokaja najgwałtowniejsze zawieruchy.

- Bo chciałam go kochać.

Mama burzy mi włosy pieścizotliwym gestem, jakby chciała uwolnić moją głowę od mrocznych myśli. Tak samo robiła, gdy byłem dzieckiem i przed strachami uciekałem w jej ramiona.

Potem jest już tylko cisza, w której każde z nas wpatruje się w niebo i rozmawia, z kim chce - tam, za gwiazdami.

Gdzie ja ją położyłem? Nie mogę jej nigdzie znaleźć. Kosmiczna katastrofa! Pojutrze zaczyna się rok szkolny, a ja nie mogę znaleźć koperty z listem od Silvii. Boże, pomóż mi przynajmniej tym razem! I wtedy mnie oświeciło - książka do historii! Całe szczęście, że nie sprzedałem jej razem z innymi po to tylko, by zrobić na złość Naiwniakowi, który znajduje w niej tyle ciekawych rzeczy, na pewno o wiele więcej niż te, które mieszczą się w niej naprawdę...

Już wiem, gdzie ją zostawiłem, ale nie otworzę jej teraz. Moje marzenia urzeczywistniają się na czerwonej ławce i tam właśnie chcę przeczytać list i pomyśleć o nim w spokoju.

- Mamo, wychodzę z Terminatorem na spacer!

Biegnę. Biegnę tak szybko jak nigdy w życiu. Terminator nie nadaża, wywieszonym językiem zbiera kurz z ulicy. Wygląda, jakby to on wyprowadzał mnie na spacer i starał się wyhamować moje tempo, żeby spacer był prawdziwym spacerem.

Oto ona, moja ławka, jest czerwona i samotna, zdaje się czekać na moje marzenia. Pozwalam Terminatorowi biegać samopas, czym uszczęśliwiam go bezgranicznie.

Rozrywam kopertę i widzę kaligrafię Silvii, której zawsze tak bardzo jej zazdrościłem.

Drogi Leo,
przydarzyło mi się coś, co przywiodło mi Ciebie na myśl. Pragnę Ci o tym opowiedzieć, choć wiem, że bardzo się na mnie gniewasz i nie chcesz ze mną nawet rozmawiać. Potraktuj ten list jako prośbę o pomoc, której tylko Ty możesz mi udzielić...

Parę dni temu byłam z rodzicami i ich znajomymi na wycieczce. W pewnej chwili znalazłam się sama z synem znajomych. Ma na imię Andrea i chyba się we mnie zakochał. Kiedy zostaliśmy sami, próbował mnie pocałować. Odepchnęłam go, na co on osłupiał ze zdziwienia, po czym odwrócił się plecami i odszedł, podobnie jak Ty tamtego dnia. Jednak widok pleców Andrei nie sprawił mi przykrości; Andrea po prostu nic dla mnie nie znaczy. Kiedy tamtego fatalnego dnia siedziałam na czerwonej ławce i patrzyłam na Twoje plecy, czułam, że coś we mnie pękło. W jednej chwili zrozumiałam, że na świat mogę patrzeć tylko z Tobą.

Starożytni Grecy wierzyli, że pierwotnie ciało człowieka było krągłe i dopiero Zeus rozciął ludzi na pół, karząc ich w ten sposób za wolnomyślność. Od tego czasu człowiek,

przychodząc na świat, tęskni za swoją drugą połówką i jest gotowy uparcie jej szukać, by móc ostatecznie stworzyć jedność i nigdy już nie doznać uczucia osamotnienia. W tej przypowieści jest sporo prawdy, ale nie cała. Kiedy bowiem ludzie stanowiący dwie połówki całości odnajdują się, mają za sobą doświadczenia części życia. Nie są tacy sami jak w chwili rozdzielenia, nie przystają do siebie idealnie. Mają swoje przywary, słabości, rany i nie wystarczy, że się spotkają i rozpoznają swoją brakującą połowę. Muszą dokonać świadomego wyboru, bo tylko trud miłości może dopasować połówki w miejscach, w których nie przylegają do siebie idealnie, tylko stała bliskość, nawet jeżeli chwilami bywa bolesna, może złągodzić ostre krawędzie. Tamtego dnia, Leo, odkryłam, że nasze połówki nie przystają do siebie idealnie, ale bez Ciebie świat jest dla mnie pusty. Brakuje mi wszystkiego: Twojego uśmiechu, spojrzenia, błędów gramatycznych, SMS-ów, naszych rozmów... Tysiąca drobniaków, które dla mnie mają najwyższą wartość, bo są związane z Tobą.

To wszystko, co chciałam Ci powiedzieć. Widok Twoich pleców nigdy nie będzie dla mnie tym samym co widok pleców innych ludzi. Kiedy Ty się ode mnie odwracasz, czuję się, jakby życie się ode mnie odwróciło. Wybacz. A jeżeli możesz, zaakceptuj mnie pomimo moich wad. Bądź przy mnie. I ja będę przy Tobie. Tylko bliskość może nas do siebie dopasować. Ja kocham Cię takim, jaki jesteś; spróbuj zrobić to samo, nawet jeżeli nie jestem tak doskonała jak Beatrice. Chciałabym, żeby twoja czerwona ławka stała się naszą ławką - dwa serca i jedna ławka. Jak widzisz, niewiele mi trzeba...

Podnoszę oczy znad listu. Rzeka płynie tak samo jak zawsze, obojętna na wszelkie zmiany na świecie, od wieków

niesie łączy radości i cierpienia do morza, które dlatego właśnie jest słone. Ściskam w ręce swój talizman mieniący się błękitem i czuję obecność Beatrice. Mam dwa serca - jej i moje, czworo oczu - jej i moje; żyję podwójnym życiem - jej i swoim.

Życie się nie myli, jeżeli serce ma odwagę je zaakceptować.

Jest już wieczór. Jeden z wrześnieowych wieczorów, kiedy zapachy, kolory i dźwięki zdają się tworzyć tęczę łączącą niebo z ziemią. Beatrice patrzy na mnie ze swojej gwiazdy. W rękach mam gitarę, przy nogach emerytowanego jamnika. Terminator stanowił wymówkę niezbędną, bym mógł wyjść o tej porze, nie budząc podejrzeń. Dzwonię domofonem i proszę, żeby wyjrzała z okna swojego pokoju.

- Kto mówi?

Nie poznaje mojego głosu, ale zaraz wychyla się z okna na drugim piętrze tego swojego zakłętą zamku. Z trudem dostrzega mnie na słabo oświetlonej ulicy, może jednak słyszeć mój głos.

- Kiedy napisałaś za mnie list, obiecałem, że zaśpiewam dla ciebie.

Cisza. Stroję gitarę, po czym ze wzrokiem zagubionym w granatowym niebie zaczynam śpiewać:

Wiesz, tak rodzą się
baśnie, których pragnąłbym
we wszystkich moich snach...
I opowiem je,
by polecieć do rajów,
których nie mam,
nie jest łatwo zostać
bez wróżek, które można porwać,
nie jest łatwo bawić się,
jeśli brakuje ciebie...

Wyobrażam sobie w ciemnościach twarz Silvii, która słu-
cha mojego głosu, i już się nie wstydzę, bo mój głos na pewno
jest piękny, jeżeli jej go ofiarowuję.

Zabierz mnie z sobą
między tajemnice aniołów
i uśmiechy demonów.
Zamienię je w konfetti
delikatnego światła.
i zdołam zawsze uciec
w kolory, które czekają na odkrycie...

Znajduję się w środku wszystkich baśni świata i wymyślam
je na nowo, przenosząc miejsce akcji do mojego miasta, by
stały się rzeczywiste. W oknach zaklętego zamku pojawiają
się twarze ludzi przyciągniętych dźwiękami tej serenady. Ale
nie przejmuję się tym, jestem wolnym człowiekiem, który nie
boi się stawić czoła całemu światu, by nie stracić tego, co jest
naprawdę ważne.

Powietrze, oddychaj mną w ciszy,
nie mów „żegnaj”,
lecz pociesz świat...

Mój głos jest jednocześnie lekki i ciężki. Jest ciężki od minionych wydarzeń, ale one są skrzydłami, które mogą ten ciężar unieść. Potrafię fruwać dopiero teraz, gdy mam w sobie ciężar życia.

Powietrze, obejmij mnie,
uniosę się, pofrunę.

Cisza. Podnoszę wzrok ku oknu na drugim piętrze, ale Silvii już w nim nie ma. Słyszę, że ktoś gwizdże, ktoś inny się śmieje, pewnie przez zazdrość. Słyszę też oklaski.

Otwiera się brama zaklętego zamku. Zbliża się do mnie powoli jakiś cień. Staram się rozpoznać twarz.

- Silvia jest na lekcji tańca. Powiedziałam ci to z okna, ale nie słyszałeś. Wróci pewnie za chwilę. Naprawdę ładnie śpiewasz! Słuchałam cię uważnie, byłeś w tej piosence cały ty.

Mama Silvii uśmiecha się do mnie. Z daleka pomyliłem ją z Silvia. Na szczęście w ciemnościach nie widać rumieńca, który pewnie zalał mi twarz. Mam wrażenie, jakby miała za chwilę eksplodować na tysiąc kawałków jak w najpodlejszym z horrorów.

- Chcesz poczekać na nią na górze?
- Nie, dziękuję, poczekam tutaj.
- J a k chcesz. Ale... zaśpiewaj tę piosenkę potem dla niej jeszcze raz...

Siadam na schodach przed drzwiami na klatkę schodową, z gitarą na kolanach wyglądam na wędrownego grajka, który korzysta z nocnej ciemności, by ukryć wstyd przy wyciąganiu ręki po datki dla swej muzyki. Terminator zwinął się w kłębek u moich stóp, nigdy jeszcze nie był taki spokojny.

Zamykam oczy i zaczynam śpiewać od nowa, nucę właściwie, podczas gdy palce wygrywają akordy, wyplatając z nich latający dywan, na którym mój głos frunie ponad dachami miasta i dotyka gwiazd, jakby to były nuty piosenki, wypisane na niezmierzonej partyturze nieba.

Otwieram oczy. Mam przed sobą twarz wpatrzoną we mnie błękitnym spojrzeniem, która powoli, jak kiedy rozwiera się brama o zardzewiałych zawiasach, rozjaśnia się w uśmiechu. I przez tę otwierającą się bramę wieje i ogarnia mnie dawno zapomniane szczęście, o którym od śmierci Beatrice już nawet nie myślałem. Wieje, otula mnie, porywa i szemrze śpiewnie: „I zdołam zawsze uciec w kolory, które czekają na odkrycie...”.

Obejmujemy się, jakbyśmy byli dwoma kawałkami drewna.

- Mam wrażenie, że doskonale do siebie pasujemy - szepczę Silvii do ucha.

W odpowiedzi obejmuje mnie mocniej i czuję, jak w tym serdecznym uścisku moje ostre kanty łagodnieją i wpasowują się w jej ubytki i niedostatki.

Terminator biega dookoła, kreśląc koła, które - jak to bywa w bajkach - chronią nas od złych czarów.

Pocałunek jest czerwonym mostem, który przerzucamy między naszymi duszami tańczącymi nad białym wirem życia bez obawy, że w niego wpadną.

- Kocham cię, Leonardzie.

Moje imię w pełnej formie poprzedzone tym czasownikiem w pierwszej osobie liczby pojedynczej jest wzorem, za pomocą którego można wytłumaczyć wszelkie tajemnice świata.

Nazywają mnie Leo, ale mam na imię Leonardo.

A Silvia kocha Leonarda.

- Nauczę cię pewnej gry.
 - Mam nadzieję, że nie ma nic wspólnego z którymś z tych waszych absurdalnych pojedynków?
 - Nie, nauczyła mnie tego Beatrice. To gra w ciszę.
 - Która? Ta, w którą bawiliśmy się w podstawówce?
 - Nie, zaraz ci wytłumaczę. Trzeba się położyć obok siebie i milczeć przez pięć minut z zamkniętymi oczami, koncentrując się na obserwowaniu kolorów pojawiających się pod powiekami.

Czerwona ławka jest wąska i nie ma na niej miejsca dla dwojga, ale udaje nam się ułożyć na niej obok siebie z twarzami zwróconymi w stronę nieba. Miłość ma to do siebie, że potrafi znaleźć miejsce dla dwojga nawet tam, gdzie tego miejsca ledwo starcza dla jednego.

Trzymamy się za ręce, oczy mamy zamknięte i milczymy; komórka da nam znać, kiedy upłynie pięć minut.

W drugiej minucie otwieram ukradkiem oczy, by spojrzeć na Silwię, i natykam się na jej szeroko otwarte oczy. Udaję, że

się gniewam, i patrząc na ekran telefonu, mówię, że brakuje jeszcze trzech minut.

- Co widziałeś? - pyta.

- Niebo.

- Jakie było?

- Błękitne...

Jak twoje oczy, chciałbym dodać, ale jakoś nie potrafię.

Silvia jednak chyba zrozumiała bez słów, bo uśmiecha się jasnym, bezchmurnym uśmiechem.

- A ty?

- Dużo kolorów naraz.

- Co to było?

- Arlekin... i byłeś nim ty.

- Dziękuję, miła jesteś - mówię lekko rozczarowany.

Mnie od razu przyszło na myśl niebo. Może to banalne i przewidywalne, ale zawsze co niebo, to niebo. Ona tymczasem wyobraziła sobie mnie jako karnawałowego przebierańca...

Silvia śmieje się z mojej obrażonej miny, ale zaraz poważnieje i mówi:

- Arlekin był biednym dzieckiem. Pewnego dnia w czasie karnawału wrócił do domu smutny. Mama zapytała o powód jego smutku, na co odpowiedział, że nazajutrz wszyscy przyjdą na zabawę do szkoły w nowych ubraniach, tylko on będzie miał na sobie stare łąchmany. Matka przytuliła go i powiedziała, żeby niczym się nie martwił. Arlekin położył się spać podniesiony na duchu, a matka, która była krawcową, uszyła w nocy ubranie dla syna z różnokolorowych resztek. Arlekin pojawił się w szkole w najładniejszym i najbardziej oryginalnym ubraniu. Dzieci zazdrościły mu i pytały, gdzie je kupił,

ale on milczał, by nie zdradzić tajemnicy matki, która nie przespała nocy, by pozszywać dla niego białe, czerwone, niebieskie, żółte, zielone, pomarańczowe, fioletowe kawałki materiału... I dopiero wtedy zrozumiał, że w rzeczywistości nie był biedny, miał miłość matki, która kochała go bardziej niż inne matki swoje dzieci, czego dowodem było to kolorowe ubranie. - Silvia zamilkła na kilka sekund, po czym dodała: - Ty, Leonardzie, jesteś ze wszystkich najsilniejszy, bo umiałeś przyjąć i dać miłość; nie wycofałeś się, gdy pojawiły się trudności. A nosisz w sobie ślady tego doświadczenia.

- Ty opisujesz siebie, Silvio.

Patrzę w niebo i nic już nie mówię, podczas gdy Silvia trzyma głowę w zagłębieniu między moją szyją i ramieniem, a palce ma splecione z moimi - jak puzzle ułożone w najdoskonalszy sposób. Widzę w myślach siebie w kostiumie uszytym z setek kolorowych skrawków materiału.

Zdarza się, że czujemy się jak najwięksi biedacy, nie wiedząc o tym, że życie właśnie wykrawa dla nas skrawki w najróżniejszych kolorach i jak matka, za cenę nieprzespanych nocy, szyje dla nas najpiękniejsze ubranie.

Pierwszy dzień nowego roku szkolnego. Budzę się czterdzieści minut przed początkiem lekcji. To wcześniej jak na mnie, ale postanowiłem pojechać po Silvię. Frunę jak strzała na skutercze, który jest nowym wcieleniem starego ze sprawnymi hamulcami. Wrześniowe powietrze ma w sobie błękit o tym samym odcieniu co kamień, który noszę na szyi. Ślizgam się między samochodami niczym Srebrny Surfer. Uśmiecham się do wszystkich, także do przyśniętych policjantów i do czerwonych świateł, próbujących zatrzymać mój lot. Silvia czeka już na mnie przed domem. To ona jest punktualna, nie ja. Siada za mną na siodełku i obejmuje mocno w pasie. Moje życie jest w jej ramionach.

Już nie boi się jak kiedyś. Może dlatego, że mam sprawne hamulce. Skuter zamienił się w białego rumaka, który zamiast galopować, frunie po asfalcie. Żyję! Patrzę na niebo, widoczny na nim jeszcze księżyc przywodzi mi na myśl uśmiech Boga... I nie ma nic wspólnego z zaciętym spojrzeniem Nika, który pojawia się przy mnie na swoim skuterze, wyzywając mnie

bez słów na pojedynek. Nie mogę odmówić, ale pozwałam mu wygrać, bo jest ze mną Silvia. Uśmiech, jaki wymieniamy między sobą po pojedynku na skutery, jest jak najserdeczniejszy braterski uścisk dłoni. Z chłopakami jest zawsze łatwiej.

Pierwszy dzień lekcji. Gdy siedzę w ławce przy Silvii, lekcje mijają szybciej, są ciekawsze i pełne życia. Jest tak, jakby mój dogorywający świat otrzymał transfuzję, której potrzebował, by znów zacząć normalnie funkcjonować.

Dzisiaj zacznę pisać. Muszę utrwalić wszystko, co przeżyłem, by nigdy tego nie zapomnieć. Nie wiem, czy mi się uda, ale przynajmniej raz chciałbym się do czegoś porządnie przyłożyć. Będę pisał ołówkiem... Nie, lepiej długopisem z czerwonym wkładem. Czerwonym jak krew, czerwonym jak miłość - nie ma odpowiedniejszego tuszu do zapisywania białych kart życia. Warto pamiętać tylko to, co jest zapisane krwią. Krew nie popełnia błędów, więc nikt nie będzie nanosił poprawek.

Biel tych stron nie robi już na mnie wrażenia; zawdzięczam to Beatrice, tej, która była biała jak mleko i czerwona jak krew.

Patrzę w błękit oczu Silvii - morze, w którym nurkuje, nie tonąc. Na jego dnie panuje zawsze spokój, nawet wtedy, gdy na powierzchni szaleje sztorm. Kołysany jego wodami uśmiecham się, a mój uśmiech mówi o tym, że kiedy zaczynasz naprawdę żyć, kiedy życie jest zanurzone w ognisku czerwonej miłości, każdy dzień jest pierwszy, każdy dzień jest początkiem nowego życia.

Nawet kiedy w tym dniu zaczyna się rok szkolny...

Drogi Leo,

oddaję Ci Twój rękopis. Przeczytałem go prawie jednym tchem i przypomniała mi się przy tym historia pewnego sławnego greckiego dowódcy. Wraz ze swoimi sześciuset ludźmi został zepchnięty na górę Parnas i stamtąd musiał stawić czoło armii wielokrotnie przewyższającej ich liczbą. Przegrana była pewna, ale wróżbita, którego mieli z sobą, wymyślił pewien wojenny fortel: polecił pobielić kredą żołnierzy - ich samych oraz ich broń i zbroje.

Mieli uderzyć na wrogów w nocy i zabijać każdego, kogo ujrzą bez bieli. Gdy strażnicy ogromnej armii zobaczyli białe zjawy, wpadli w panikę. Zaczęli krzyczeć i uciekać, a za nimi pędził oddział duchów, których biel w świetle księżyca budziła jeszcze większą grozę. Wrogie oddziały były sparaliżowane strachem i nietrudno było się z nimi rozprawić. O świcie wojownicy pobieleni kredą zostali sami na polu bitwy zasłanym czterema tysiącami zakrwawionych ciał wrogów. Krew zabitych opryskała białe zbroje i skórę zwycięzców i w świetle poranka wyglądali przerażająco.

Leo, czasem boimy się wrogów, którzy wcale nie są tak silni, jak nam się wydaje. Wzbudzają w nas lęk tylko dlatego,

że widzimy ich nocą, pomalowanych białą kredą. To nie oni są naszym prawdziwym wrogiem, jest nim strach.

Biel jest potrzebna.

Tak samo jak potrzebna jest czerwień.

Może o tym nie wiesz, ale z ostatnich badań antropologicznych wynika, że w większości kultur nazewnictwo barw z początku opiera się na odróżnieniu barw jasnych od ciemnych. Kiedy zaś język się rozwija i pojawia się w nim nazwa trzeciego koloru, jest to zawsze „czerwony”. Nazwy innych barw powstają dopiero po tym, jak słowo oznaczające „czerwień” jest w powszechnym użyciu. Ma ono często brzmienie podobne do słowa oznaczającego krew.

Naukowcy potwierdzają to, co Ty odkryłeś poprzez własne doświadczenia życiowe. Cywilizacje potrzebowały wieków, by dojść do tego, co Ty zrozumiałeś w ciągu jednego roku szkolnego. Dziękuję, że podzieliłeś się ze mną swoim odkryciem.

Do Twoich zapisków dodałem tylko parę szczegółów dotyczących mnie bezpośrednio i poprawiłem kilka czasowników w trybie łączącym, nic poza tym. Gdybym zmienił Twoje słowa, byłoby tak, jakbym zamierzał zmienić Twoje życie, a ono musi pozostać takie, jakie jest.

Jestem szczęśliwy, że mogłem uczestniczyć w Twoich przeżyciach. Jestem z Ciebie dumny.

Nieuleczalny Naiwniak

PODZIĘKOWANIA

Pewnego razu jeden z moich uczniów po tym, jak całej klasie zadałem do domu kolejne wypracowanie, zapytał mnie z desperacją w głosie: „A pan, panie profesorze, dlaczego właściwie pisze?”. Odpowiedziałem bez namysłu: „Żeby się dowiedzieć, jak się skończy”.

A kończy się zawsze tak samo zarówno w pisaniu, jak w życiu - podziękowaniem.

Ktoś kiedyś powiedział, że słabi pisarze kopią od innych, natomiast ci dobrzy kradną. Nie wiem, do jakiej kategorii zaliczą mnie czytelnicy, ale jedno jest pewne - pisarze obydwu kategorii mają dług wdzięczności wobec życia i ludzi, od których coś skopiowali, skradli albo po prostu otrzymali. Życie ma zawsze najlepszy copyright, jest autorem niezliczonych scenariuszy, w których występujemy jako postaci otwarte na miłość i zdolne do kochania.

„Co się mówi?” - męczyli nas dorośli, gdy byliśmy dziećmi, na co bez przekonania odpowiadaliśmy: „dziękuję”.

przesadnie wydłużając „u”. Kiedy dorosłem, podziękowanie stało się dla mnie nie tylko oznaką dobrego wychowania, ale jednym z najlepszych sposobów na życie.

Tak więc:

mojej rodzinie, która nauczyła mnie, że miłość jest możliwa, zawsze. Rodzicom, Ricie i Giuseppe, którzy w tym roku obchodzą czterdziestą piątą rocznicę ślubu; moim niezwykłym braćmi i siostrami, którzy swymi poglądami wzbogacili odcieniami kolory mojego świata. Są to Marco - filozof, Fabrizio (z Mariną i Giuliem) - historyk, Elisabetta - psychiatra, Paola - historyk sztuki i Marta - architekt, autorka mojego zdjęcia na okładce. Do nich dodam Marinę Mercadante-Giordano i jej rodzinę.

Tym, którzy uwierzyli w tę powieść i pomogli mi doprowadzić jej pisanie do końca. Wśród nich przede wszystkim Valentinie Pozzoli, niezrównanej akuszerce historii, bez której moja opowieść nie mogłaby ujrzeć światła dziennego. Następnie: Antoniowi Franchiniemu, który zaufał mojemu pomysłowi, okazując przy tym entuzjazm podobny do tego, z jakim jego dzieci słuchają bajek na tarasie zwanym „Grecją”; Marilenie Rossi, która lepiej ode mnie zna i bardziej niż ja lubi bohaterów tej książki; Giulii Ichino i Alessandrowi Rivaliemu, przyjacielom i korektorom mojego tekstu, dokładnym, a przy tym delikatnym i szczerym.

I jeszcze, w przypadkowej kolejności, wszystkim, którzy w różny sposób i w różnym czasie odegrali swoją rolę przy tworzeniu kart tej powieści. Byli to: uczniowie i nauczyciele klas pierwszej A i pierwszej B liceum San Carlo w Mediolanie,

młodzież z Rzymu, a szczególnie uczniowie drugiej klasy liceum im. Dantego, uczniowie szkoły Iunior i liceum im. Viscontiego, członkowie trupy teatralnej Eufemia, młodzież z Ripagrande, Mario Franchina, nauczyciel liceum, którego nigdy nie zapomnę, ojciec Pino Puglisi, który z dnia na dzień zniknął z mojego życia, gdy chodziłem jeszcze do szkoły; Susanna Tamaro, Roberta Mazzoni, Gianluca i Tessa De Sanctis, Federico i Vanessa Canzi, Roberto i Monica Ponte, Angelo i Laura Costa oraz ich rodziny, przyjaciele z Living Room i Delta, Aldo Viola, Paolo Pellegrino, Rosy z księgarni II Trittico, Raffaele Chiarulli, Sveva Spalletti, Guido Marconi, Filippo Tabacco, Alessandra Gallerano, Paolo Virone, Antoine De Brabant, Michele Dolz, Valentina Provera, Sirio Legramanti, Paolo Diliberto, Giuseppe Corigliano, Sergio Morini, Mauro Leonardi, Armando Fumagalli, Marco Fabbri, Paola Florio, Maurizio Bettini i kole-dzy ze studiów doktoranckich, Emanuela Canonico, Giuseppe Brighina, Lorenzo Farsi, Carlo Mazzola, Marcello Bertoli, Cristian Ciardelli oraz... pies moich sąsiadów.

I tobie, czytelniku, który na tapczanie owinięty kocem, gdzieś w podróży, w autobusie, na czerwonej ławeczce w parku czy gdzie ci wypadło, dotarłeś aż do tej strony, co znaczy, że poświęciłeś twój cenny czas bohaterom mojej opowieści...

Dziękuję.

PS We Włoszech przepisy regulujące honorowe krwiodawstwo nieletnich są o wiele bardziej surowe i złożone, niż mogłoby to wynikać z akcji powieści. Dla dobra narracji zrezygnowałem z wiernego oddania rzeczywistości.